

TOM CCLXXVI.

ROK 69.

SERYA 9.

ZESZYT 828.



BIBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

GRUDZIEŃ.

1909.

TOM IV.—ZESZYT 3.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—
1909.

TREŚĆ ZESZYTU.

	Str.
1. O BENIOWSKIM,—przez <i>Maryę Konopnicką</i>	409
2. METAFIZYKA W POEZJI SŁOWACKIEGO, — przez <i>W. Lutostawskiego</i>	431
3. JEDNA Z DRAMATYCZNYCH KRONIK SŁOWACKIEGO,—przez <i>Antoniego Mazanowskiego</i>	453
4. SZKICE WIELKOPOLSKIE,—przez <i>Ottonórnę</i>	474
5. WIELICZKA,—przez <i>Zdzisława Kamińskiego</i>	516
6. RUCH LITERACKI WE FRANCYI,—przez <i>Orwida</i>	542
7. PIŚMIENICTWO:	
K. OSTASZEWSKI-BARAŃSKI: „Panslawista polski — Adam hr. Gurowski,—przez <i>H. M.</i>	559
ADAM SZELAŃGOWSKI: „Z dziejów współzawodnictwa Anglii i Niemiec, Rosyi i Polski,—przez <i>Wł. Studnickiego</i>	562
Z. PAUL DUBOIS: „Irlandya współczesna i kwestya irlandzka,—przez <i>Wacława Dunina</i>	566
STANISŁAW KOZICKI: „Syndykaty rolnicze we Francyi,—przez <i>W. D.</i>	570
D-R J. POLAK: „Polityka blizkiej przyszłości,—przez <i>W. D.</i>	572
ALEKSANDER KRAUSHAR: „Wolność druku i dziennikarstwo warszawskie w czasach listopadowych (1830—1831),—przez <i>J. I.</i>	573
KANTAK JULIUSZ KAMIL, KS.: „Geschichte des Bernardiner Klosters zu Bromberg,—przez <i>I. B.</i>	576
GIEDROYĆ FR., D-R: „Wodociągi i kanały miejskie,—przez <i>I. B.</i>	578
8. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Ostatni akord smutnego roku. — Szkoła nauk politycznych i uzasadnienie jej potrzeby.—Uroczystości i zjazdy lwowskie.—Myśli d-ra Balickiego o wychowaniu narodowem	579
9. WSPOMNIENIE POZGONNE:	
ś. p. Gabryel Godlewski,—przez <i>Z. D.</i>	592
10. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	594

Do niniejszego zeszytu dołącza się Dodatek „PRACA“ № 10.



De. II 1.

O BENIOWSKIM.

Jedyną w życiu osobistą żądzą Słowackiego — była żądza sławy. Kochał się w niej od dzieciństwa, jak gdyby w przecuciu, że ona jest gdzieś, że na niego czeka, że kiedyś, gdy nadejdzie pora, zstąpi do niego, wyciągnie ramiona i przytuli go do słonecznej piersi.

Stanął też do walki o nią z sercem nadziei pełnem, i było życie jego, jak je zowią, poetyczne.

Droga jego nie była gładką i bez cierni. Spotykał smutki, spotykał zawody, niedole, wieczna tęsknota trawiła mu duszę, cierpiał i łzy wylewał, przeklinał i ciskał gromy, a szczęścia miał może tylko tyle, ile go daje twórcza praca ducha i nadzieja.

Długo, jak „pielgrzym tajemniczy,“ chodził po świecie, zbierając farby do dzieł, a pośród znojów wędrówki — śpiewał.

Pustkę życia zapełniał kreacyami ducha — tworzył i zabijał: Lilla, Anelli biały, Balladyna, pomarli już, aby żyć nazawsze.

Ale to wszystko tak go powoli zbliżało do sławy, że czasem wątpił o niej, a z siebie szydził.

I zdała mu się czasem „dzika żądza pośmiertnego żalu“ niczem więcej, jak „smutnem głupstwem ludzi.“ Oczywiście dlatego, że był dalekim — jak sądził — ten żal bezpłodny; a żywy blask chwwały żywej, rumianej, wesołej zaledwie uśmiechał się do niego z za chmur i zbliżał wolno, tak wolno, że jego, który chciał „przedkich rozkwitnień, owoców i skonów,“ cisnęło to, jak krzyż ziemski, i było źródłem nieustannej troski. Bo to znaczyło, że ludzie inną, niż on, idą drogą, i innego szukają dla duszy pokarmu, niżeli on dawał. On snuł nitkę swoją „z głowy i z serca,“ ale ludzie nie przyjęli jej tak, jak on pragnął.

Poeta podobno wtedy dopiero jest szczęśliwy, gdy ludzie utwory ducha jego kochają. W miłości dzieła jest miłość i dla poety, dla jego uczuć, myśli i dążności; ona jest zadatkem jego potęgi i wpływu; ona jest podstawą z granitu pod obelisk przyszłej jego chwały. Słowacki takiej miłości nie spotkał na drodze życia. Natomiast widział dokoła siebie niechęć, niezrozumienie i kwasy.

Nie podobało się ludziom, „że Balladyna się krwawi i że w całej sztuce nie zabity jeden tylko sufler.“ „Anhelli“ wydał im się rzeczą ponurą, mleczną i niewartą wzmianki. Ba! Nawet łatwość pisania umiano przeciw poecie obrócić i na niekorzyść jego wyzyskać, mówiąc z ironią, że w czterech dniach pisze „Dramę.“

Szczycił się Juliusz „zdolnością natchnień;“ wiedział, „że rym sam się miłośnie do niego nagina.“ Nikt więcej od niego nie miał poczucia sił, jakie nosił w sobie, ani przeświadczenia, że droga, którą idzie, jest właściwą drogą jego. Dotychczas „snuł mary,“ to z serca, to z głowy. Teraz wysnuje coś z dziwnie twardej wiary — w przyszłość. Teraz on napisze „poemat narodowy,“ mający uczynić mu braćmi wszystkich poetów, prócz tych, których zaćmi.“ Innemi słowy—mający zaćmić wszystkich.

Gdyby po Słowackim pozostały nam szczuplejsze jeszcze wiadomości biograficzne, niż po najmniej znanym z poetów, takie wybuchy wystarczyłyby, iżby obnażyć wewnętrzne sprężyny, które poruszały myślą i ręką jego, gdy tworzył „Beniowskiego.“ Były to sprężyny bardzo i bardzo osobiste. Ta osobistość ich, naturalnie nie zawiera w sobie nic godnego potępienia. On nie zazdrościł innym, tylko bolał, że on także niema tego, co i oni, choć daje tyleż piękna, a więcej prawdy. Inni wiązali się ze światem węzłem wzajemnej sympatyj,—on tego węzła około siebie nie widział i jego mu brakło. A gdy pomyślimy, jak ciężka jest bez takiego sympatycznego węzła dola poety i jak się czuć musi samotnym na świecie, nawet wśród wrzawy i zgiełku, nie będzie nam dziwno, że go szukał i pragnał. Że dotąd napróżno, to winą być mogło i jego i innych, tych właśnie, którzy go jakby rozmyślnie krzywdzili i poniżali. Że chciał zdobyć obojętne serca, pisząc dzieło wielkie tak, jak żadne,—to była jedyna rzecz, którą mógł zrobić.

Choć niby żartem, lecz wcale nie na żart on to mówi, że po „Beniowskim“ ogłosi bezkrólewie na polskim parnasie, Grabowskiego prymasa kupi i wystąpi jako pretendent. Dodajmy, pretendent do pierwszego miejsca w sercach słuchaczy. On to na

seryo mówi, bo taki był jego zamiar. Miał w duszy gorycz, która wezbrała od chłodu, jaki zewsząd wiał ku niemu. Teraz on ją ze siebie wyleje, a w zamian uzyska spokój i skłoni ku sobie serca ludzkie. Gdy kochać zechcą, on im da „łabędzie głosy,“ ażeby miłość swoją śpiewali. On im da klątwy, przez które kląć będą; a kiedy zechcą płonąć, on ich rozpali i zaprowadzi tam — gdzie Bóg.

Ojczyźnie zaprzysięże pieśń swoją; chorągiew, pod którą idzie, poświęci jej nazawsze, byleby nie napróżno wyrzucił słowa „pełne łez i krwi,“ byleby ojczyzna i „jego także kochała.“

A przecież mówią niektórzy, że decydującym momentem w tworzeniu poematu nie były owe powody subiektywne, ale natomiast urok, jakim pociągał poetę opiewany przedmiot.

Czasy, pełne ofiar i zbrodni, pełne życia i ruchu, poświęceń i zapału, konfederackie czasy i ludzie, którzy mieli „serce i ducha,“ „nawa łzami wezbrana“ i Ukraina, „po której dziad chodzi z pieśnią“—to miało kierować poetą i być mu bodźcem do pracy. Wyznajmy, że przedmiot istotnie wyborny i dla poety wdzięczny i ponętny, i zgódźmy się ze Słowackim, że „dopóki śni się rumak Pułaskiego, on ma prawo na mogiłach stawać i śpiewać—srogi.“

Pozostanie jednak zawsze prawdą, że bodźcem, który go do skorzystania z tego prawa popchnął i który mu je tak właśnie, a nie inaczej, wyzskać kazał, były powody, tkwiące w głębi zranionego serca poety. One to zawiodły myśl jego ku wypadkom smutnym, beznadziejnym, ku ludziom tem miłszym i tem bliższym pocie, że mu byli trochę pokrewni; bo tak, jak on, składali siebie na ofiarę i tak, jak on, na ofiarę—jak wówczas jeszcze sądził—bezkrwawą. I dopiero z takiego skojarzenia potrzeb i usposobień wewnętrznych z przedmiotem, który doskonale harmonizował z nastrojem ducha poety, powstało dzieło to, które naprawdę trafiło w cel zamierzony i otwarło sobie wszystkie serca.

Gdyby potrzeba było w paru słowach scharakteryzować „Beniowskiego,“ rzecby można, że jest poemat ten, jako łódź płynąca po wzburzonej fali. Niebo nawałnicą pokryte, wiatr wznosi się i ustaje. Kiedy uderzy w żagle, łódź zaczyna się chwiać, bujać, wszystko na niej wpada w ruch szalony, wszystko kołysze się i skacze, nic nie ustoi na miejscu, tak, że wstrzymując oddech, czekamy, pełni niepokoju, czem się to skończy.

Po chwili wicher cichnie, wielkie bałwany nikną, wściekłość rozkołysanej fali maleje i łódź zaczyna płynąć bezpiecznie, spokojnie, o tyle spokojnie, o ile możliwym jest na morzu spokój, w przestanku między dwoma wybuchami burzy.

Wrażenie to nie jest czemś przypadkowym i zasługuje na bliższą uwagę. Jest ono bowiem następstwem pewnej psychicznej rzeczywistości i zostaje w jaknajściślejszym związku ze stanem duszy poety, pełnej chmur, obciążonych burzą. W duszy tej, z nagromadzonych smutków, goryczy i żalów, zupełnie tak samo zrywały się wichry, padały pioruny i gromy. A kiedy wygrzmiało i wybłyskało, kiedy się burza na chwilę wyładowała z elektryczności, przychodził czas względnego spokoju i względnej pogody, ożłocony cienkim promykiem słońca, który się przez jakąś szczelinę zmaconej duszy przecisnął.

Ale i ten czas nie był podobnym do owej złotej, letniej pogody, bezpiecznej i pewnej siebie. Tutaj znać było, że jest to chwila, która po burzy przyszła i po której znów może jeszcze przyjść burza. Naturalnie, bieg łodzi, pod takim płynącym niebem, nie mógł być gładki i równy. Łódź musiała chwilami chwiać się pod naporem rozszalałych ciosów, to znowu do względnego powracać spokoju.

Poemat, wydany z tak nastrojonej duszy, musiał odbić na sobie wszystkie odcienie jej stanu. W miarę wznoszenia się i spadania napływających fal uczucia, tętno dzieła musiało zmieniać stopień naprężenia, a jego ster musiał coraz inny nadawać kierunek całości.

To też poemat dzieli się, a raczej bywa dzielony na dwie jakby odrębne części. Powiadam—bywa dzielony, bo w gruncie rzeczy dwie części te nie są czemś niezgodnym z sobą, czemś przypadkowo złączonym. Owszem, dopiero obie razem stanowią całość kompletną, a tak są ze sobą splecione, tak ustawicznie się jedna o drugą zahacza i jedna drugiej tak się mocno trzyma, że dzielić je wprawdzie można, ale nie po to, aby je niezależnie postawić obok siebie, lecz po to, aby lepiej zrozumieć węzeł, który je nierozdzielnie spaja.

Gwałtowne, niepohamowane wylewy uczuć i myśli poety, tudzież właściwy tok opowiadania dziejów bohatera stanowią owe dwie części. Spadki i przejścia pomiędzy nimi bywają czasem tak delikatne, że niepodobna oznaczyć stałego granicznego punktu. Nie w jednej strofie uczucie nie samo dla siebie płynie, lecz jawi się po to jedynie, aby barw swoich użyzyć wypadkom i opisom.

Szykował się więc pan Maurycy do opuszczenia rodzinnego gniazda. Smutno mu było, ale nie poradził!

Młody, „fortunka mu ciekła dzbanem,” a że miał nadto proces, sprawę graniczną przegrał i dostał wyrok, w którym „rzecz

była o ekspulsyi,“ postanowił dorobić się znowu i ruszał w świat. Byłoby może do tego nie przyszło, gdyby nie uboczna, pewna okoliczność. Pan Maurycy—ile że młody był—dał się usidlić pięknej pannie z wysokiego zamku, której „sztuka niewieścia sprawiła, że był srodze zakochany.“ Niestety, kochał z połową tylko powodzenia. Panna Aniela sprzyjała mu bardzo i byłaby za niego chętnie życie dała, lecz ojciec, starosta, pan dumny, wzgardził szlachetką gołym i czarną kazał podać mu polewkę.

Stary wysoko mierzył, na dworze zięcia upatrywał. Właśnie siedział u niego teraz w zamku regimentarz, pan wielki, przyjaciel Rosyan, który „chłopów psom kąsać pozwalał,“ mówiąc, że „to je uzdrowi od bólu zębów,“ i ojcu o córkę do kolan się kłaniał. Nie było rady. Pan Maurycy konfederatkę na uszy nacisnął, dosiadł rumaka, westchnął i smutny, gorączkowego pełen animuszu, ruszył, a za nim kozak, baczny na wszystko, Grześ.

Panna Aniela sercem przeczuła nieszczęście. Kochanek ją porzuca, zostanie opuszczona, sama. Rozumie ona fatalną konieczność, ale przynajmniej temu zapobiegnie, żeby nie uszedł bez pożegnania, fortelem zynili mu drogę i w Anielinkach, w pasiece swojej, jeszcze raz mu powie, jak go kocha nadewszystko, i jeszcze raz usłyszy z jego ust, że jest kochaną. A potem wróci panna Aniela do wysokiego zamku nad Ładawą, a nasz bohater puści się po szerokim stepie—w zawody z losem.

Panna Aniela wróciła do zamku i znalazła tam bardzo wielkie zmiany. Gospodarzył w nim już nie starosta, ojciec jej, ale ksiądz Marek na czele konfederatów. Pan regimentarz, który chciał kiedyś z konfederatów „zrobić cmentarz,“ przebity puginałem, we krwi się broczył. Starosta zrazu wybuchał burzą, puszzył swym rodem i urzędem, krwią kazał córce pisać protestacye, potem spokorniał.

A zaś Beniowski, który wiatr po stepie gonił, pomykał tymczasem do Baru, ile że wtedy do Baru wiały wszystkie wiatry. Właśnie Rosyanie przypuszczali atak, gdy stanął nad wiszarem na wyżynie, patrzył i myślał, co uczyni. Wzdrygnął się pod nim koń, Beniowski splonął, chciał w ogień iść, ale nie poszedł. Spotkało go coś niezwykłego. Dwa gołębie zaczęły go wabić do wielkiego dębu. Zrozumiał, że czeka go złoty łańcuch „nowych, dziwnych przygód.“ Dał się wieść i pod dębem znalazł Rosyan. Było ich ośmiu, więc Beniowski rzucił się na nich i „jął rąbać tak, że poszli w nogi,“ oprócz dwóch, którzy dostali się „między mary.“ Owocem zwycięstwa było oswobodzenie pięknej dziewczyny, utajonej w dębie. A tuż się zjawił ksiądz Marek z panem

Sawą. Swentyna, gołąbka stepowa, oddała księdzu depesze, a ten Beniowskiemu wręczył liścik od panny Anieli. Poczem na służbę ojczyzny go zaciągając, obarczył ksiądz pismem do chana i pełną w poselstwie na Krym. Beniowski ruszył, jechał, awanturował się—i aż do końca po prostu, zwyczajnie, choć niespodzianie czasem, toczą się wypadki powieści, około burzliwych walk konfederackich osnute, jak pajęczyna.

A równolegle z wypadkami tymi, od samego początku powieści, wychyla głowę pierwiastek liryczny i rozbrziniewa tuż obok pierwszych akordów strun „harfy Homera,“ jakgdyby bał się spóźnić i pragnął dotrzymać taktu.

Powiedzieliśmy wyżej, że subiektywizm i opisowość w poemacie ustawicznie się przeplatają i splatają. W istocie, zaledwie poeta opisał nam zamek starosty, zaledwie pokazał nam z profilu Anielę, a Beniowskiego jeszcze na koniu wsadzić nie zdążył, wybuch uczuciem tak gwałtownie, tak namiętnie i zapamiętale, jakby chciał dowieść, że pierwszy grzmot powinien być silnym i głośnym. Kiedy wywiódł bohatera na gościniec ku Anielinkom, zanim go doprowadził do miejsca—wybuch znowu, choć teraz łagodniej nieco. A kiedy Beniowski z kolan wstał i puścił drżącą rękę Anieli, poeta kończy pieśń. Lecz nim ją skończy, jeszcze raz wyrzuci z serca nagromadzoną w niem gorycz w przepysznie gniewnych, oburzonych strofach.

Pieśń drugą zaczynają odrazu błyskawice lekkie dosyć, niezbyt jaskrawe i grzmot ogromnie przeciągły. Wsłuchawszy się w niego, rozpoznajemy najróżnorodniejsze odgłosy, jak z różnych strun, różnemi palcami wydobyte dźwięki. Dopiero po tem wszystkim idzie opowieść sama. Ale tak jakoś trudno Słowackiemu o spokój, o ciszę, że się opowieść ta zaraz na pierwszych strofach urywa, a poeta znowu rzuca błysków kilka; niewiele wprawdzie, ale rzuca—jakby ostatnich. Lecz nie są one ostatnie!

Zaledwie bowiem poeta sprowadzi nas do Anielinek, gdzie chciałby „trącić smutną lutnią pożegnania,“ wybuchnie znowu wspaniałą apostrofą: „O tęczowa kopuło myśli! tyś moim kościołem!...“ dopiero potem skończy pieśń powrotem Anieli do zamku.

A co było w tych dwu pieśniach, powtarza się we wszystkich innych. Poeta przeklina, skarży się, tęskni, szydzi, marzy, a liryzm jego płynie swobodny, nie krępowany niczem i brzmi nam w uchu już to łagodnie, jak w pieśni czwartej, już to gryzie i szarpie, jak w trzeciej, już dochodzi do najwyższego stopnia patetyczności—w piątej.

Wszystkie uczucia żywe i umarłe, wszystkie wspomnienia gorzkie i pełne słodyczy, wszystkie nadzieje zniszczone i zawiedzione—zbiegły się razem, ażeby targnąć poetę za serce i wydobyć z niego choćby jeden dźwięk tylko.

Nienawiść do pewnych zasad i przekonań, które pomimo jego ku nim niechęci zbyt długo już i zbyt bezpiecznie panowały światu; niechęć do ludzi, którzy je reprezentowali, i chodząc w nich, jak w koronie, uważali się za hetmanów narodu; miłość ojczyzny rozdartej, miłość kobiety zbyt płochej, czy zbyt poważnej może, ostatnim błyskiem sinego płomyka wyskakująca z pod warstwy popiołu, którym ją czas przysypał,—wszystko, co kiedykolwiek drgało życiem w sercu i w duszy, co było nasieniem szczęścia czy zarodem troski, wszystko to teraz czepiło się myśli i po jej promieniach splotowało do wspólnego ogniska. A ogniskiem tem, w którym się promienie łączyły i skupiały razem, był oczywiście poemat — „ariostyczną prowadzony drogą“ — „Beniowski.“

Gdyby „Beniowski“ był dziełem o zwykłej budowie, takim, jakie się najczęściej w literaturze spotyka, dziełem o jednej od początku aż do końca barwie, a przynajmniej jednej od początku aż do końca linii, nie zaś czemś w rodzaju dwulicowego potwora o twarzach epickiej i lirycznej — zadanie krytyki w stosunku do niego byłoby proste i łatwe. Dość byłoby utartym trybem wykazać zalety jego i wady, ocenić pomysł, układ części, harmonię całości, w kreśleniu pojedynczych figur prawdę, wdzięk, plastykę, wreszcie formę, styl i coby tam kto jeszcze zechciał.

Lecz w danym razie — to nie wystarcza. Tutaj właśnie ta dwulicowość dzieła stworzyła szkopuł, który najpierw usunąć trzeba. Albowiem w dziele tem, które zamknęło w sobie „co było polotu w Orlandzie, co miękkiej melancholii i głębokości w Child-Haroldzie, co złości i wzgardy w Don-Juanie“¹⁾ — stworzono zamiast jednego, dwa środki ciężkości, na których się sąd opiera, co, oczywiście, równowagę tegoż musiało uczynić niestałą. Jeden punkt umieszczono w lirycznej części poematu, drugi w opisowej; a przeciwległość pozycji, jakie im nadano, pociągnęła za sobą sprzeczność sądów, przywiązanych do całego dzieła, która to sprzeczność, będąc następstwem pierwotnej pomyłki, sama już zdolna jest rzucić cień na ich wartość.

¹⁾ Małcki.

Owe niezgodne poglądy głoszą, co następuje:

— „To, co nasza krytyka w dzisiejszym obłędzie—mówi jeden—bierze za pretekst tylko: walki bohaterskie i awanturnicze przypadki, ozłocone czarownem światłem poświęcenia za Ojczyznę; te wiersze, w których się ziemia polska tak melancholicznie i tak pięknie odbija; różnaitość postaci, epicka ich plastyczność i żywość, a obok nich ten serdeczny autora smutek i ta głęboka jego litość nad rycerzami, którzy „zwycięstwa warci zwyciężyć nie mieli,“ to jest, co ludzie w „Beniowskim“ „będą widzieć, cenić i podziwiać.“ Natomiast rzecz, która poemat „szpeci,“ „kąkolem, który uschnie,“ „pyłem powszednim,“ który go bruka, są owe „nieszczęśliwe wylewy“ długo gromadzonej żółci. I poemat „byłby nierównie piękniejszy,“ gdyby ich w nim nie było.“ I to jest zdanie wypowiedziane przez prof. St. Tarnowskiego w „Przeglądzie Polskim,“ jeszcze 1867 r. (październik, str. 271, 272).

— „W tego rodzaju utworach (jak „Beniowski“) —mówi drugi—fabuła (to jest właśnie owe walki bohaterskie i awanturnicze przypadki) jest rzeczą *ostatnią*; wybiera się ją rozciągliwą do nieskończoności, aby można było po niej malować najfantastyczniejsze wzory.“ Za to nie ostatnią, ale najważniejszą rzeczą jest pozostała reszta. Ten rozlew żółci, ten wybuch uczuć najbardziej subiektywnych stanowi *cały urok* „Beniowskiego.“ I tak mówi Spasowicz w swej „Literaturze“ (str. 722, 723).

Z góry już przypuścić trzeba, że poglądy tak sprzeczne muszą opierać się na jakimś nieporozumieniu. A gdybyśmy szukali, skąd nieporozumienie wynikło i co jest jego powodem, to można przytoczyć jedną wprawdzie tylko okoliczność, lecz w danym razie, zdaje się, stanowczą.

Istnieje przekonanie, wyszłe od słynnego biografą Słowackiego (prof. Małeckiego), a podzielane przez obu krytyków, do których powyżej przytoczone poglądy należą, że nieopisowa część poematu jest niczem więcej, jak przekomarzeniem się i wydrwianiem, zemstą na ludziach, którzy kiedykolwiek pocie wyrządzili przykrość. „Chodziło Słowackiemu narazie — powiada prof. Małecki — o wyszydzenie tych wszystkich drobnych niedorzeczności, które się działy w jego najbliższem otoczeniu, których żądła i jemu samemu niekiedy uczuć się dawały.“

Otóż nie dziw, że ustalwszy taką genezę tych ustępów, dano folgę niechęci ku nim z jednej strony, za kół je licząc,—i że z drugiej, zapoznając prawdziwy stosunek obu części poematu, nie oceniono obu tak, jak zasługują.

A przecież wszystko to jest tylko—pomyłką.

Parę szorstkich strof poematu, w połączeniu z nawiązaniem do nich wiadomościami biograficznymi, wystarczyły do orzeczenia, że tu chodziło o ukłucie i obrażenie jakiegoś redaktora „Nowej Polski,” czy „Tygodnika Poznańskiego“ wtedy, kiedy jest rzeczą bardzo widoczną, że chodziło tu o sprawę ogólniejszego znaczenia i od tamtych daleko ważniejsze. Pierwiastek osobisty w poemacie występuje z siłą i bierze pierwszorzędny udział w jego tworzeniu. Mówiliśmy też wyżej o żądzy sławy, która była przecież bodźcem obecnym zawsze i działającym w każdym akcie twórczości poety, aż do jego transfiguracji duchowej, po przyjęciu towianizmu. Ale należy pamiętać, co to jest i co znaczy żądza sławy dla człowieka, jak Słowacki.

Kiedy jego myśli, jego uczucia, jego nadzieje przechodzą w serce narodu, wtedy poeta jest sławnym. On niesie przed tłumem pochodnię piękna i prawdy. Jeśli ludzie od tej pochodni biorą swoje światło, jeżeli grzeją się i krzepią jej ciepłem, poeta sławnym jest — i zwycięża.

Kiedy szukają tych rzeczy u innych, wtedy też inni osiągają sławę. Otóż Słowacki — dla sławy — musiał wystąpić i wystąpił, jako rycerz swej prawdy i swoich przekonań. Wyprowadził w pole wszystkie swoje duchowe siły, intelektualne zasoby i wszystkie przywiązane do nich uczucia; niemi, jak puklerzem okryty, uderza na nieprzyjaciół, którymi znowu są wogóle zasady, idee; a ludzie o tyle tylko, o ile występują jako ich przedstawiciele i obrońcy. Spoglądając uważnie, nie podobna — zdaje się — nie dostrzedz, że poeta prezentuje nam w „Beniowskim“ całą swoją filozofię, całą swoją religię i politykę, oraz, że godzi w politykę i filozofię z pojęciami jego niezgodną, a podług niego dla Polski szkodliwą.

Zaczynając od jaskrawego i namiętnego wybuchu przeciw Jezuitom w pieśni pierwszej; przechodząc przez szydercze polityczne „credo“ pieśni piątej, przez podniosły hymn „Kto Cię nie widział nigdy, wielki Boże, na wielkim stepie przy słońcu nieżywym“ — włączając w to liczne rozrzucone ustępy, gdzie już to wprost, już pośrednio wyrażone są pojęcia poety o życiu, o ludziach, o literaturze, o krytyce i t. d., niepodobna, zdaje się, zaprzeczyć, że owe szorstkie strofy, tak mocno niektórych naszych krytyków rażące, są tylko momentem w zasadniczej walce, w której poeta zidentyfikował siebie z własnymi przekonaniami i *przez ich tryumf* dąży do osobistego swego tryumfu. Że wszystko to ma właśnie taki charakter, że nawet owa, niby z najbardziej pozio-
mej ambicyi wynikła, walka z Mickiewiczem taką jest a nie

inną, czy nie przekonywa ta wprost na gołe szable pisana strofa pieśni piątej:

Ha, ha! mój wieszczu, gdzież to wy idziecie?
 Jaka wam świeci, gdzie, portowa wieża?
 Lub w Sławiańszczyznę bez echa toniecie,
 Lub na koronę potrójną papieża
 Piorunem myśli podniesione szlccie—
 Gnacie? Znam wasze porty i wybrzeża!
 Nie pójdę z wami, waszą drogą kłamną,
 Pójdę—gdzieindziej!

Rzecz prosta, nie należy sądzić, że Słowacki jest tutaj pełen tylko „rycerskiego animuszu“ i nic więcej. Przeciwnie. Ten animusz, to dopiero jeden z objawów jego psychicznego nastroju w owym czasie; nastroju, na który składały się bardzo liczne czynniki, w postaci uczuć, nadziei, wspomnień, myśli i wypadków.

O ile się poeta pogrąża w siebie, zna własne swe serce, jest smutny; kiedy z bierności tej wychodzi—jest usposobiony wojowniczo. I właśnie charakterystyczną cechą usposobienia tego zdaje się być jakiś gorzki, jakiś cierpki smutek, który się na żaden sposób w stanie bierności utrzymać nie potrafi, tak, że możnaby o nim powtórzyć własne poety o Beniowskim słowa: „Smutny, więc gotów do bitki.“

Jeżeli więc przestaniemy dopatrywać „mizernych kwasów,“ lub „chęci wyszydzenia“ tych czy owych ludzi, to postąpimy tylko zgodnie z prawdą.

Ale jednocześnie stosunek nasz do poematu musi uleść zmianie. Bo teraz sama przez się ustępuje pewna a priori już istniejąca niechęć do „irytacy i swarów,“ skoro cały subiektywizm poematu przestaje być swarem.

Natomiast musi się zrodzić uwaga, że osobiste czynniki poematu, jako wynikłe z samego rdzenia ducha poety, z istoty najgłębszej treści—jego przekonań, pojęć, uczuć, nie mogą być w dziele objawem przypadkowym, luźno tylko, albo i wcale nie związanym z pozostałą resztą. A ta uwaga prowadzi z konieczności do pytania: jakiby tutaj zachodzić mógł stosunek i jaki związek pomiędzy opisową a liryczną częścią poematu? A dalej: jaki związek pomiędzy obu temi częściami razem a nastrojem samego poety?

Rozwiązanie zapytań tych dopiero ukazuje poemat we właściwym mu świetle, i z tego, co było zlepkim niezgodnych z sobą żywiołów, czyni organiczną całość.

Wzmiankowaliśmy wyżej, że Słowacki obrał dla poematu treść, która zostawała jakby w pokrewieństwie z nim samym. Ci

ludzie jego, bohaterowie i bohaterki, składali siebie w ofierze, ażeby zbawić Ojczyznę i ofiara ich była daremną. I byli w tem podobni do autora, utrzymującego, że się znajdował w tem samym zupełnie położeniu. Że Słowacki tak właśnie o sobie trzymał, to jest niewątpliwe.

Z wielu fragmentów „Beniowskiego,” z artykułu „O nocy letniej,” z korespondencyi wreszcie wnioskować to można, kiedy poeta woła:

...Próżno słowa wyrzucam namiętne,
Pełne łez i krwi i błyskawic świetnych
Na serca, które zawsze dla mnie wstrętne...

lub kiedy pisze, właśnie jakby spólcześnie z pracą nad poematem, miał głowę pełną podobnych umiemań:

„Są lata napełnione nudą i troską, w których się człowiekowi zdaje, że przebywa pustynie. Nic mu wtenczas w porę nie przychodzi. Dobro każde na złe się obraca. Usiłowanie żadne skutku nie bierze.“ (15,2 1841.)

Samo się przez się rozumie, iż zależność nie jest tej natury, żeby poeta musiał obracać koniecznie ten, a nie inny przedmiot. Nie! Dość na tem, że z wielu, jakie mógł obracać, wziął taki, który w osnowie treści swej kryje podobieństwo, pokrewieństwo może, ze stanem duszy i kierunkiem wyobrażeń jego. To—co do treści.

Ale i co do formy zauważyć można pewną odpowiedniość. Profesor Tarnowski powiada, że forma „Beniowskiego“ stosuje się wybornie do rodzaju fantazyi Juliusza, choć—mówi—„ma złą stronę, że przy niej wcisnęły się do poematu osobiste żale i gorycze.“

Zdanie to będzie zupełnie prawdziwe, jeżeli je postawimy naodwrot, pamiętając zawsze, jaka jest właściwa rola owych „żałów“ i owych „goryczy.“ Wtedy bowiem forma stanie przed nami, jako czynnik, zostający do poety w takim stosunku, jak powyżej przedmiot opowieści.

Duch poety, który potrzebował wylać się nazewnątrz—jak poprzednio znalazł sobie treść pokrewną, tak teraz obiera bez odroczenia konieczności, ale w sposób całkiem naturalny, taką formę, któraby nie tylko wylewu nie utrudniała, ale, owszem, była jakby dla niego stworzona. Oba powyższe stosunki mają równą doniosłość, o ile dowodzą, że wszystko się naginało do potrzeb, tkwiących w naturze owoczesnych uczuć i pojęć poety. Ale oprócz tego pierwszy z nich, osobno wzięty, ukrywa inne jeszcze wnioski.

Jeżeli bowiem przedmiot opisanej części poematu ma w sobie coś pokrewnego w nastroju ducha autora, a ten znowu nastrój, zabarwiający sobą wszystkie jego uczucia i myśli, pospołu z niemi przeszedł w liryczną część poematu, to naturalnie to samo pokrewieństwo, które istniało między treścią obrazów podjętych i usposobieniem poety, musi istnieć i po przelaniu tegoż usposobienia w poemat. Innemi słowy: musi istnieć pomiędzy opisową a liryczną częścią dzieła. Nie są one przeto, części te, zestawione ze sobą mechanicznie; nie są jako patyk i bluszcz wokoło niego obwity; ale raczej muszą być jako dwie własności jednego przedmiotu; czemś w rodzaju barwy i zapachu.

A kiedy się zwrócimy do poematu z zapytaniem, w jaki sposób on wniosek ten stwierdza, poemat odpowie nam, że pojęcia i uczucia bohaterów uzupełniają uczucia i myśli osobiste poety w ten sposób, w jaki się uzupełniają wogóle pojęcia współistniejące i współrzędne.

Człowiek żyje albo uczuciem, albo pragnieniem uczucia. W ostatnim razie brak, pragnienie, nadaje usposobieniu pewien nastrój, który uczucie upragnione uzupełnia. Kiedy istnieje ono tylko jako myśl, pojęcie, harmonizuje ze współczesnemi, rzeczywistości uczuciami, bo one pod jego wpływem powstały.

Gdyby się zjawiało jako rzeczywistość, zlałoby się z niemi w wielką harmonię, zwaną szczęścieniem.

Człowiek żyje myślą o tem, co jest, lub o tem, coby być mogło. Jedne z tych myśli uzupełniają drugie, bo jedne z drugich powstają. Gdy związek między niemi stanowczo się ugruntuje, przychodzimy do umysłowej harmonii, zwanej siłą przekonania.

Otóż, jak w człowieku jedne uczucia szukają drugich, a jedne myśli gonią za innymi, tak samo w poemacie naszym uczucia i myśli obu jego części gonią się, chwytają i tworzą harmonię, niedoskonałą może, ale właśnie taką, jaka istniała w duszy poety.

Człowiek zakochany czerpie nieraz w miłości siłę do walki, jeżeli życie na drodze jego wzbudziło przeszkody. Ale, gdy walczyć musi, a serce ma próżne, wtedy chętnie tworzy sobie „wyspę ideału,” na którą udaje się w chwilach zawieszenia broni, aby śnić spokój i miłość. Marzeniem uzupełnia to, czego mu rzeczywistość nie dała; zrzuca puklerz, w którym bojował, sam sobie tworzy ramię, na któremby mógł oprzeć skołataną głowę i tworzy serce wylane, szczere a proste, otwarte dla niego w całym powabie naturalnego wdzięku.

Miłość taka tem szersza, tem idealniejsza i głębsza, im bardziej pożądana, a istniejąca tylko w chęciach, snach, marze-

niach, wybornie się zgadza z gwałtownymi wybuchami burzy duchowej, przez które człowiek przechodzić musi w walce życia, a po których ona, jakby cień z innego świata, przychodzi goić rany.

W „Beniowskim“ taż sama zupełnie zgodność jest widoczna. Poeta właśnie taki cień zaświatowego szczęścia podczas jednej z wizyj swych uchwycił, przyoblekł w ciało i uczynił zeń Anielę i Swentynę.

Uczucia tych dziewcząt dziecinne i męzkie zarazem. Dziecinne—bo naiwne; męzkie—bo głębokie i mocne. One same i rzewność jakaś, która je otacza, a która jest może tylko odbłaskiem tęsknoty, uczuwanej żywo przez poetę, kiedy je tworzył, albo lepiej tęsknoty, pod której wpływem je tworzył,—to wszystko z wybuchami subiektywnych ustępów poematu uzupełnia się tak, jak pożądanie punktu oparcia w walce i konieczność walczenia.

A ktoby dalej zestawiał „wszystkich świętych emigracyjnych,“ „sejmowy krater, wybuchający wielką jasną fugą z Warszawy,“ lub nawet Dzięduzycyckiego i Starostę, będących upostaciowanym ułamkiem żywych niechęci autora, ze Zbigniewem, który „chce iść z przodkami w zawody, jako człek na sławę czuły i mocno hańbę Ojczyzny czujący,“ lub z księdzem Markiem wołającym: „Bia- da, kto daje Ojczyźnie pół duszy, a drugie pół dla szczęścia zachowa“—

Będzie miał w sercu władzę odpychania
Ludzi. A mężę się doń zbiegać będą.
Utyje kiedyś na chlebie wygnania,
I nieszczęśliwe dzieci go obsiedą
Krzyżąc: „Ojczyznę daj nam, lub do spania
Grobowiec sławny!“

z ks. Markiem, rzucającym przekleństwa na takich ludzi i na ich rodzeństwo; ktoby porównał wreszcie owych, bajronicznym cieniem okrytych, albo filozoficznym wiatrem wydętych lub odurzonych nadzieją jakichś cudownych na niebie i na ziemi wydarzeń ludzi, z prostotą, naturalnym wdziękiem, bezpretensjonalnem poświęceniem głównych postaci poematu, dostrzeże, iż ma się to wszystko do siebie tak, jak rzeczy i stosunki istniejące do pożądaných, jak to co *jest* do tego co *być*, według poety, *powinno*, jak dwie uzupełniające się myśli, wyszłe z jednej głowy, jednym obudzone nastrojem i znajdujące węzeł, co je łączy, w tej samej duszy, z której wyszły.

Pod wpływem takich wrażeń uczuwamy w poemacie jedność i harmonię. Jest to jedność swojego rodzaju, którą trzeba nazwać wewnętrzną. Jest ona czemś, co wszystko ze sobą wiąże, we wszystkim okazuje nam rysy jakby rodzinnego podobieństwa, jakby piętno *duchowego* powinowactwa, które je łączy we wspólnym, z jednego ogniska, początku.

Nie jest to jedność, którąby można było nazwać doskonałością artystyczną; bo tej — wyznajmy — w poemacie niema. Nie wszystko się w nim trzyma na jednej wysokości natchnienia; nie wszystko, pod względem formy, jest bez zarzutu, nie wszystko ma pożądaną miarę artystycznego piękna.

Zewnętrznego zaokrąglenia i ciągłości polotu nie szukajmy w nim takż. Są strofy tak piękne i wzniosłe, że podziwiamy je i miłujemy zarazem: dość wspomnieć tylko znany list Anieli do kochanka; są inne, co do których zaprzeczyć niepodobna, że w formie swej mogłyby, z korzyścią dla siebie, uleść zmianie.

Ale kiedy zwrócimy się do strony wewnętrznej dzieła, jedność i zgodność wystąpi przed nami w całej pełni. Uczuwamy coś nakszałt tła, rzuconego pod różnowzore malowidło ludzi, walk, okrucieństw, skarg i przekleństw, tła, które je wszystkie oblewa odcieniem własnej swej barwy, przez co je wzajemnie zbliża i łagodzi ich kontrasty. Uczuwamy psychologiczny węzeł, który spaja harmonijnie wszystkie szczegóły. Uczuwamy ducha poety, który z niezliczonych scen, obrazów i wylewów podnosi się nakszałt filozoficznego substratu.

Jak dla nich substratum to, ta jakaś pierwotna jedność, daje się poznać jako materya o różnorodnych barwach i kształtach, znajdujących w niem punkt skupienia, nitkę biegnącą przez wszystko, cokolwiek widzimy i czego dotykamy,— tak podobnie z natchnionej duszy poety powstałe wylewy uczuć i obrazy znajdują tutaj jakby psychologiczny wspólny mianownik, czyniący z poematu skończoną, organiczną całość.

Wracając do szczegółowych objawów tej poetycznej emanacji, o których powiedzieliśmy wyżej, iż są nie wszystkie równej wartości, znajdujemy w nich jednak tyle piękna, tyle uroku i wdzięku, że można czerpać pełnemi rękami i nie wyczerpać. Styl lśni się i błyszczy, jak królewski dyadem z przedrogich kamieni. Rysunek postaci pełen prawdy, a przytem nacechowany już to jakąś rycerską zamaszystością i werwą, już to rzewnością i smętkiem, które poeta zdaje się wydobywać z własnego serca, aby, utkawszy z nich coś podobnego do atmosfery jesiennych poranków, owionąć nią od czasu do czasu bohaterów swoich.

Zaś w malowaniu natury wyjawia całą swą czarodziejską sztukę.

Jednem z najtrafniejszych spostrzeżeń, jakie o Słowackim zrobiono, jest, że nie przedstawia nam on natury taką, jaka jest, nie fotografuje jej, ale posiada moc tajemniczą, za której pomocą daje nam ją uczuć, pozwala jej używać.

I tutaj, w „Beniowskim,” przedewszystkiem używać nam jej daje. A jest używanie to dla nas bezporównania miłsze, niż owo, np. jakiego doznajemy czytając: „W Szwajcaryi.”

Bo kiedy tamta obca natura alpejska jest piękną, ta — ukraińska, — i piękną jest i jakąś bliższą naszym sercom, istocie estetycznego zmysłu naszego odpowiedniejszą.

Używamy i czujemy przejrzystość fal powietrznych; słyszymy wszystkie zmieszane dźwięki i szmery południa, czerpiemy otwartą piersią wszystkie aromaty wieczoru, pomimo, że o tem wprost bardzo mało jest mowy.

Czujemy zaś to wszystko dlatego, że poeta umiał w nas wzbudzić to czucie. Jak? To tajemnica jego przedziwnej twórczości. Co do ludzi, to męskie postacie poematu, „Starosta,” „Regimentarz,” „Ksiądz Marek,” „Sawa,” „Beniowski,” — wszyscy są pełni jakiejś żywej siły i grają swoje role po mistrzowsku.

W szczególności, o trzech ostatnich powiedzieć trzeba, że nie są bohaterami w znaczeniu, jakie zbyt często do bohaterów poematu bywa przywiązywane. Nie są to postacie tak nazwane dlatego, że się o nich najwięcej w opowieści mówi, ale ludzie mający bohaterskie dusze, ludzie, będący materyałem na bohaterów prawdziwych. Cechą ich jest serce szczerze, silna wola i wielka prostota.

Pomijając księdza Marka, który płomienie nadziemskiego hartu nosi w prostej, szlacheckiej piersi i jest wybornym wzorem połączenia pierwiastków nadludzkich z charakterem człowieka, bez zatury realnych cech człowieczeństwa, Beniowski i Sawa, jak wszyscy prawdziwi bohaterowie życia, nie są nimi z zawodu, ze specjalności. Gdyby nie wypadki, mogliby przehulać i przeprodukować żywot bez wszelkich wyrzutów sumienia.

Ale kiedy okoliczności zmusiły ich do opuszczenia roli biernej, rzucają się oni w wir całą duszą, oddadzą się nowej służbie bez zastrzeżeń i bez ubocznych myśli. Gdyby Sawa nie potrzebował „wyrąbać się szablą na pana,” pewno by równie mało dbał o konfederatów, jak i o Rosyan. Gdyby Beniowski nie przeceodził fortunki dżbanem, lub gdyby pan starosta oddał mu był rękę Anieli, siedziałyby w wiejskim dworze i używał wczasu. Po-

nieważ się to nie stało, idzie w świat—żeby się dorobić. Ale kiedy na tej nowej drodze zaciągnie się pod sztandary konfederacji, będzie służył ojczyźnie duszą i ciałem, bo jest z tych, którzy nie robią nic przez połowę; bo ma w naturze tak, jak i Sawa, że albo wcale czemuś nie służy, lub gdy służy, to do ostatniego tchu.

Czy im to w jakiszkolwiek sposób ubliża, czy może poniża ich to w naszych oczach? Bynajmniej. Raczej podnosi ich wartość i jako ludzi i jako kreacyi. Bo że nie mają anielskich dusz i skrzydeł i nieustannych porywów ku wielkim czynom, któreby im obrzydzały słodczye użycia, to wskazuje, że są rzeczywistymi ludźmi, jacy byli w owe czasy w Polsce, i jacy są dziś, i będą zawsze.

A że wyrzekłszy się,—choćby dla błahych względów, a nie wyższych pobudek — ziemiańskiego próżnowania oddają się obowiązkom cali, aż do resztek krwi swojej, to dowodzi, że są rzeczywistymi także, ale w dodatku takimi ludźmi, jacy byli wówczas i będą zapewne w przyszłości, ale jakich dziś jest stosunkowo niewielu. I to ich na bohaterów pasuje.

Wartość kreacyi zaś, o tyle się przez to podnosi, że obok innych zalet mają za sobą zaletę psychologicznej i dziejowej prawdy.

Co do bohaterek, jeżeli są w czem do siebie podobne, to chyba w tem, że gdyby Swentyna kochała, pewnieby kochała tak mocno, jak Aniela.

Zresztą jest taka, jak gdyby wypłała całe morze smutku. A przytem z daleka widziana przedstawia obraz pełnego melancholijnego kontrastu: to dziewczę młode, stojące tak blisko grobowca Polski, oddane służbie umarłych i samo myślące o śmierci, o kurhanie, na którym położy głowę, albo o rzece, przez którą wpływ pójdzie i z której wezmą ją rusałki srebrne i pochowają w śpiewającym grobie, a obok tego czerstwe, hoże, piękne, a tak niewinne, jak biała lilia, a takie dunne, jak gdyby królowna, to dziewczę stoi przed nami niby czarodziejka z brylantowej bajki, lub zaklęty i uosobiony duch stepu.

Aniela, mniej eteryczna, mniej też jest „wiatr i gołębica.“ Delikatną jest i czułą, ale pełną moralnej jędrności. Delikatność i czułość nie są w niej oznaką niemocy: one pochodzą z dziewiczości serca jej, i jakby z subtelnej, ale zdrowej miękkości jej pannieńskiej duszy.

Jej wrażliwość nie jest ani chorobliwą, ani powierzchowną tytko; jej miłość może dać szczęście, podczas gdy miłość Swen-

tyny dałaby tylko może nieskończoną i wieczną tęsknotę. Zresztą, aby poznać Anielę, dość jest przeczytać jedyne w swoim rodzaju arcydzieło, list jej do Beniowskiego, w zamku Ladawy pisany.

Kiedy Słowacki powiada, że list ten „w niebo rwał i w piekło spychał,“—nie przesadza wcale.

Albowiem jest w nim istotnie tyle miłości, ileby się w żaden na świecie list nie zmieściło. Zdaje się nam, czytając, że dziewczyna wyjęła serce swoje i położyła na dłoni, ażeby w oczach naszych biło i drżało. A w tem drzeniu jest magnetyczny jakiś żar, który upaja i odurza:

„O mój Zbigniewie, nie miej ty obawy.
 ... Nigdy ojca wola,
 Nigdy ponęta, nigdy przestrasz krwawy,
 Nigdy szalone szczęście lub niedola
 Nie skłonią serca mego do odmiany!
 Bądź sławny — jesteś mój — jesteś kochany.
 Odjeżdżam teraz, ale się otoczę
 Myślami, kwiatów podolskich zapachem,
 Woniami, które były tak uroczne,
 Gdy w Anielinkach pod słomianym dachem
 Tyś mnie porzucał, a ja ci warkocze
 Dałam całować, przenikniona strachem,
 Abyś mi u nóg nie padł konający—
 Tak byłeś blady przy gwiazdach i drżący.“

A po tej cudnej ekspozycyi wzajemnych uczuć obojga kochanków idzie śliczna a głęboka spowiedź, jak niespokojną jest dusza dziewczyny, jak smutno rzucać jej te miejsca, te stawy, skąd ojciec ją do stolicy bierze. Bławatek, który dziś długo przy sobie nosiła rzuca w filizankę z lawy. Gdyby Zbigniewa boje do zamku przywiodły — niechaj weźmie kwiatek, bo to dla niego. A nadziei nie wolno mu tracić nigdy! Kto wolę ma, ten wszystko dokona, a on nie może zginąć tak, jak inni, „których nikt nie kocha.“ A przytem Diwa stara pomyślnie wróżyła:

„Odpowiedziała, że będziesz szczęśliwy,
 Że się o ciebie wiele duchów kłóci,
 Czarnych—i złotych z tęczowemi grzywy,
 A czyny twoje ktoś na harfie nuci.
 Że zawrzesz z królem Indyjskim przymierze:
 — Nie będziesz temu wierzył—lecz ja... wierzę.“

Czytając ten list, przychodzimy do przekonania, że niepodobna chyba, ażeby dusza kobiety mogła się wyrazić łagodniej, prościej, a tak aż do głębi, do dna swoich uczuć, marzeń i nadziei.

Niema tu żadnych sztucznych środków, ani efektów, nie, co by na chwilę zmańciło wrażenie, że to jest głos, idący prosto z dziewiczego serca, nie szukający dla siebie zręcznej formy, piękny sam przez się i nie wiedzący o sobie, iż jest pięknym.

To też bez wątpienia jest to jeden z najcudowniejszych ustępów poematu, mogący iść w porównanie ze sceną pożegnania w Anielinkach, albo ze sceną u groty pomiędzy Sawą a Swentyną, kiedy ta, zdaje się, lada chwila puści gołębie swoje i frunie za nimi gdzieś w step na kurhany.

Czy postaci takie i takie sceny zyskałyby co na odosobnieniu od nacechowanych subiektywizmem strof poematu? Zdaje się, że raczej mogłyby wiele na tem stracić.

Jeżeli wolno użyć porównania, przypomniabym tutaj, że byli tacy, którzy w Grunwaldzie Matejki nie chcieli widzieć nic, oprócz pięknych głów, świetnej karnacy i ciekawych archeologicznych drobiazgów. Dla nich te szczegóły, gdyby je z płótna wykroić i oprawić w osobne ramki, miałyby więcej wartości, niż w połączeniu z niezrozumiałym chaosem walki, z beładem splątanych ciał i bijących w siebie zastępów. Czy mieli rację? Rzecz prosta, że jej nie mieli.

Te głowy i te szczegóły nie zyskały, ale straciłyby na tem. Bo chociaż żadnej nie uległyby zmianie same w sobie, tracąc związek z całością, pozbyłyby się tego piętna, które ono na nich wyciska. A nie jest to rzecz małoważna. Wyraz twarzy, wyraz oczu, układ mięśni, układ całego ciała, to wszystko, nabiera wyższego znaczenia, więcej niejako wydaje ze siebie treści, kiedy jest bezpośrednio związane z szeregiem zjawisk, ludzi czy wypadków. Bo te ostatnie zostawać muszą do tamtych w stosunku przyczyny lub następstwa, a przez to nietylko mieszczą w sobie ich objaśnienie i pozwalają lepiej je zrozumieć, ale i same z nich objaśnienie czerpiąc dają inn możliwość lepszego uwydatnienia swej treści.

Głowa Witolda wycięta z płótna i oprawiona w ramę oddzielną wydałaby się głową waryata. Na obrazie jest głową upojonego tryumfem bohatera. Coś podobnego trzeba powiedzieć i o Beniowskim.

Gdybyśmy w nim część opisową odłączyli od reszty, to chociaż nie stałyby się przez to obrazy mniej pięknymi, tak samo, jak nie zmieniłaby się głowa Witolda po wykrojeniu, przecież,

tak jak ona, straciłyby ten głęboki sens psychologiczny, jaki się w nich ukrywa. Jeżeli chodzi o genezę ich, trzeba twierdzić, że postacie są takimi, jakimi je widzimy, dlatego, że oddziaływanie subiektywnych czynników takimi je zrobiło.

Gdyby poeta tworzył je niezależnie od ostatnich, pewnoby inne były duchem i wyglądały inaczej. Ubocznie dowodzi tego fakt, że „Beniowski“ pierwotnie miał być dramatem; w tym dramacie wyglądałyby z pewnością odmiennie od znanego nam bohatera, bo inny zupełnie charakter muszą mieć postacie dramatyczne, niż epickie.

Impuls do nadania im charakteru epickiego oczywiście nie mógł wyjść skąd inąd, tylko ze źródeł subiektywnych, które w danej chwili wezbrały, wylały, i rozstrzygnęły o wszystkich ich ryśach, cechach i własnościach.

Ani więc należy brać postaci tych w oderwaniu od całego dzieła, ani je można w ten sposób jasno zrozumieć.

Z drugiej strony obrazy i postacie raz stworzone rzucają pewne światło na subiektywne czynniki duszy poety. A chociaż może mniej tu światła owego potrzeba, niż w pierwszym przypadku, nadaje się ono jednak, bo rozproszone szczegóły zbiera, skupia i wyjaśnia pozorne sprzeczności. Druga więc część poematu tak samo jest potrzebna pierwszej, jak pierwsza drugiej i dopiero obie razem tworzą samoistną całość.

Karyera twórcza Słowackiego, jeżeli się jej pilnie przyjrzymy, nie jest w rozwoju swym pozbawioną niejakiej prawidłowości. Prawidłowość ta daje się nawet ująć w formułę, nie doskonałą może, ale dostateczną i zdolną wyjaśnić jeszcze z jednej strony stanowisko „Beniowskiego“ w szeregu innych dzieł poety. Pomijając naturę i treść bezpośrednich wrażeń, jakimi życie na niego działało, a pamiętając jedynie na sam fakt ich istnienia, trzeba przyznać, że twórczość Słowackiego, na początku całkiem od nich niezależna, poczyna się potem do nich naginać i ulegać im coraz bardziej. Z drugiej strony, wrażenia bezpośrednio, z początku tylko pobudzają ducha poety do twórczości; potem, pobudzają jeszcze, lecz wywołują przeciw sobie reakcję, aż w końcu reakcja dochodzi do szczytu natężenia, a duch poety wraca do pierwotnej niezależności i zaczyna czerpać natchnienie u źródeł mistycznych.

Taka jest formuła.

Na początku tworzy poeta „Balladynę“, „Mazepę.“ Powstają one wyłącznie z myśli, z głowy, po której — np. raz „zaczął galopować Mazepa“ — jak opowiada sam poeta — i stąd dramat.

Następnie wrażenia zaczynają powoli działać i obudzają swym bezpośrednim wpływem twórczość „W Szwajcaryi,“ w „Ojcu Zadzumionych.“ Potem działają wciąż i podniecają twórczość, ale z wolna rodzi się przeciw nim w duszy poety reakcja, której ślady widzimy np. w „Podróży na Wschód,“ a która z całą siłą występuje w „Beniowskim.“ Wreszcie reakcja przemaga, poeta wyzwala się niejako z zależności -- i pod wpływem mistycznych zachwytyłów czerpie z idei, co przestał czerpać z życia.

Otóż Beniowski stoi na przelomie, dzielącym dwie ostatnie fazy. Duch poety drażniony był, w następstwie czego tworzył i reagował. Jeszcze jeden krok, a otrząśnie się z ciężącej mu niewoli.

W „Beniowskim“ twórczość mocno napięta i nastrojona na wysokie tony ma w sobie wyraźnie utkwiony pierwiastek swego przeciwdziałania, które oblały *cały* poemat szczególnem światłem.

Ale są to zarazem ostatnie silniejsze przebliski wpływu bezpośrednich życiowych wrażeń. Zaraz bowiem przyjdą czasy, kiedy już nie tak, jak na początku — z kombinacji niepodległej myśli,—ani, jak następnie, z bezpośredniego nacisku z zewnątrz, będzie poeta czerpał natchnienie. Pograży się on w siebie i stanie się służebnikiem ducha, który go przemoże. Bo nie jest to prawdą, *żeby* twórczość Słowackiego poraz ostatni jasno wybuchnęła w „Beniowskim.“ Ona i później okazuje ogromną nieśmiertelną siłę. Tylko że później obrała inny punkt oparcia i przyjęła inny kierunek. Co jest prawdą, to, że w „Beniowskim“ Słowacki poraz ostatni daje nam poznać siebie na stanowisku poprzedniej fazy twórczości. Nadto, w „Beniowskim“ z pośród wszystkich dzieł najwięcej jest jego samego. „Odblask życia jego padł“ na poemat ten bardziej, niż na jakiebądź inne dzieło. To też tutaj dopiero poznać można tę duszę—wielką zawsze—a czasem tylko—niezrozumiałą.

A dlaczego tutaj przedewszystkiem, na to są dwa powody:

O Słowackim wiemy bardzo wiele. Życie jego zdaje się nie ma dla nas żadnych tajemnic.

Ale powiedzieć, że znamy go zupełnie, byłoby jeszcze przedwcześnie. Syntezy jego ducha skończonej i ostatecznej—jeszcze nie zrobiono; co najwyżej zebrano dla niej wszystkie materiały, bądź to w postaci gołych faktów, bądź też pierwszych przygotowanych z nich uogólnień.

Ale *żebyśmy* znali tego człowieka takim, jakim istotnie był w sobie,—*żebyśmy* przestali sądzić, iż takim *był*, jakim się w poszczególnych wypadkach *wydawał* współczesnym, którzy przekazywali nam swoje urywkowe wrażenia, jakgdyby szkła kolorowe do

spoglądania na wszystko, co sam poeta po sobie zostawił—do tego jeszcze nie przyszło.

Ten umysł i ten charakter jest dla nas wciąż jeszcze węzłem najbardziej splątanych sprzeczności.

Lecz ile razy widzimy w człowieku tylko sprzeczności—te le razy nie znamy go.

Albowiem każdy duch i charakter jest jednolity.

Sprzeczne mogą być tylko czyny. Ale następstwo uczuć i myśli jest w człowieku zawsze logiczne.

Wynikający z nich wybór dróg postępowania, zawsze przedstawia szereg objawów naturalnych i logicznych. Trzeba je tylko pojmować nie w odosobnieniu, bo wtedy mogą być sprzeczne, ale na tle, które je rodzi.

Wnioskować z faktów o charakterze, to jeszcze nie dosyć. Ażebymy poznać człowieka, należy wykryć stosunek między *każdym* faktem, a całą skalą uczuć i myśli, wypełniających ciąg duchowego życia, a rodzących się z jakiejś podstawowej, fundamentalnej potrzeby ducha, która to potrzeba dopiero jest dla niego jedną, konieczną, określającą go ściśle i charakterystyczną, która jest jego—synteza.

Słowacki ma fantazyę bujną, Słowacki ma za mało refleksyi, Słowackiemu brak siły konstrukcyjnej; Słowacki w wykonaniu genialnych pomysłów jest nierówny. Wszystko to może być, owszem, jest zapewne prawdą. Ale też wszystko to, postawione poprostu obok siebie, zamiast się wzajemnie oświeślać, stwarza zamęt sprzeczności w szczegółowych sądach. Oczywiście dlatego, że najpierw nie zawsze ta lub owa właściwość poety jest pochwycona trafnie, a potem i dlatego jeszcze, że stosunek każdej z właściwości tych do tego, co jest tłem i istotą ducha poety, a co samo dopiero sprowadzićby je mogło do rzeczywistego znaczenia—wyjaśniony nie jest.

Słowacki ma charakter czysty i wzniosły; Słowacki przed innymi wywierał na naród wpływ uszlachetniający; Słowacki jest zarozumiały i próżny; Słowacki jest zawistny o sławę. To wszystko w każdym poszczególnym fakcie, z którego jest wywnioskowane, może się wydawać prawdą. Ale razem, ale chcieć jednocześnie widzieć w sercu poety i to, co wzniosłe, i to, co poziome—jest dosyć trudno.

A nawet po zadaniu takiego gwałtu sercu temu, czujemy całą bezowocność naszego wysiłku. Czujemy, że jeszcze tu czegoś brak, że niema czegoś, co by te wszystkie przypadki, wikłające nas w sprzecznościach, objęło, postawiło we właściwym świetle

i ukazało nam owe tło, ową fundamentalną potrzebę, z której wszystko wypływa logicznie i która je wszystkie do jedności sprowadza. Otóż, jeżeli kiedy braki te zapełnione zostaną, stanie się to w znacznej części przy pomocy „Beniowskiego.“ Bo właśnie, jak z jednej strony uwydatnił tutaj poeta w pojedynczych szczegółach wszystkie, tak dobrze, jak niedobrze jeszcze pojęte cechy umysłu swojego, tak z drugiej—jest poemat ten (zdaniem krytyki) dziełem, w którym najbardziej ambarasujące rysy charakteru Słowackiego wystąpiły najjaskrawiej.

A wątpliwości najlepiej jest rozstrzygać tam, gdzie badany przedmiot wyraził się w najdobitniejszym i najbardziej charakterystycznym kształcie.

Naturalnie, zadanie to ani rozwiązaniem, ani nawet podjęciem być tutaj nie może. Leży ono w tej chwili poza obrębem wytkniętego celu, którym było powiedzenie paru słów wyłącznie o „Beniowskim.“

Ale trzeba było zaznaczyć prawdopodobny pożytek jego dla takiego studium, bo to należy do charakterystyki znaczenia i doniosłości tego poematu.

MARYA KONOPNICKA.

METAFIZYKA

W POEZJI SŁOWACKIEGO.

Słowacki jest wśród poetów najgłębszym metafizykiem, a wśród metafizyków najwznioślejszym poetą. Trzeba było tego wyjątkowego zupełnie wypadku, by wielki poeta nagle, pod wpływem spotkania z mistyczną potęgą skupionej woli Towiańskiego, zapłonął chęcią badania wszelkich tajemnic rzeczywistości — aby nam dać system metafizyczny, wyrażony w słowach przepięknie z sobą połączonych i dziwnie jasno ukazujących prawdy zazwyczaj ciemne. Czytelnicy Słowackiego, pod urokiem piękna jego utworów, rzadko sobie zdają sprawę z całej logicznej konsekwencji poglądów metafizycznych, wyrażonych przez wieszczę w ostatnich siedmiu latach jego życia, od r. 1842 — 49. Dopiero teraz, kiedy ważniejsze pisma tej epoki są zebrane w dostępnych dla ogółu wydaniach, zestawienie ich ułatwia nam ogarnięcie tej przedziwnej całości, jaką ostateczny i dojrzały pogląd na świat Słowackiego stanowi. Słowacki wyrasta wtedy w oczach naszych na genialnego myśliciela, mającego dla wyrażenia swych myśli wszystkie barwy niepospolitego języka poety. Takie połączenie poezji z metafizyką, zdolności bardzo ścisłego myślenia z darem poetycznego wyśłowienia, od czasów Platona nie było znane w ludzkości — chyba u Dantego.

Warto więc zdać sobie sprawę z tej metafizyki Słowackiego i rozpowszechniać jej znajomość, tembardziej, że główne prawdy metafizyki Słowackiego nie tylko jego zapatrywanie wyrażają, lecz dziwnie się też godzą z mniej szczegółowo wyrażonymi poglądami Krasińskiego, a szczególnie Mickiewicza, nie mówiąc już o samym Towiańskim, który systematycznym i konsekwentnym myślicielem nie był, choć myśli innych rozbudzał. Dobrze zrozumie-

nie metafizyki Słowackiego będzie przeto stanowiło przyczynek do zrozumienia metafizyki najdojrzałszej doby Mickiewicza i Kraśińskiego. A łatwiej Słowackiego słowami te prawdy metafizyki polskiej wyrazić, niż szukać ich u innych naszych wieszczów, bo Słowacki najjaśniej je sformułował, najzupełniej je opracował, kładąc całe swe życie i wszystkie siły w to *słowo narodu*, które było przedmiotem największej jego czci i miłości. Więc w Słowackim jest główny klucz do zrozumienia mesyanizmu polskiego—i od znajomości i zrozumienia metafizyki Słowackiego zależeć będzie pojęcie głębsze ostatnich dwudziestu lat życia Mickiewicza, o których biografowie tak często wspominają z politowaniem, jakby one były zmarnowane, jakby największy duch narodu mógł być obałamucony i zepsuty przez jakiegoś niedokształconego szalbierza!

Psychologia Słowackiego, jako podstawa jego metafizyki, trudną będzie do pojęcia uczniom współczesnych psychologów i psychofizjologów niemieckich, którzy piszą rozprawy i dzieła o psychologii, wcale nie zastanawiając się nad duszą. Taka bezduszna psychologia ma dziś swych przedstawicieli nawet na polskich wszechnicach i uchodzi za szczególnie naukową. U Słowackiego cała psychologia opiera się na świadomości jaźni, a losy jaźni są dla niego głównym przedmiotem godnym uwagi. Każda jaźń istnieje od wieków, a istniała przed początkiem stworzenia widzialności, jako duch w Słowie. Słowo jest wyrazem Bytu, znane w teologii, jako druga osoba Trójcy, gdy Byt, jako Bóg Ojciec, jest pierwszą osobą. Byt jest Czystym Duchem, który, gdy się nazewnątrż wyraża, staje się Słowem. Słowo zaś obejmowało zawsze wielość jaźni. Rozwój świata widzialnego, materialnego zależy od wolnej woli Duchów, które same widzialności zapragnęły, a każdy kształt z woli i miłości wywodzą, za zgodą Ojca wiekuistego i z Jego ciągłym udziałem. Zamieniają one myśl o kształcie w kształt, czyli wcielają te kształty. Gdy „w sercach się zacznie światłości bożej strumienny ruch, co myśl pomyśli przezeń, to stworzy, bo moc—to duch.“

Ale w tej pracy genezyjskiej, z której Bóg odbiera ostateczny wyrób miłości, dla której wszystko jest stworzone i przez którą wszystko się rodzi, są szczeble stopniowe, powoli zdobywane, a tem trudniej zdobywane, im krótszą jaźń jaka odbyła drogę od początku: „*Duch zaczął w ziarnie granitu robotę twórczą i stanął pod Chrystusem cały; każdy twór jakąś wypracował enotę, a wyższe już ją bez trudności miały, a Chrystus wszystko ma w jasnym beztrudzie i to, co słońca mu robią i ludzie.*“ Rozmaite, zdobyte

przez jakąś wyjątkową jaźń szczeble, służą potem innym jaźniom, ale droga postępu nie jest jednakowa dla wszystkich. Duch dyamentu lub granitu, gdy pierwsze kryształy tworzyć zaczął, lubował się ich trwałością i blaskiem, ale duch, później wcielony w najskromniejszym robaku, przez to, że się trwałości i blasku dyamentu wyrzekł, zyskał wyższą formę organicznego życia, która zawierała w sobie zaczątek dalszych postępów, niemożliwych bez śmierci. Śmierć, czyli opuszczenie utworzonego kształtu przez jaźń, która go pomyślała i wcieliła, jest na niższych stopniach istnienia, gdy dopiero co się zjawiła w świecie widzialności, najczęstsza, a w miarę, jak jaźń doskonalsze kształty na miejsce porzuconych przez nią ciał pozyskuje, te kształty zyskują większą trwałość znowu, lecz już nie trwałość niezmienną granitu, lecz trwałość pełną ruchu i życia, jaka ma kiedyś cechować nieśmiertelnego ciałem człowieka na ziemi.

Ten kres ewolucji form nieraz staje przed wyobraźnią wieszacza. W wierszu do Norwida mówi, że gdy ten „glob nocny,“ ziemia, dziś „karany sprawiedliwie,“ uwiązany kiedyś zostanie „do girlandy globów, które czas zachwyceniem miłości pożarły“—to przez nieśmiertelność jaźni i wszechmoc jej wytrwałych wysiłków „już nie będzie grobów, ciało już nie uzna skażenia, bo już je duch na wiecznotrwanie rozpromienia.“

Ta sama nadzieja powrotu do trwałości form, zaniechanej, gdy pierwszy duch jakiegoś kryształu na śmierć się ofiarował i pierwsze organiczne ciało przyodziął—ta nadzieja nieśmiertelności ciał organicznych, wyższej już niż wiecznotrwałość ciał nieorganicznych, jest wyrażona w rapsodzie o Mieczysławie pierwszym, który do żony swej Dąbrówki mówi: „Przyszedł mi sen, jakoby sprawdzenie, żem był, jak anioł prowadzący twory; a gdzieś u spodu były aż kamienie, a na kamieniach różne dziwotwory—zwierzęta dziwne, ubrane w płomienie, a na nich drzewa, różne i kolory—wszystko we mgle jakiejś na dole i w zmirzchu, a ja na ludziach słonecznych na wierzchu. I w miarę, jakem Pana Boga prosił o przybliżenie słońc—o treść słoneczną: duch mój się wyżej i wyżej podnosił; a kto wstępował w zorzę ciała wieczną! Lecz gdym ja także alleluja głosił, u dołu śmierć się stawała konieczną; w nizinie, gdzie form była zawierucha, smokom, lwom, gadom nie stawało ducha. Takiego strachu wam nie wyobrażę, jaki szedł od tej pierwotnej natury, która traciła skrzydła—ogień—twarze—oczy z błyskawic—języki z purpury. Straszne robiły się jakieś cmentarze pod tą kolumną, która się u gó-

ry stawała w formie duchowi poddana, lepszą — jutrzeńką przyszłą — już różaną.“

Ten przykład uczy, jak pewne przez jaźń na wiele tysiącleci utracone przywileje, mogą być na wyższym szczeblu zdobyte w nowej, wyższej, doskonalszej formie. Trwałość kształtu jest zdobytą na szczeblu ewolucji nieorganicznej dopiero w kryształach — zaniechaną przy wejściu na drogę rozwoju organicznego, a znów przyobiecana, jako kres dalszego rozwoju, gdy w zorzę ciała wieczną wkroczą jaźnie wybrane, już zupełnie panujące nad ciałem, dzięki pierwiastkowi światła „uwieczniającemu ciało.“

Nie wszystkie jaźnie wybrały drogę szybszego postępu form przez śmierć wiodącą. Są, prócz jaźni wcielających się w formy organiczne, wiodące do ludzkiego żywota, jeszcze duchy elementarne, o kształtach nikłych i wiotkich, przejrzystych i oporu nie stawiających, a jednak trwałych. Taką jest Nereida, która jednak skarży się: „W świecie duchów nie więcej dziś, nieszczęsna, ważę, jak martwe prawo. Duchy mają swoje twarze, swoje serca—ja jestem bez serca, bez lica, bez miłości... okropna, żywotna martwica, przed wiekami już w ręce Jehowy umarła; bom chciała żyć i śmiercią się wielkiej wyparła, przelekniona imieniem jej.“ Duchy te mają blask wolny od ognia namiętności, który pali ciała organiczne i przedwcześnie je zużywa.

Życie takiej nereidy opisuje Lucyfer, duch siły, żywotności, buntu, kontrastów i pożądań ognistych, temi słowami, pełnemi ironii: „Możesz łać zielone rzeki z alabastrowych dzbanków, albo błada wieszać się mgłami, prochem, jak kaskada około Jungfrau, i duch rzucać świeży, podwiana wiatrem, na samych pasterzy.“

Wyższy typ duchów elementarnych widzimy w Amfitrycie, także pełnej blasku, której głos „fal tysiącem szczeka.“ Niektóre duchy elementarne zawracają na swej drodze i kierują się ku zdobyciu śmiertelnych kształtów, jak Dyana, która stała się „bliższa Pana,“ gdy została „na śmierć ofiarowana.“

Bogowie ludów pogańskich są także duchami rzeczywistymi, moc pewną do czasu nad ludźmi posiadającymi. Ich władza jednak od wiary ludzi zależy, a gdy duch największy jakiego narodu nie wierzy, to władza bogów nad tym narodem zachwiana bywa, jak skarży się Mieczysławowi kapłanka: „Wyrocziom naszym odebrano ducha! Węże nie służą, gołębie nas zwodzą, ogień z pod źródeł naszych nie wybucha, kłątwy wiatr czynią—a zbożom nie szkodzą; piorun nie bije—lecz tylko wyświecniła pierś, jak w boleściach błyskawica letnia... Anioł ognisty nad lasami leży, piersi rozedrze, ogniem z łona buchnie, a pokazanych palcem nie uderzy.“

Jaźnie te odwieczne, które przez różne organiczne formy dochodziły do kształtu ludzkiego, porzucając zużyte namiętnością cielesną ciała i wytwarzając sobie ciągle nowe formy w szeregu wcieleni, nie miały wytkniętej z góry drogi, ani stałej jakiejś kolei wskazanych form do przebycia. One były, są i będą współtwórcami widzialności, więc nawet już na najniższych szczeblach własny udział miały w zamierzanych zmianach. Ale każda zmiana była zmianą w duchu, w myśli, nim się w ciele wyraziła.

Historję jednego szeregu takich przemian mamy w rozmowie między Lucyferem a Amfitrytą w „Samuelu Zborowskim.“ On to „niegdyś w pierwszym czerwonym polipie zgoniwszy brata na morskim błękanie, jako krew na krwi i sito na sicie, błoto na błocie, warkocz na warkocz, położył na nim sto rąk, paszczek, oczu, i pod spodem gryźli się nędzarze,“ pierwszą krew w walce o byt wówczas poczętej wylewając. To zabójstwo miało wprowadzić do bytu, objawiającego się w przestrzeni, znakomite przyśpieszenie przemian, bo nie trzeba już było czekać, aż ogień życia strawi i zużyje organizm, lecz każdy słabszy organizm ginął w walce z silniejszym, wyzwalając jaźń, która, nabywszy doświadczenia, silniejsze sobie ciało stwarzała, czerpiąc może czasem soki żywotne i zapładniające ze krwi samego mordercy. Ten sam duch, co kiedyś pierwszy się ważył na gwałtowne wyzwolenie z ciała innego ducha, a przez przyśpieszenie śmierci ciał, przyśpieszał „pęd duchowy żywota“ — po wielu wiekach znów się odznacza tem, że pierwszy mózg zbudował i pierwszym okiem błysnął, „poglądający na braci męczarnie, jakby chciał pierwszą zapalić latarnię, świecąca pierwszym bóleściom podziemnym.“ Ten sam duch, gdy już przez roślinne kształty doszedł do swobody ruchów w zwierzętach morskich, dobrowolnie wyrzeka się tego przywileju, aby żyć mógł bez otaczającej go wody, na suchym lądzie, i tam stwarza pierwsze rośliny, skazując się znów na nieruchomości, ale w rzadszym żywiole powietrza.

To twierdzenie, że ta sama jaźń, co w morzu doszła do zażytych i ruchliwych kształtów zwierzęcych, na suchym lądzie znów zaczyna swe wcielenia od form roślinnych, nieda się ani potwierdzić, ani obalić przez odkrycia paleontologiczne, bo nie chodzi tu o sprawdzalną kolej ciał od siebie pochodzących, lecz o następstwo ciał, niemających między sobą fizyologicznego związku, tylko stanowiących pewną kolej żywotów jednej i tej samej niewidzialnej jaźni. O takiej jaźni mówi Amfitryta: „On to z pierwszymi żywota szatany, w których już wzrok był — mózg i warkocz sinocy, powydzierali sobie ze łba oczy, mózgi potłukli

na skałach, a sami ssącemi w ziemię wrosli warkoczami, sok cały z ziemi ciągnąc w zgniłe trzewa — z pierwszych aniołów fali pierwsze drzewa na trzecim świecie.“

Ten sam duch był później pierwszą gadziną w czwartym żywocie i, jako wąż, pierwszy raz dźwiękiem dotąd głuchoniemy świat przeraził: „Świst węża był pierwszym głosem pierwszego oręża myśli dobyty... wy, co dziś śpiewacie z mojego świstu, z mego zadziwienia macie pieśń, struny, co serce z kamienia kruszą.“

Przeciwstawiając te zmiany żywotowi Amfitryty, która wytrwała niezmienna, Lucyfer mówi z dumą: „Jam wstał i twoje otchłanie zwyciężył—i zostawiłem cię, jak wieki, starą, a sam poszedłem do góry ofiarą, w Królestwo Boże, a tyś tu została, gdy ja sam, ciągły stwórca mego ciała, tworzyłem siebie — kawał po kawale...“ „Mówisz już duchem człowieka, który nad tobą ma, o widno stare, stokrotną z ciała swojego ofiarę, łamanie nieszczęść—wściekłych akwilonów, wieniec z tysięcznych dobrowolnych zgonów, jaśniejszy dobrze od twego miesiąca i ze zmartwych-wstań ma wieniec tysiąca.“

Są inne znów gatunki jaźni, co inną drogą postępując, o sobie mówią, że „złotego łańcucha nie puszczając z dłoni, od białej sadów jabłoni do dębu, co w lasach stoi okryty pszczoł harfą złotą, od ptaszka, co liścia się boi, do orła, co chmur ciemnotą otoczony i piorunami, wszystkośmy stworzyli sami.“ Mamy tu powolną i spokojną ewolucję kształtów przez pewne jaźnie wybraną, w przeciwstawieniu do burzliwych żywotów takich jaźni, jak Lucyfer.

Dopiero te duchy, co się na śmierć ofiarowały, poznały pełnię życia: „Pierwsza ofiara tego ślimaczka, który prosił cię Boże, abyś mu w kawałku kamiennej materii pełniejszym żywotem rozweselić się pozwolił, a potem śmiercią zniszczył, była już niby obrazem ofiary Chrystusa Pana i nie straconą została; albowiem Tyś Panie nagrodił tę śmierć, pojawioną w naturze poraz pierwszy, darem, który dzisiaj nazywamy organizmem. Z tej śmierci, jako z najpierwszej ofiary, wyrodziło się najpierwsze zmartwych-wstanie.“

Dopiero przez śmierć daną została duchowi cudowna siła odtworzenia podobnej sobie formy, „przez którą to potęgę, w różnej liczbie ujedynione duchy, uderzając na siebie i zogniając moce swoje, zostały twórcami kształtów sobie podobnych.“

Każdy zaś nowy kształt, przez jaźń jakąś stworzony, służy potem wielu innym jaźniom za wzór. Tak np. Słowacki sądził, że ptaki, które dziś widzimy, podobniejsze są w kształtach i ru-

chach do ptaków z przed dwóch tysięcy lat, niż jakikolwiek inny przedmiot nieorganiczny z tych czasów przechowany.

Każdy kamień uległ przemianom, a kształt zórawia wtedy istniejący, bez zmiany służy dziś jeszcze duchom w ten sposób wyrażającym swój byt.

Rozwojowi ducha stoi na przeszkodzie tylko lenistwo jego i upodobanie do wygody znanego już kształtu. O takich duchach nam wieszcz mówi: „Porodziły się w łonie wodnem monstra ostrożne, leniwe, zimne, opierające się z rozpaczą ruchowi fal, oczekujące śmierci na miejscu, gdzie się porodziły, nie wiedzące zgoła nic o dalszej naturze.“ Zleniwienie się ducha w drodze postępu, „chęć pobytowania dłuższego w materii, dbanie o trwałość i o formy wygodę, były i są dotąd jedynym grzechem braci moich i duchów, synów twoich“—mówi Słowacki do Boga w Genezis z ducha. Ale to lenistwo, jako naczelny grzech ducha, bywa łamane uciskiem i boleścią, którą Bóg zmusza duchy do tworzenia lepszych form, wywołując w nich większą siłę twórczą. Każdy postęp jednego ducha odbija się na całym stworzeniu—a na postęp ten składa się też wiele niższych tworów tęsknotą swoją. Gdy nareszcie forma ludzka miała się zjawić na ziemi „najdumniejsze twory zeszyły się na łąkę Edenu, zapomniawszy o żądzach, wściekłościach i krwiożerstwie, modlitwą w duchu podniesione, westchnieniem ducha wzbite nad własną naturę... i była to jedyna chwila spokojności i Edenu na ziemi, i oto Ty, Panie, wywołałeś ku sobie tego ducha, który już był wart ludzkości, wysłuchałeś go, osądziłeś i pozwoliłeś mu wziąć formę nową na ziemi, a w ciało jego, jak w jedną księgę, wpisałeś wszystkie tajemnice dawnej, przedludzkiej pracy.“

Stosunek wzajemny do siebie duchów wyższych i niższych, postępujących i zaleniwionych, zajmuje myśl Słowackiego często i zawsze kładzie on nacisk na to, że nawet najniższe duchy mają udział w postępach duchów wyższych. Gdy chrześcijaństwo miało być wprowadzone do Polski przez Mieczysława, „cała kraina, rosnać w niebo przeznaczona, Bogu służyła i zasługiwała duchem uczynków.“ Mieczysław zaś światłem nowej, Jezusowej wiary miał „oświecić łąki—góry—lasy—rycerzy zbroje, czoła—i sztandary“—nietylko dusze. A gdy do chaty Piasta przychodzą aniołowie „wielka była gwiazd zawieja, wielkie czerwonych meteorów złość, wielkie rozruchy swoje miała knieja, wielki niepokój ptaków na niebiosach—natura cała w westchnieniach i głosach wołała: Boże, wiekuisty Panie! Podnieś mię całą, podniósłszy człowieka!

Daj mi przez wyższy oddech oddychanie! Daj krok, na który już czekam od wieka.“

Związek wszystkich duchów z Bogiem, a przez Boga między sobą, jest uwydatniany przez Słowackiego bardzo często w późniejszych jego dziełach i stanowi zasadniczą myśl jego psychologii. Każdy duch jest nieśmiertelny i ma przed sobą nieskończone pole stopniowego doskonalenia się, ale nie zawsze pozostaje odziany jakimś ciałem. I owszem, dla człowieka między jednym wcieleniem a drugim mijają stulecia.

Ten stan pośmiertny ducha, pozbawionego ciała, opisany jest przez Słowackiego wielokrotnie. Dusza nie odrazu opuszcza ciało po śmierci—pozostaje z niem jeszcze związana, choć już nie zdolna je poruszać. Her mówi: „Duch niewyszły z martwego ciała czuł jakąś dumę, że spokojnie leży.“ A Popiel śmierć swą tak opisuje: „Oczy się chmurą zasłoniły czarną, i duch się cały skupił w jedno ziarno. Nic więcej. Straszne zaćmienie i głusza! na sercu ręki bożej położenie; docisk ostatni, pod którym się dusza pękała w skazy, a wzrok szedł w sumienie. Więc jako robak, co się w ogniu rusza, tak ona, póki w ustach było tchnienie, leżała na dnie swej serdecznej płamy, aż Bóg otworzył jej—wieczności bramy.“

Duch z ciała występuje nagle i wtedy zaczyna się dla niego nowa faza istnienia, o której Her nas tak naucza: „Wtenczas to dusza wystąpiła ze mnie i o swe ciało już nie utroskana, ani za ciałem płacząca daremnie, cała poddana pod wyroki Pana; w Styxie, w letejskiej wodzie, albo w Niemnie, gotowa tracić rzeczy ludzkich miana, poszła—a wiedzą tylko wniebowzięci, czym jest moc czucia, utrata pamięci.“

Pamięć rzeczy przeszłych przeszkadza skupieniu, więc potrzebną jest jej utrata przed rozpoczęciem nowego życia, lecz utracona pamięć może być później w pełni odzyskana. Aby dokonać w duszy potrzebnej przemiany, wynikającej z jej doczesnych doświadczeń, trzeba skupienia. Popiel tak swe pośmiertne doświadczenie opisuje: „Krwawe były węzły, które ducha gniotły, kiedy wychodził z bolesnego ciała, które ból strzaskał, a węże oplotły, gdy ducha—gwiazda jasna wywołała... duch w państwo ducha niewidzialne wchodził, jak gdyby ocknął się—i znów się rodził...“

Wtedy zaczyna się czyściec, którego przebieg zależy od win i grzechów ubiegłego żywota. Przychodzi chwila rozpoczy, „gdy serce jest jak zegar zatrzymany, a ból godzinę zawsze jedną znaczy...“ „serdeczne ci się otwierają rany, a myśli anioł już nie nie

tłómaczy; ze świata cię żadne nie dochodzą wieści, wszystko uci-
chło w duchu, prócz boleści...”

Tych cierpień czyścowych nie pamiętamy później: „O tej
krajnie żaden duch nie gada, a nawet onych mąk pamięć utracą;
bo pamięć taka, choćby jaka błada, niweczy ciało gorzej, niżli
praca, niż nędza, która wnętrzości wyjada, niż przyjaźń, która
zdradą się odpłaca...” Inaczej zaczyna swój wieczny żywot Mie-
czysław, który umarł w stanie łaski: „Nagle z całego ciała, ze
wszystkich kości rzucił się wichrem duch w usta otwarte; krzyk
ze mnie wyszedł takiej wspaniałości, że gmach spękany — cho-
rągwie rozdarte — wiatr wstał — krzyk sądu i sprawiedliwości, który
nad światem wziął berło i wartę i ducha mego był wydany lotem,
a wszystko siłą napełnił i grzmotem. Wtenczas mnie Pańskie por-
wały anioły i niosły w otchłań, a na tej otchłani, jako mgły...
duchy — wielkie apostoły szły — słońce kręgami za głowy porwani,
w chór jeden święty niebieski wspiewani; błękit się cały w duchu
stał wesoły, a glob był niżej, jakoby pod chmurą, zakryty ze
mnie lejącą purpurą.” W ten sposób Słowacki potwierdza wi-
zyami swemi tradycyjalny pogląd na zależność warunków życia
wiecznego po śmierci od wysiłków doczesnych ku doskonałości,
że u niego śmierć nam zwykle znana nie jest jeszcze ostateczną
śmiercią ciała, tylko przerwą żywota ziemskiego, na wieki męki
lub spokoju, po których następuje nowe wcielenie.

W „Zborowskim” chór duchów śpiewa: „Gdzie są te straco-
ne siły? Która z dusz na ziemi zgasła? Czy ojca? Krzyknijcie
hasła, których duch umarły łaknie, a wróć, żaden nie braknie:
czy żebrak, czy pan, czy książę, czy człowiek ubogi z dyna;
żadnego proch nie zatrzyma, żadnego ogniem nie zwiąże, wąż nie
przykuje do trumny.”

Inne duchy odpowiadają: „Duch życia, to rycerz dumny i cią-
gle idzie do góry. Czasem przed prawem natury, jako przed
piorunem, stanie, zbladnie i siły natęży i skoczy w ognia otchła-
nie, wskoczy i piorun zwycięży i powraca z błyskawicą, aniołem
i gotębicą spokojną.”

Przed nowem wcieleniem potrzebne jest jakieś wezwanie.
Kapłanka pogańska Mieczysławowi radzi: „Stuknij w kurhany!
zażądaj: a z tych kości się narodzą rumiani ludzie, lecz bądź sam
rumiany.” Her już nie chciał powracać na ziemię, aż dopiero
wizya Wandy w nim obudziła pragnienie nowego wcielenia, które
on wyraża temi dziwnymi słowami: „Niechaj me oczy rozwidnię
rubinem, który z jej ust światło leje, a nie dbam o to, co mię
dalej czeka: żywoty ducha, czy męki człowieka!” W tym wy-

krzykniku zawarte jest uznanie wcielenia na ogół za mękę w porównaniu z istotnym pełnym życiem wyzwolonego ducha.

Gdy Popieł miał powrócić na świat, jako Mieczysław, przychodzą do niego duchy i objawiają mu, że czas jego męki mija, zarazem wskazując mu zadanie następnego żywota: „Wielką masz spełnić w twej ojczyźnie sprawę, z upokorzeniem twej strasznej natury; pamięci nie bierz... a twych myśli wrzawę uśmierzaj, a patrz jak anioł do góry!“

Przed wcieleniem jaźń, wezwana do powrotu na ziemię, wędruje w kształcie upiora po kraju, w którym ma przyjąć ciało i zapoznaje się z przyszłym polem swej działalności. Bolesław Śmiały, nim się urodził, odbył taką wędrowkę: „Jako właściciel, gdy nabędzie prawa do wioski, zbiera najstarszych z gromady, chodzi i kopce granic rozpoznawa, przekopy, leśne strumienie, lewady, a przy kamieniu i mogile stawa i rozpytuje ludzi — a te dziady, niby wiekową omroczone tęczą, stają i tak jak pszczoły złote brzęczą: podobnie duchem wprzód obszedłem starą całą ojczyznę moją—wszystkie ślady, wszystkie mogiły... i przed każdą marą stawałem smętny, surowy i blade; ażem się wreszcie wskroś widzącą wiarą przekonał w duchu, że niema zagłady, i czas od czynów ludzkich nie ucieka, i zwyciężona jest śmierć przez człowieka.“

Podobnie i Mieczysław przed urodzeniem odbył upiorną wędrowkę: „Spłynąłem, jako czarna mgła—i w chmurze stojący—nagle słyszałem, że krzyczą woźniki wodne i ponocni stróże, którzy tę kępę trzymali słowiczą...“ „Pełny strachu po lasach i karczach błądziłem; a kraj cały był w pomorach, bitwach i rzeziach, zboża niedostarczach.“ W ten sposób, poznawszy skutki swych dawniejszych zbrodni, doznał wewnętrznej przemiany, która z krwawego Popieła uczyniła łagodnego Mieczysława i wyrzekł się dawnych haseł, błogosławiąc krajowi, nad którym miał panować: „A na mnie Pan spojrział litośnie, bo to uczułem, czego nie wie dusza: że mi ojczyzna cała w duchu rośnie, i rosnać ducha mojego przymusza; ale tak radośnie, że sto lat uśmiech trwał, a w myślach głusza; jam tylko rosnał i ofiary składał, a sto lat we mnie duch—uśmiechem gadał.“

Moc ducha powstaje z jego przeszłych doświadczeń, a szczególnie każde cierpienie jest odrywaniem się od przeszłości i zdobywaniem światlejszej przyszłości. Największem na tej drodze niebezpieczeństwem jest namiętność, która światło ducha gasi i ogień cielesny rozpala.

Ta namiętność jest wynikiem grzechu pierworodnego naszych przodków, opisanego w wierszu „na drzewie zawisł wąż.“ Przed

upadkiem pierwotny człowiek miał „tajemnicę stworzenia ze światła i z promienia, z miłości i ze słowa.“ Dopiero duch węża, łaknący ciała, nauczył Ewę płodności, czerpiącej siły w ognistej namiętności. Oto jak do niej przemawiał: „Zwycięż na ziemi zgon, rozwesel cały Eden; ja w was dwóch będę jeden, a we mnie ty i on.“ „Zdołaj duchy splemnić, spokojny ciała dom chwilę zamienić w grom, trójcę w jedność zamienić!“ „Sama ogniami stlej, a gdy mąż się zamroczy, patrz mu ogniście w oczy, usta z ustami zlej!“ „Szepcząc do ucha wciąż, czyń bez żalu i skruchy; ty i on, to dwa duchy, z wami trzeci, ja, wąż.“

W tym obrazie nie należy bynajmniej widzieć tylko poetycznej parafrazy opowieści Mojżeszowej. Słowacki miał, niezależnie od tradycji, objawienia i z całą powagą nas naucza, że w istocie zaszła niegdyś straszna katastrofa moralna, która ludzkość z prostej drogi rozwoju sprowadziła na wiele tysięcy lat — i o tej to istotnej katastrofie zachowała się alegoryczna tradycja u Mojżesza. Ogień namiętności pali odtąd najszlachetniejsze nawet dusze — i powstrzymuje ludzkość w postępie duchowym. Związek tej pożądlivosti z nadmiarem pokarmu był dobrze zrozumiany przez wieszczka i wyrażony w dalszych słowach węża: „Jeśli masz ognia mało, to ściągnij oto dłoni po owoc tej jabłoni, jej duchem podkarm ciało. Ty będziesz świata panią!...“

Gdy Ewa uległa pokusie, „z ziemią się stało, co z gwiazdy trapieniami; promienność poszła z ziemi, a duch węża wziął ciało.“ Odtąd ciągle duchy, natury węża, kuszą ludzi. O tych pokusach mówi Bolesław Śmiały: „Są święte w duchu globu tajemnice, z których nie trzeba, bym wszystkie wyjawiał;“ „...Są duchy, co mają pas i wieniec lity z morskich, świecących roślinek uwity... te naprzód, gdy się w myśli ludzkie kształcą, a szatan je tu do pracy napędza: we snach człowieka napadają, gwałcą, każda, jak anioł cudna, zła jak jędra...“ Gdy kto ulega tym pokusom, doznaje zwrotu wstecz, o którym Bolesław Śmiały wspomina: „Witałem myśli dawno gdzieś znajome; a tych straszliwa krwawość i pokusa straszliwszą była, przy blaskach Chrystusa!“ „Toczyłem walkę; a jeszcze nie była miłość, lecz pożar krwi ducha mi palił.“ „Ta mieszcza piękna za mąż wychodziła, a jam się na to Panu Bogu żalił, żem nie był kupiec...“ „Tak to Bóg przysłał los, który tronem duchowi podskalił: a duch się ogniem pożarnym zapali, na czarny zgorę proch — i sam się wali.“ „Zamiast w związku być z duchowem ogniskiem, oto duch niebo nam sobą zamyka; a żagwi ziemskich szuka ducha błyskiem, jak ogień końcem zło-

tego języka; a ziemia mu jest wichrowem igrzyskiem, mało co lepsza już od węzownika.“

To też anioł, który uczy Ziemowita, jak obudzić uśpiony naród, szczególnie ostrzega go, by nie dał się uwieść której z Popiela córek. Nawet Mieczysław w chwili swego ślubu z Dąbrówką, choć się wyrzeka wszelkich rozkoszy, wyznaje: „Blednę, kiedyś ciałem jest omanion, na walkę z ciałem przeznaczony wieczną, aż Jeruzalem sprowadzę słoneczną.“ Dla ogółu duchów dotąd „świat formy zamknięty, dopóki anioł jaki krwią rumiany i w myślach swoich nieczystych przeklęty, nie ukocha je... i grzechu martwice nie zaklnie przez chęć grzmot i błyskawice.“ Gdy dwoje ludzi wzajemnie się pożądają, właściwie bywają opętani przez tego trzeciego, co z ich ciał pragnie ciała, osiągając swój cel „pod świętem onej trójcy prawem, która tu ludzkie duchy w kształt ubiera i czyni, że sił duchowych objawem błyska albo się émi globowa sfera.“

A jednak już w pogańskich czasach wieszczowie tęsknili za „nieskalaniem i za bezmogiłą.“ Tęsknoty te swoje ubierali w legendy o „dziewicach śmionych deszczami złotymi.“ Wieszcz przewiduje to, co się stać ma kiedyś: „Przysięgnie, że są, że na ziemi były niektóre święte bez krwi urodzenia, niektóre ciała wielkie—bez mogiły, niektóre przejścia ciał w słońcu—bez cienia... a to glob tylko ruszał swoje siły, w ciała ubierał swoje utęsknienia.“

Dopiero jednak jaźń matki Chrystusa była pierwszą wcieloną na ziemi jaźnią bez pobudzenia wybranych a przygotowanych przez pokolenia rodziców swych do namiętności. O niej poeta mówi, że ona „ziemi tęsknotę uspokoiła i rozczarowała, śmiona przez ducha moc i światło złote w płomieniach serca i czystości ciała.“

Ten cud niepokalanego poczęcia ma być początkiem odrodzenia ludzkości, przewyciężenia grzechu pierworodnego, ugaszenia ogni grzesznych, trawiących ludzkość i przywrócenia promienności, która przez grzech Ewy przyémiona została na ziemi. Praca wiekowa nad tem jest głównem zadaniem „Króla Ducha.“ Jemu to zjawia się ta „pani któregoś z ludów na północy, jaką judejscy widzieli prorocy“ i swoim zjawieniem dokonała tego, że dusza jego „na nowe się wzmogła loty i nowym buchnęła płomieniem.“ Ona ma „w głosie anielskie nieskończone siły: porywać serca ludzkie umiejąca... prześwięta ludom matka—Pani Słowa.“

Aby ten wpływ odradzający osiągnął swój skutek, trzeba „przed złodziejem zamknąć formy wrota,“ czyli zapobiegać ponownym wcieleniom ducha węzowego, bo inaczej „cudzy wiatr domy

zamiecie, aż ktoś tam czoła polskie zakłopotą i zacnie Boga przyzywać w żałościach, widząc te pustki ducha w polskich kościołach.“ Aby tym podstępom duchów niższych zapobiedz, ostrzega wieszcz: „Postawmy polską myśl nad poduszkami, postawmy wiary naszej archanioły, postawmy myśli serdeczne nad nami, i pieśń z otwartą myślą, jak miecz goły! niechaj machają w ciemności mieczami te wielkie stróże nad sennymi czoły, a nikt się taki do nas nie przybliży, który nam w starej naturze ubliży.“

Polskość tu oznacza duchowość i przewagę ducha nad ciałem: „Chcę, aby zamki były twarde na tych granicach, które duch stanowi, by polskie duchy tem przed Bogiem harde, że się poddają jedynie duchowi, że przymuszone być z ciała nie mogą przeciw vetu swemu — żadną trwogą! by duchy, które mają to z Chrystusa, że veto swoje na wspak światu kładą, nie brała żadna cielesna pokusa iść za zwierzęcą i niższą gromadą, która pod biczem lub w galop lub klusa leci, chociażby przeciw Bogu — stado!“

To też Bolesław Śmiały, choć sam ciężko zawinił, jako król, karze surowo niewierne żony swych rycerzy: „Niechaj to mleko, rzekłem, co w liliach zbiera się czystych, nie karmi złodziei! ciało jest równe; lecz duch, który w zmijach podnosi głowę w burzy i w zawiei, dumny, że mu się niewierność na szyjach wiesza i usta w ogniu z ogniem klei, lud taki, rzekłem, aż na moim grobie wprowadzi w ciała duchy równe sobie! A na cóżby to złotym sakramentem nalewał Chrystus po dwie ślubne czary, gdybyście mieli nie odpędzać wstrętem brudniejszych duchów — niższej od was wiary? Gлина zrobiona czystym dyamentem, niech nie buduje domów dla poczwary!“

Grzech pierworodny był upadkiem dopiero człowieka, nieznanym jeszcze niższym tworem, co postać człowieka pracą form wiekową przygotowywały. Ten grzech nie był koniecznością w rozwoju ducha, lecz wyjątkowem zboczeniem, właściwem ziemi i podobnym do niej „globom nocnym“ lub „gwiazdom utrapionym.“

Gdzieindziej, we wszechświecie, istnieją ludzkości, żyjące w harmonii i spokoju, bez tej ciągłej walki wewnętrznej, bez tego tragicznego rozdźwięku, który życie ludzkie na ziemi psuje. Ideały nasze życia szczęśliwego, tryumfu dobra, powszechnej zgody i jedności, są gdzieś urzeczywistnione, są nawet prawem powszechnem żywota i tylko na ziemi wyjątkowe stało się nieszczęście, które doprowadziło ludzkość ziemską do upadku; z tego względu i wcielenie Chrystusa na ziemi jest wyjątkowem lekarstwem, danem nam w wyjątkowej potrzebie.

W miarę, jak ukochemy czystość, przewycięzamy grzech pierworodny naszych przodków i sprowadzamy królestwo Boże. Polskość jest gatunkiem ducha we wszechświecie i gdzieindziej istnieje w wolnym rozwoju, jako najwyższy rozkwit życia planetarnego — tutaj jest w ucisku i dopiero zdobywa sobie prawo istnienia.

Uczeń jakiejś szkoły mógłby mniemać, że tylko jego kole-dzy przechodzą przez znane mu klasy i uczą się przepisanych przedmiotów. Ale z czasem się dowie, że te przedmioty są nau-czane też w wielu innych szkołach, że program jego szkoły jest oparty na przepisach pewnego ministerstwa oświaty. Tak samo i my naiwnie sobie wyobrażamy, że polskość ducha jest wynikiem pewnych geograficznych i historycznych warunków, właściwych naszej ziemi i to pewnej małej części powierzchni tej ziemi. Ale z czasem się dowiemy, że ta polskość, którą w sercu czujemy, była przed początkiem ziemi i na wielu światach stworzyła hi-storyę swoją w geograficznych warunkach jej odpowiadających, tylko tu na ziemi wskutek grzechu pierworodnego, który ją spa-czył, przechodzi wielkie trudności, ale w końcu z pomocą polskich duchów całego wszechświata zwycięży i przez to zbawi całą ludzkość.

W tem dążeniu ku światłu, w tej walce z wrogim ogniem, najwięcej postępują ci, co ukochali Boga. Zoryan, który unęczo-ny został przez Popiela, śpiewał na stosie do swej liry: „Nie bój się, liro! bo śmierć nie jest męką! ani się lękaj cielesnego zbroja!... a na cóżby to nasza mądrość była, gdyby przed śmiercią skonać nie uczyła?...“ To też w następnym żywocie zjawia się jako wielki święty, o którym poeta mówi: „W nim jeszcze dawna pieśń — nie-dośpiewana i miłość ludu, razem z sobą w lidze w mądrość się jedną wielką zamieniły, w serdeczność wielką i w powagę siły.“ Siła ta służyła mu dla czynienia wielu cudów, z których lud cały korzystał: „Wszystkie te cuda, dziś pomiędzy ludem dawno już tylko w powieściach żyjące, były widzialną mocą, żywym cudem.“ „A o cud były tak niebiosa drżące, że gdyby serce zaszło jakim brudem, serce które ma w sobie serc tysiące, a brakiem wiary cudotwórcę zlekło: nie byłby karał Bóg — serceby pękło.“

W ten sposób na drodze doskonałości są szczeble, z których już niema upadku — serce cudotwórcy nie wytrzymałoby braku wiary, a pękając wyzwoliłoby go z omamienia doczesności i przy-wróciłoby mu świadomość wieczności. „Ta mądrość, która cały świat spowiada, ...nie czar... nie próżna guślarka, lecz mądrość, chorób duchowych lekarka“ — jest najwyższą nagrodą wysiłków

i przezwyciężeń, przez które człowiek może pokonać wrodzoną słabość. Taka mądrość daje „prawdziwą moc ruszania światem, przez bożą siłę i przez bożą sprawę,“ której nie zastąpi nigdy „skłamaną między ludźmi sława.“ Kto udział w tej mocy bierze, ten łączy sobie poddanych ludzi, jak o Polsce swego czasu mówi Bolesław Śmiały: „każda obraza, która w niej ducha jednego pobrudzi, zaraz rozlana—szła na wszystkich ludzi. I straszna jakaś ta czystość związkowa rosła i wszystko trzymała jak w snopie; tak że ja, straszna wtenczas ludu głowa, mogłem być nawet obrażony w chłopie! a ze mnie też szła dusza narodowa i w dziada mego stawała okopie; a ten szeroki duch miał wtenczas skrzynię na Elbie, Sali — i Dnieprze i Dźwinie. Na każdej wieży czułem, co się dzieje, chociażby stała na granicy rogu. Żadni mię podejść nie mogli złodzieje, bom wszystko widział wtenczas w Panu Bogu!“ W tym duchu też wykrzykuje „blichtr sława! droga narodom daleka, a na zabawki ludzkie niema czasu!“ Życie takiego bohatera, choć pełne wysiłku, jest zarazem też pełne radości, gdyż „dziwnie z jaką cichością Bóg sprawia swe wielkie rzeczy przez nas duchy wolne, które prowadzi.“ Taki duch wszystkie moce i siły zdobywa łatwo, jakie mu są potrzebne do spełnienia powołania: „dziwnie jak Pan jest dobry i litosny, a ducha, co się na pracę poświęci, ubiera w kolor, w głos piękny, roznośny zapatruje, a do nieba nęci, a do nóg mu świat przywiąże miłosny, tak że on coraz wyżej — jako święci — idzie... w swej pieśni wzniesiony powiewie, i świat pociąga, a sam o tem nie wie.“

Więc trzeba tylko się na „pracę poświęcić“—wyrzec się sławy, ambicji, zabawy, rozkoszy cielesnych, a wtedy najwyższa moc świata pomaga takiemu duchowi, który czuje swe zjednoczenie i z Bogiem i z tymi, których Bóg jego pieczy powierzy. Bieda zaś tym, co się porywają na zadanie ich siłom nieodpowiednie! Przy wprowadzeniu chrześcijaństwa do Polski, kto „był chrztem fałszywym przeklęty i wziął Chrystusa, a znosić nie może,“ tracił życie—i długo potem takie duchy „po szczeblach i schodach drzeń się musiały znów do Polski raj.“

Ten raj Polski miał polegać na tem, że budowa sprawiedliwości Starego Zakonu, panująca jeszcze w Rzymie i w krajach przez Rzym zawojowanych, miała być zastąpiona miłosierdziem i zwiększonym wpływem niewiasty: „jam śnił, że Trójcą rządzącą w błękicie, tu formę rządu kiedyś wyobrazę, a ministerstwo prośby dam kobiécie, łzę do praw wmięszam, a prawa nie skażę... we snach marzyłem, że to przyszła Święta, kiedyś na ziemi objawiona ciałem, ciągle miłosna i ciągle natchnięta, ciągle pod tronem

i pod trybunałem, wszechmocna łzami kruszyć wszystkie pęta i prawo czynić przezczystym kryształem, a jednak żadną nie władająca groźbą, ani rozkazem — jedną tylko prośbą.“

Miłość między kobietą a mężczyzną nie jest ograniczona do ziemi, ale wiąże duchy na wieczność całą, jak Heliona z Atessą, którzy się po tysiącoleciach poznają. Ideał tej miłości Słowacki przedstawia w stosunku Mieczysława i Dąbrówki. Spotkanie ich było zarazem nawróceniem religijnem Mieczysława i w pierwszej chwili gotów był on nietylko sławy, ale nawet swego szczęścia się wyrzec, aby tylko przez to lepiej się przygotować do służby bliźnim: „sława, miecz i to zamężcie i złote moje szaty oblubieńca, niech idą Panu, jako wieczne dary: jeśli Pan żąda z ducha tej ofiary! Uczucia moje ludzkie podruzgotam, serce rozbiję, miecz jak drzazgę złamię, sławą rycerza od siebie pomiotam, koronę zrzucę, krzyż wezmę na ramię; tylko niech sobie tym dniem zarobotam wieczyste światło i to złote znanie, które się w bożem Królestwie pokaże, zmartwychwstającym kościom złocąc twarze. A tę ofiarę chcę mieć postokrotną nie tylko za się—ale i za ludzi; abym tę otehłań niebios — nie samotną miał, ale z braćmi, których Bóg obudzi...“

Lecz Bóg tej ofiary nie wymagał—więc odbyło się „anielskie wesele...“ „był ślub, gdzie czysta z najczystszych na ziemi, stała—z oczyma w ziemię spuszczonymi.“ Chwilę tą opisuje Mieczysław: „dziś jeszcze nie wiem, czy dusza uległa większej miłosnej mocy—cała drżąca i z ciała mego na chwilę wybiegła, aby przez oczy jej była widzącą... lecz gdyby wtenczas ręka mię nie strzegła kapłańska — dusza z ust wylatująca byłaby, mówię, upojona chwałą, wyszła i nigdy nie wróciła w ciało... W ogniach, w szelestach, w zachwyceniach — w śpiewie uczułem wielkie stchórzenie serdeczne — bo się duch święty rzucił, cały w gniewie, i zapłomienił na nas światło wieczne; jak szelest, który jest przed burzą w drzewie, tak w duchu wrzały pierwiastki słoneczne, kiedy Pan ogniem chodzący po duszach w oczach mi stanął i zagwiżdżał w uszach. Wieki minęły, a to technięcie boże i to owianie ogniem naszych ramion wraca, ilekroć w prochu się położę na mych mogiłach, na łachmanach znamion...“

Dąbrówka z Mieczysławem stanowią związek doskonały duchów, o wspólnych dążeniach i uzdolnieniach. Oboje mają dar widzenia przeszłości i przyszłości, pojmowania rzeczywistości. Gdy Mieczysław żonie o swych wizjach opowiada, ona mu nawzajem tłumaczy swe widzenia i wzywa go, by „całym narodem“ zaczęli „ducha ku Bogu podnosić—co wiek podwyższać twory je-

dnym wschodem, jako anioły winy ludzkie nosić? Żywot na górze mieć — a śmierć pod spodem, i duchy niższe w wyższe ciała prosić, i wierzch obdarzać nowej formy chwałą, a tam zabijać w dole grube ciało?“

Duch Dąbrówki pozostaje w związku z duchem Mieczysława nietylko do śmierci jego, lecz na wieczność całą, a syn ich Bolesław Chrobry, jest duchem, świadomie wezwanym przez nich ku pomocy, nie zaś podstępnie kradnącym im ciało.

Ten pochód duchów w nieskończoność, ku królestwu Bożemu na ziemi widzialnemu, w którym duchy miałyby już niezniszczalne, promienne ciała — odbywa się w warunkach wyjątkowych w Polsce, i ma tu wytworzyć owo Jeruzalem słoneczne, o którym prorokował już św. Jan w Apokalipsie, a o którym Słowacki tak mówi do Boga:

„Pańska sprawa jest sprawą ducha, który się wielmoży tobą i coraz nowe kształty tworzy, i w tych się kształtach znów wyżej podnosi, a będąc pierwszym, znów o nowe prosi, a swoje duchom leniwszym zostawia. Więc kto chorągiew ducha wyżej stawia i przedstworzoną objaśnia ciemnicę, kto stawia nową ducha świecę, do której lud inny powoli dochodzi, ten jakby nową gwiazdę rodzi, do której wszyscy my powoli dążym i może nazwać się Boskim chorążym, jeśli na drodze Boskiej znalazł drogę...“

Ta droga ducha „przez Polskę idzie, za nią ginąć każe.“ Wywód ten, podany w „Samuelu Zborowskim,“ zaczyna się wspinałym obrazem postępu ducha: „kto nieśmiertelną ma w sobie istotę, czuje, widzący ten świat w starej korze, że coś większego ze świata być może, gdy się urodzi w nowość z ducha cudów, niż gniazdo nędznych i cierpiących ludów, które za jadem ciągle łażą chciwe — a te są głupie, a te niegodziwe, a te są dalej, a te bliżej krzyża; tam się podnosi duch, a tam się zniża, a tam pod formą, jako anioł ciemny, pod twardą formą ciągle grzmi podziemny, a tam zaledwo taka mała dusza, że formą rządu gdzieś cokolwiek rusza, jak kret podziemny.“ „Każdy rząd swój tor ma i depce głowę ducha, idąc z góry. A więc być musi niewidzialna forma, zamieszkująca tęczowe lazury, większej piękności od gwiazd i miesiąca, codzien ku duchom naszym zlatująca, jeszcze wysoko, jeszcze w łonie Pana, a już przez oczy niektóre widziana.“

Aby dojść do tego doskonałego uspołecznienia polskim duchom odpowiadającego, a szczęście i spokój całej ludzkości zapewniającego, trzeba było przejść przez wiele żywotów na ziemi, za grzechy popełnione przez wieki pokutując między jednym ży-

wotem a drugim, aby się przygotować do wcielenia doskonałego: „musi jakiś być kraj, gdzie się schodzą duchy już godne najwyższego tronu, które swój żywot jako harfę godzą nie z żadną ciałą skruszonego troską, ale z harmonią nieśmiertelną, Boską, nie z celem ziemi już, lecz z celem światów.“

Tym krajem dla Słowackiego jest Polska. Dziwny to zaiste szwał, który ogarnia poetę, żyjącego w ubóstwie na obczyźnie, podczas kiedy głos jego wcale nie mógł dojść do narodu, podczas kiedy większość tego narodu wyrzekała się wszelkich ideałów i godziła się z upośledzeniem; tymczasem wieszcz z pełnem poczuciem sił ducha, tak przemawia: „wicież wy jaką mi ognistą paszczą świat broni wieków i tej Jeruzalem? A ja tu całym mej ojczyzny żalem, z całą mej ziemskiej ojczyzny tęsknotą, wyciągam ręce, tęsknię za tą złotą, za ostatecznym snem naszych rycerzy... wicież wy, że gdy ziemia tu poleży na moim sercu, jako na trójnogu, to ja ją z ducha słońcem rzucę Bogu i już do gliny tej nigdy nie wrócę?“

Do tego celu duchów prowadzi „miłość, z której dziś duch bierze twórczość, i ogień, i moc swą, i działalność, zmieniona w jakąś światłą nieśmiertelność, już jako dzień tu nieskończony wielka, nowa nam matka opromienicielka ciał nieśmiertelnych, nowe światło dzienne.“

Duch taki, co na tę drogę wejdzie, „chce, aby go rząd przestał postawą, pięknnością, mocą ducha, co duch budzi, wielką miłością zbiorową brał ludzi, w sercu swem wielkiem rozkochał narody, chleby rozmnazał cudem, cofał wody, pozwalał siebie w grobie nakryć skałą i znów wychodził z grobu i brał ciała, i pokazywał się w słonecznych włosach, albo na ziemi, albo na niebiosach, a nigdy nie rzekł, śmiertną czując trwogę: „śmiertelny jestem naród i nie mogę,“ bo to nie prawda, naród nieśmiertelny może głód przymusić, może nędzę złamać.“

Chodzi tu zatem o to, by naród ten wybrany był wśród narodów, jako Chrystus był wśród ludzi, wzorem i przykładem nieśmiertelności: „Taki duch marzył, że Bóg go używa za miecz, widniami entuzjazmu zrywa, prawa natury pozwala zawieszać...“

Ten rozwój ducha, łamiącego najprzód własne ciało, potem zaś wszelkie przeszkody materyalne, łączącego coraz to większe gromady duchów najprzód w rodziny, potem w narody, a nareszcie w powszechnym kościele — doznającego coraz to więcej uczuć, ogarniającego coraz to szerszy zakres wiedzy — tworzącego coraz to nowe formy piękna, był treścią myśli i życia poety w ostatnich jego latach. Wyzwolenie ducha od wszelkiej nieczystości

wprowadza go do tej pełni życia, którą przed nami roztacza poeta w tyłu obrazach.

A wszystkie te widzenia, wszystkie te objawienia mają budzić w nas uczucia takie, które najlepiej odpowiadają najgłębszym potrzebom naszych jaźni, ziszczając ich odwieczne przeczucia. Kto poznał ten świat ducha, i oswoił się z tak rozszerzonymi horyzontami, ten może o sobie jak poeta powiedzieć: „los mnie już żaden nie może zatrwożyć, jasną do końca mam wybitą drogę.“ Do takich towarzyszy on woła: „Do pracy, a więc do pracy, wy co mi jesteście bracia, duchy słoneczne, Polacy... dalej w błękity pracować na całą wieczność... otwarta dla duchów droga—skrzydła mamy — dalej w Boga! po dar ostatni — słoneczność...“ „do Boga ręce podnieśmy, język rozwiążmy niemy, synowie boży jesteśmy! czem jutro, jeszcze nie wiemy... Każdy silny, o pół kroka ku Bogu świat pełnąć dzisiejszy, a jutro jeszcze silniejszy! Każdy jak przepaść głęboka zamiarów pełna gorących, przepaści i uwidomień...“

Gdy duch jeden „pomyślał, że mu trzeba w duchu wolnych braci, i wolności mu trzeba w milionów osobie, ziemię bowiem pod sobą ma i Boga w sobie“ — wtedy „Pan w nim jako ogień i już nie nad krzakiem“ zagrział: „prosisz się, widzę, dawnym być Polakiem.“

Tacy to Polacy „nieznajomymi świat poruszają siły, na nieznajome jakieś wielkie hasła“—o nich obce narody powiedzą: „to nie ludzie z krwi i ciał być muszą, lecz jacyś pewnie upiorni rycerze, którzy za duszę walczą tylko duszą i ogniem biją *niebieskim* w pancerze.“

Z pośród takich Polaków jako najwyższe wcielenie polskiego ducha ma wyjść ów polski papież, o którym wieszcz prorocztwo głosi: „twarz jego słowem rozpromieniona lampa dla sług, za nim rosnące pójdą plemiona w światło, gdzie Bóg. Na jego pancerz i rozkazanie, nietylko lud—jeśli rozkaże, to słońce stanie, bo moc — to cud! ...w sercach się zacznie światłości bożej strumienisty ruch, co myśl pomyśli przezeń, to stworzy, bo moc — to duch... — on rozda miłość, jak dziś mocarze rozdają broń, sakramentalną moc on pokaże, świat wzięwszy w dłoń... on przez narody uczyni bratnie, wydawszy głos, że duchy pójdą w cele ostatnie, przez ofiar stos; moc mu pomoże sakramentalna narodów stu, moc ta przez duchy będzie widzialna przed trumną tu... wszelką z ran świata wyrzuci zgniłość, robactwo, gad; zdrowie przyniesie, rozpali miłość i zbawi świat: wewnątrz kościołów on powymiała, oczyści się, Boga pokaże w twórczości świata, jasno

jak w dzień...“ „gdy przyjdzie w powietrzu ów święty, wróci raj, naszą utracony winą, liczyć zaczniemy rok nowo zaczęty z Panem w jasnościach; pieśni nawet miną, poganie ducha pójdą ze zwierzęty, otaczać obóz ducha, lecz poginą: światłość je miasta świętego uderzy, odejmie im głos, wzrost grobami zmierzy.“

Poeta miał silną świadomość powołania swego, jako zwiastuna, zapowiadającego nowy świat ducha, i powołania narodu całego, który ma nowy ład wprowadzić do życia ludzkości. Często powraca z upodobaniem do tej radosnej nowiny: „o Polsko moja! tyś pierwsza światu otwarła ducha tajemnic wrota, czelność, co błyszczy święta i złota, królestwo potęg i majestatu... raduj się Polsko... tobie słodczye wiedzy... i mądrość... i moc przychodzi—anioł twój patrzy w Boga oblicze, w Bogu panuje... z miłości rodzi tę siłę, która skrą jest przed Panem, za ledwie w duchów świecie zjawioną...“

Często powraca wezwanie do wytrwania na szczytnej drodze: „narody ziemskie, kiedy was porażą, kiedy stracie nadzieję, słuchajcie wieszczów — byście wiedzieli co każą.“ A jako wieszcz narodu, woła: „serce moje może pomieścić ludzi miliony. Ci wszyscy ze mnie będą mieli zbroje — i ze mnie piorun mieć będą czerwony, i z mego szczęścia, do szczęścia podnóże... za to spokojność już mam i mieć będę i będę wieczny — jak te, które wskrzeszę—i będę mocny—jak to, co zdobędę—i będę szczęśny—jak to, co pocieszę — i będę stworzon — jak rzecz, którą stworzę. Chociaż usłyszę głosy urągania, nie dbam czy wzrastać będą — czy ucichać... trzymając w górę palec podniesiony, idę z przestrogą—kto żyw—pójdzie za mną... pójdzie—chociażbym wszedłszy szedł przez morze. Tak mi dopomóż Chryste Panie Boże... Z pokorą teraz padam na kolana, abym wstał silnym Boga robotnikiem. Gdy wstanę — mój głos będzie głosem Pana — mój krzyk — ojczyzny całej będzie krzykiem, mój duch — aniołem, co wszystko przemoże, tak mi dopomóż Chryste Panie Boże.“

Siły te duchowe, które w nim wybuchały, spodziewał się uczynić powszechnie dostępnymi, i uczy, że „ani rola, ni handel, ni prac rozdzielanie nie jest źródłem bogactwa kraju — lecz natchnienie.“ To też woła: „młodości, uwierz w sny czyste i złote, które nad formy przelatują stare, a masz broń pewną na świata ciemnotę, masz we snach twoich już stworzoną wiarę.“ Nie trzeba do tego wyjątkowych zewnętrznych warunków, bo „ziarnem Polski być jeden prosty człowiek może, jak w ziarnku żyta—żyje całe przyszłe zboże.“ Więc każdy z nas najwięcej uczynić może dla tak odległego ideału, pracując nad sobą samym i nad

doskonałością wszystkich tych stosunków z innymi, jakie mu życie nastęrcza. W każdym stosunku można tego polskiego ducha okazać, co kiedyś całej ziemi ma przywrócić spokój i ład przez miłość i wolność.

Od śmierci Słowackiego wpływy obce nas oddalały od jego ideałów prawie ciągle i coraz to mniej pracowaliśmy nad własnym udoskonaleniem, coraz to więcej naśladowaliśmy Niemców w ich naiwnej pretensyi ogarnięcia całej rzeczywistości temi jedynie władzami rozumu, jakie już posiadamy. A Słowackiemu chodziło przede wszystkim o budzenie władz nowych, o nieskończony rozwój ducha, przekraczający wszystko to, co rozum przewidzieć może.

Trzeba wczytywać się często w późniejsze dzieła Słowackiego, aby się oswoić z tym światem ducha, który dla niego był najistotniejszą rzeczywistością. Najlepszy znawca tej filozofii Słowackiego, Jan Pawlikowski, w pracach swych z pewną nieśmiałością usprawiedliwia nadzwyczajne pomysły wieszczą przez porównanie ich z psychologią innych mistyków, którzy Słowackiego wyprzedzili. Ale Słowacki, nawet jeśli znał niektóre dzieła tych mistyków, nie był ich naśladowcą, tylko sam dawał swe własne doświadczenia duchowe w obrazach odpowiadających tradycjom narodowym. Jeśli w czem jest do innych miłośników światła walczących z niszczącą ognia potęgą podobnym, to tylko dowodzi, że razem z nimi czerpał z jednej i tej samej metafizycznej rzeczywistości ducha, który się od dawna w ciałach objawia— a nieraz dochodził już nawet do pełnej świadomości swego istnienia duchowego przedwiecznego, choć jeszcze uwięziony w ciele.

Kto bierze utwory Słowackiego tylko jako płody jego wyobraźni a nie jako „echa duchowego świata”—ten ich olbrzymiej doniosłości w pełni ocenić nigdy nie będzie w stanie. Poza poetą jest tu pierwszorzędnny metafizyk, który przejrzał do głębi niektóre najważniejsze tajemnice bytu, i daleko więcej dba o ich uprzystępnienie bliźnim, niż o piękno formy poetyckiej, w której je usiłuje wyrazić. Rozwija on dalej w metafizyce pomysły i odkrycia poprzedników swych, Leibnitzą, Herbarta, Wrońskiego. A w najnowszej metafizyce francuskiej, której naczelnym wyrazi-cielem był Renouvier, znów spotykamy wyraźne ślady duchowe-go wpływu Słowackiego.

Jaźń działa na inne jaźnie według tej metafizyki bezpośrednio, więc nie potrzeba szukać dróg zewnętrznych, któremi myśli Słowackiego natchnęły późniejszych myślicieli. To, że on te my-

śli myślał, samo przez się już ułatwiło te same myśli jego następcom.

A gdy cała rozległość wpływu bezpośredniego myśli Słowackiego na współczesną myśl zostanie zbadaną w szczegółowych monografiach, wtedy dopiero postać wieszczka myśliciela urośnie w oczach zdumionego świata całego do właściwej miary, wtedy i rodacy nareszcie uznają potęgę myśli w tym wielkim poecie.

W. LUTOSŁAWSKI.

Jedna z dramatycznych kronik Słowackiego.

(„BALLADYNA“)

I.

„*Balladyna* jest tylko epizodem wielkiego poematu, w rodzaju Ariosta, który ma się uwiązać z sześciu tragedyj czyli kronik dramatycznych.“¹⁾ Tak pisał Słowacki w 1839 roku, dodając, że pomysł cyklu zawdzięcza francuskim poetom. Ale *Balladyna* powstała dawno, w Genewie, przed poznaniem się poety z Krasieńskim. Stąd wniosek, że wówczas jeszcze ani pomysł cyklu nie istniał, ani też *Balladyna* nie miała być ogniwem w łańcuchu tragedyj, lecz samoistnym poematem. Było to w r. 1834, pod koniec drugiego roku pobytu Słowackiego w Genewie. W końcu lipca tego roku odbył Słowacki piękną 20-dniową wycieczkę w góry z Wodzińskimi i długo potem utrwalone głęboko i silnie wrażenia tej wycieczki przeżywał we wspomnieniu, zwłaszcza, że zacieśniły się węzły przyjaźni z Wodzińskimi i wspólność przebytych chwil dostarczała wątku rozmowom. Obrazy gór i lasów zostały w jego pamięci, a imaginacja, jak salon pałacowy, ustroiła się nowemi malowidłami.²⁾

Już też od dłuższego czasu, od wydania „Kordyana“, poeta, który żył twórczością i wspomnieniami, rozmyślał o nowych formach, o nowych motywach, o nowych kluczach i źródłach poezji. Niestychana jego wrażliwość na przyrodę dostarczała jakby ilu-

¹⁾ List do Krasieńskiego. Dzieła t. VI, (Lwów, 1909) str. 4.

²⁾ Listy, I, 260.

stracyi do ówczesnego studynm filozofii niemieckiej. Już w marcu 1834 r. zwierzał się poeta przed matką: „sympatyzuję teraz więcej niż kiedykolwiek z naturą i zdaje mi się, że czuję ją do głębi jej duszy.“ Niezadługo uświadomi sobie to, co każdy poeta i każdy artysta odczuwa, czem oddycha i czem żyje.

„Miesiące — pisze 20 października 1835 r. — przepędzone pośród najpiękniejszych widoków przyrodzenia, były dla mnie wielką nauką. Uważałem harmonię, która wszystko łączy i nalewa jednym kolorem. Postrzegłem, że sztuka powinna naśladować tę dziwną jedność wszystkiego. Zastanawiałem się długo nad dźwiękami, kwiatami, szmerem, różnymi dźwiękami natury, widziałem ją zbliżoną błękitną albo chmurną. Raz, wyszedłszy na wielką górę, pod nogami miałem wielki parów, zarosły sosnami, bardzo ciemny, przerżnięty potokiem. Było to w niedzielę rano. Dzwon kościoła wiejskiego, nadzwyczaj głośny i ponury, napełniał całe powietrze. Cały ten obraz ożywiony był duszą dzwonu, jak ciemny poemat, w którym brzmi imię Boga.“ Tym ciemnym poematem była *Balladyna*, już przed kilku miesiącami skończona. Pisał ją w listopadzie 1834 r. Z jesienią tego roku przyptyw twórczości okazał się wielki. Imaginacja „morzyła go i mordowała tak, jak całodniowe chodzenie po górach.“ W czasie podróży i od niej mnóstwo cieniów przeszłości stawało przed nim, a kiedy nadeszła ulubiona pora roku — jesień — wieczorami zaczęły go nawiedzać w cichym pokoju mary, idealne figury przechodziły przez ten pokój i znikwały. Dolegał mu kontrast pomiędzy rzeczywistością a złudzeniem silniej teraz, niż kiedyindziej; tworzył w swej głowie jakiś obraz, jakieś wyobrażenie ogromnej miłości, niepodobne do osiągnięcia; czuł więc całą oschłość życia, a choć sam się żartobliwie uważał ze swem marzycielskiem usposobieniem za „dosyć sentymentalną figurę,“ to jednak doskonale pojmował skłonność do samotności u ludzi, nie pogodzonych z duchem wieku. „W tym wieku, gdzie tyle jest oschłości i rzeczywistości zimnej w wypadkach, ludzie szukają cichych schronień.“ Co do lektury ówczesnej żali się, że „krwawa i nie naturalna,“ łaknie i dopomina się o stare kroniki i o dzieła Czackiego, a sam tymczasem tworzy również „gwałtowno-krwawe“ tragedye i od dwóch lat za kochanków swych uważa Szekspira i Danta. Z tego dopominania się u Józefa Korzeniowskiego starych kronik i z tej prośby o Czackiego dzieło: *O litewskich i polskich prawach, o ich duchu, źródłach, związku i o rzeczach zawartych w pierwszym statucie dla Litwy 1529 r.*, wnosićby można, że już wówczas porывała poetę myśl przeniesienia dramatycznej akcji w zamierzchtą przeszłość. Wszakże

w *Kordyanie* już to zapowiadał ¹⁾). Wszakże w myśl tej zapowiedzi utworzył właśnie *Wallasa* i *Mazepę*, niebawem zaś miał utworzyć *Horsztyńskiego*. Wszakże, zdaniem Mickiewicza, jedyne drama narodowe musiałyby być historyczne, a zdanie to, wypisane do Odyńca w Warszawie, z pewnością nie było obce Słowackiemu.

Lecz jak tu przenieść akcję w odległe mroki dziejów, nie mając pod ręką dostępnych źródeł? To też Słowacki w *Balladynie* nie na dziejowych oparł się dokumentach.

W swym bardzo pięknym liście do poety Ruin-Kraśińskiego pisał Słowacki, że patrząc na stary zamek Bony, koronujący ruinami mury Krzemieńca, marzył, że z czasem „w ten wieniec wyszczerbionych murów“ nasypie widm, duchów, rycerzy, że odbuduje upadłe sale i oświeci je „przez okna ogniem piorunowych nocy.“ A skoro to częściowo uczynił, pisze: „wychodzi na świat Balladyna z arystycznym uśmiechem na twarzy, obdarzona wewnętrzną siłą urągania się z tłumu ludzkiego, z porządku i ładu, jakim się wszystko dzieje na świecie, z nieprzewidzianych owoców, które wydają drzewa, ręką ludzi szczepione. Niech naprawiacz wszelkiego bezprawia, Kirkor, pada ofiarą czystych swoich zamiarów; niechaj powietrzna Goplana kocha się w rumianym chłopie, a sentymentalny Filon szuka umyślnie męczarni miłosnej i umarłej kochanki; niechaj tysiące anachronizmów przerazi śpiących w grobie historyków i kronikarzy, a jeżeli to wszystko ma wewnętrzną siłę żywota,... to Balladyna wbrew rozwadze i historii zostanie królową polską, a piorun, który spadł na jej chwilowe panowanie, błysnie i roztworzy mgłę dziejów przeszłości.“

Nie chodziło tedy poecie o zgodność z dziejowymi szczegółami, nie chodziło o prawdę historyczną, lecz o to, czy dzieło „stworzyło się w głowie poety podług praw Boskich,“ czy „natchnienie poety było skutkiem tej władzy, która szepece do ucha nigdy wprzód nie słyszane wyrazy, a oczom pokazuje nigdy we śnie nawet nie widziane istoty,“ czy „instynkt poetyczny okazał się lepszym od rozsądku.“

¹⁾ Dajcie mi proch zamknięty w narodowej urnie,
Z prochu lud wskrzeszę, stawiam na mogił kolumnie
I mam aktorów wyższych o całe mogiły.
Z przebudzonych rycerzy zerwę całun zgniły,
Wszystkich obwieję nieba polskiego błękitem,
Wszystkich oświecę duszy promieniem i świtem
Urodzonych nadziei — aż przejdą przed nami
Pozdrowieni uśmiechem, pożegnani łzami.

Ani zatem sam problemat artystyczny nie był celem poety.¹⁾ Nie wążąc sobie lekko wszystkich domniemań, dotąd o znaczeniu *Balladyny* wyrażonych, godzi się atoli zauważyć, że jedynym racjonalnym i słusznym punktem wyjścia byłyby wskazany nam przez samego poetę. Jemu przedewszystkiem z zupełną dobrą wolą ster powierzmy i usiłujmy zrozumieć tragedję bez sztucznych domysłów. Nie ulega tedy wątpliwości, że poeta sam nazwał „Balladynę niby *tragedją*, nie balladą ani epopeją, że uważał ją za dzieło poezyi, jasno widzącej we mgłach odległych wieków,

¹⁾ Krytyka literacka wyraża bardzo różnorodne sądy o *Balladynie*—zarówno o jej genezie, celu, jak i o zdefiniowaniu formalnej kategorii, do którejby ją zaliczyć należało. Podług mego zdania jest rzeczą zupełnie obojętną dla oceny *Balladyny*, czy się ją nazwie balladą, dramatem, czy tragedją. Tylko dla dokładności informacji przytaczam tu główne sądy krytyki, zestawiając je z umysłu w celu wykazania ich niezgody i różnorodności. Sam Słowacki zestawia tragedję z Królem Learem Szekspira. Krasziński w liście do Gazyńskiego również stwierdza, że to dzieło w głowie Słowackiego duch Szekspira porodził. Bardzo dokładnie wszystkie drobne analogie między Learem, Makbetem i Snem nocy letniej a *Balladyną* wyszukał i zestawił prof. St. Tarnowski. Ale Malecki (II, 283 i d.), ograniczając wpływ ten, podsuwa Słowackiemu inny: Kochanowskiego *Odprawy posłów greckich*. Michał Bałucki (*Kobiety dramatów Słowackiego* str. 24) wola z zapalem: „Niepodobna na zimno czytać tego dramatu; nerwy drgają jak struny, uderzane co chwila i szarpane namiętnością i boleścią osób działających. Tragiczność sytuacji jest przerażającą, pełną strasznych efektów.“ Prof. Tarnowskiego sąd krótki: „jest ona niby dramatem, a dramatycznego w sobie niema nic.“ (*Dwa odczyty: Balladyna i Lilla Weneda*. Poznań 1881, str. 7). Belcikowski czuje, że „całość przemawia doń życiem, barwnością, wszystkie części składają się szykownie i zrastają ze sobą w jeden organizm“ (*Ze studyów nad literaturą polską*. Warszawa, 1886, str. 552). Prof. Tarnowski natomiast zarzuca, jako jeden z ważnych błędów, niejednolitość budowy, mówiąc, „że się w niej wszystko rozlaźi i rozpada“ (str. 35). L. Jabłonowski upatrywał w *Balladynie* allegoryę dziejów narodowych. (*Balladyna, tragedia J. Słowackiego. Uwagi nad istotą wewnętrzną treści utworu*. 1875). Profesor Nehring przypuszcza, że jest ona u dramatykowaniem związku świata duchów ze światem ludzi (*Studia literackie*. Poznań, 1884, str. 334) Malecki mniema, że Słowacki rozwijał filozofemat, który polegał co do celu na odmalowaniu genezy zbrodni, jej rozwielenieniu się i nieuniknionych następstwach, co do motywów zaś na splocie wszystkich tragicznych impulsów działania, mianowicie: postanowieni ludzkich, przypadku, demonizmu, logiki zdarzeń, feralizmu czynów i palca Bożego (wyd. III, t. 2, str. 304, 291). Krasziński widział w *Balladynie* „najpiękniejszą midsummernightdream, najpiękniejszą epopeję aryostowską.“ Prof. Tarnowski uważa ją po prostu za dyalogowaną balladę.

że nie kusząc się o odgadywanie dziejów w drobnych szczegółach, mniemał, że odgadł ich *ducha*. Nie ulega wątpliwości, że wskazywał na analogię z Królem Learem — nie zaś z Makbetem lub Snem nocy letniej — nie dlatego, żeby nie uświadamiał sobie podobieństwa Balladyny i Lady Makbet lub Tytanii i Goplany, lecz znowu dlatego, że pomiędzy gwałtownymi i burzliwymi, na instynktach natur pierwotnych osnutymi czynami Leara a Balladyny — istniało niewątpliwie podobieństwo. Przenieśmy się myślą w przeszłość przedwiekową, a choćbyśmy dziejów jej nie znali, to jednak spotkamy się w niej z dwoma składnikami życia: naturą i ludźmi.

Gdybyśmy chcieli do określenia rozwoju pierwszej zastosować terminologię mowy naszej, tobyśmy powiedzieli, że natura w rozwoju swym jest konserwatywną, a kilka wieków nieznaczone spowodować mogą w niej przemiany; o wiele ruchliwszym i skłonniejszym do przemian jest człowiek. Ale i człowiek w swych najgłębszych uczuciach miłości i nienawiści, strachu i gniewu, dumy i żądzы władzy nie różnił się znów tak dalece od dzisiejszego, żeby poetycka, genialna intuicya nie zdołała na tle objawów duszy dzisiejszej zrekonstruować postaci duszy dawnej. Sprawa atoli nie ograniczała się do obrazu przyrody i jednostkowej duszy. Wszak chodziło o wzajemny stosunek, o grę niezliczonych sprężyn zbiorowego życia, chodziło właśnie o *nasze* społeczeństwo, o *naszą* plemienną duszę: jakże się w oddaleniu wieków przedstawia *polska* przyroda, *polska* niewiasta, *polski* książę, *polski* szlachcic, *polski* poeta, *polski* lud? Czy może wypada zgodzić się posłusznie z arbitralnem orzeczeniem Brodzińskiego o łagodnej tkliwości Słowian, sparodyowanem przez Mickiewicza w „Dziadach:“ „Słowianie, my lubim sielanki?“ Czy marzycielskość subtelna i wzniosła, porywy szlachetne, uczucia proste i wdzięczne, poświęcenie bohaterskie znajdują się obok rubaszości i gruboskórnych popędów, obok zuchwałej buty i nienasyconej żądzы? Skoro zaś potrzeba powłoki dla tego świata, wywołanego z otchłani wieków przez czarodziejską imaginacyę poety, to rany i powłoka znajduje się w skarbcu ludowych podań, zabobonów, pieśni...

Dlatego to poeta sam w liście do matki tak zwierzał się 18 grudnia 1834 roku: „W przeciągu miesiąca upłynionego napisałem nową sztukę teatralną, niby tragedję, pod tytułem: Balladina. Z wszystkich rzeczy, które dotychczas moja mózgowica urodziła, ta tragedia jest najlepszą, zwłaszcza, że otworzyła mi nową drogę, nowy kraj poetyczny, nietknięty ludzką stopą, kraj

obszerniejszy, niż ta biedna ziemia, bo idealny.¹⁾ Tragedya cała podobna do starej ballady, ułożona tak, *jakby ją gmin ukł. dał*, przeciwna zupełnie prawdzie historycznej, czasem przeciwna podobieństwu do prawdy. *Ludzie jednak, starałem się, aby byli prawdziwymi i aby w sercu mieli nasze serca...*²⁾

Za tym drogowskazem, nie szukając obcych posiłków, pójdziemy z zamiarem wyrozumienia intencji poety, zrzekwszy się z góry urojenia, jakoby *Balladyna* była allegoryą³⁾.

II.

Jak każde społeczeństwo pierwotne, podobnie i polskie pozostawało w żywym kontakcie i zbliżeniu do natury. Puszcza, jezioro, rzeka i strumień, zwierzęta, ptaki i rośliny stanowiły dla człowieka nie tylko źródło życia, zabaw, rozmyślań i zagadek, ale też i przedmiot walki. Prawa, obowiązujące w naturze, niekoniecznie musiały obowiązywać zawsze człowieka, w którym wieki tkwił popęd wyłamania się z pod tych praw, utworzenia sobie własnego świata, a co więcej za pomocą zapasów na śmierć i życie owładnięcia naturą i poddania jej pod swoją komendę. *Balladyna* daje obraz właśnie takiego starcia się człowieka z naturą. Przedstawicielką siły kierowniczej w naturze jest Goplana.³⁾ Ona podług zeznania leniwego i złośliwego Chochlika układa stosunki przedewszystkiem w swojej sferze. W puste żołądziej poleca wkładać jaja motyle, mrówkom pomaga budować domy i każe umiatać drogi do mrowiska; z jej rozkazu krówki majowe uzyskują skrzydła, ona naucza pszczoły praw ulowych i pszczołkom dyktuje rolę przysięgi na wierność matce. Stanowi też siłę ochron-

¹⁾ Prof. Małecki w bardzo pięknym rozdziale swego dzieła, poświęconym *Balladynie* (2, XIV) odnosi te słowa (str. 286) do pomysłu poety zbudowania na tle mytów polskich w cyklu tragedji pierwotnych dziejów; ale nie da się udowodnić, żeby taki pomysł już w 1834 r. istniał, a powtóre, wydaje mi się wątpliwym, pierwowzór *Odprawy* dla *Balladyny*, a nawet pierwowzór tragedji greckich.

²⁾ Jabłonowski i Strzetelska w swoich rozprawach o *Balladynie*.

³⁾ Małecki mówi (II, 297): „cała postać Goplany, wszystko, co tylko czyni, wszystko czego nawet doznaje: to tylko zmysłowe uwidomienie przypadku.“ Na to się nie godzę—bo to wręcz sprzeciwia się stanowi rzeczy, jak widać z wyliczenia jej prac.

ną wobec złowrogich zakusów człowieka. Na przekór ptasznikowi zamyka klatki na ptaszęta. Ona nadaje krasę naturze, a nawet bywa mistrzynią zasad etycznych. Maluje pawie, winie kolorową tęczę, dachy wiąże powojami, w białą lilijkę oprawia błędnego ognika moczarów, ale też spowiada leniwego szerszenia, który miody kradnie, zakazuje sroce kradzieży... Względem ludzi bywa też dobrą: każe wmawiać wróblowi, że pięknie świegoce, aby śpiewał ciągle nad wieśniaczą chatą, to znów poleca obracać młyn ubogiego młynarza, gdy woda od nich uciekła.

Goplana, jako królowa natury, nie podziela wielu ludzkich urojeń i wymysłów. Człowiek naprzykład ułożył sobie, że pewne proporcje członków ciała i twarzy warunkuje pojęcie piękności: kto niema nosa, oczu, czoła, brody, policzków, odpowiadających przyjętym przez człowieka normom piękności, ten jest brzydki. Ale dla natury przepisy owe nie posiadają znaczenia. Pospolity, rumiany i rubaszny wieśniak, miłujący gorzonkę, kichający od tabaki, umazany z pijana w czerwoną rudę, głupi, sam objany i nawzajem pochopny do „szastania berłem po grzbiecinach“ — staje się kochankiem powiewnej Goplany. Aby kontrast był zupełnym i uderzającym — ten brzydkał, skoro tylko stał się dzwonkowym królem, natychmiast rządzi.

Jakże znamienym jest szereg zarządzeń Grabca w porównaniu do prac Goplany! Dziki i łosie, zające i żubry brać w rekruty; kwiaty mają płacić podatek, ilekroć zechcą listki kąpać w rosie, rosę zaś wypuszcza się za wódkę w odkup Żydowi; jaskółkom na wylot dawać paszporta; osoby z cudzych stron, jak kanarki—śledzić; na obce wyroby np. tęczę po trzy złotniki cła... Egoizm i chciwość walczą w tych rozkazach o lepsze z prostaczem i nieumiejętnem stosowaniem środków do celów: psuje zamiast naprawiać, szpeci zamiast zdobić. Cóż dziwnego, że Goplana, nie rozumiejąc nic z całej tej gadaniny, pyta: „O czem gadasz, drogi?“ jakkolwiek w mowie Grabca pełno słów ze sfery doskonale znanej Goplanie — z jej sfery.

Nie chciałże poeta przez takie uzupełnienie rządów Goplany uwydatnić tej myśli, że człowiek swem działaniem wnosi do świata natury brzydotę, zwyrodnienie, rozstrój? Nie rozumie on natury, a potężny egoista—radby ją ku własnym nagiąć pożytkom. Goplana zaś—acz można pani—bezwzględnej nad światem nie posiada władzy. Ani dać życia, ani odebrać nie może. Kiedy Chochlik zawinił, nie przeszkodziwszy, wbrew poleceniu Goplany, schadzce Grabca i Balladyny, Goplana każe go zamknąć w żabiej muszli

i puścić na jezioro; było to widocznie srogiem upokorzeniem dla Chochły, skoro błaga:

O pani! pani, lepiej ty mnie zabij...

Ale królowa tłumaczy:

Zabić nie mogę, lecz mogę ukarać...

Jednakże Goplana i życia dać nie może, nietylko zabić. Oto ona właśnie pierwsza ujrzała martwą Alinę i wyraźnie wzywa Skierkę:

...My duchy nie możemy
Znać owych ziółek, które rany leczą;
A ona ciepła, może jeszcze żywa?
Pustelnik nieraz ziółka w lesie zrywa,
Więc może, gdyby miał koło niej pieczę,
Do życia wróci... Ach, Skierko mój drogi,
Sprowadź tu pustelnika.

Natura nie zabija, ani życia nie udziela; jest ponad nią jakaś wyższa moc twórcza i do niej należy wymiar najwyższych wyroków. Od Boga też pochodzi końcowy piorun...

Prócz Grabca dwaj jeszcze ludzie z naturą w blizkiej pozostają zażyłości: Filon, sentymentalny poeta i Pustelnik, były Popiel III.

Kto był sentymentalny pasterz Filon i jak go poeta rozumiał? „Trzeba mieć *w sobie* elementa postaci, które się przedstawia, jak Bóg w dniu stworzenia miał w sobie zarody żywiołów“—mówi Krasiński. Nie ulega wątpliwości, że pomiędzy Filonem a Słowackim w okresie pisania *Balladyny* niejedno da się znaleźć podobieństwo. Sam poeta nazywa w liście do Krasińskiego kreację swoją „sentymentalnym Filonem,“ ale i o sobie mówi, że jest „dosyć sentymentalną figurą.“ Filon, wygnany z kraju szczęścia, gdyż po całym świecie szukał—jak się wyraził Mickiewicz—„tej boskiej kochanki, jakiej na podświetlonym nie bywało świecie;“ podobnie Słowacki marzy: „w mojej głowie utworzył się jakiś obraz, jakieś wyobrażenie ogromnej miłości, niepodobne do osiągnięcia.“ A w miesiącu, w którym pisał *Balladynę*, umieszcza w liście do matki myśl taką: „Biada tym, którzy zasmakują w błędnym życiu na świecie i przywykną do nadziei znalezienia czegoś dobrego na końcu wędrówki.“

Filon tak samo jak poeta rozmiłował się w naturze, tak samo, jak poeta, mówi ślicznymi obrazami, nawet tak samo jak po-

eta — ile razy zetknął się z rzeczywistością rzeczami, stawał się smutny albo gniewny, nie mogąc się z nimi pogodzić, nawet ich zrozumieć.

A jeżeliby komu Filon wydał się anachronizmem na tle tego odległego wieku, niech przypomni, że to podług wyobrażenia poety wiek straszliwych zbrodni i namiętności; przeto Filon — nie zetknąwszy się wcale ani z Balladyną, ani z Kostrynem — uważa się za tułacza, samotnika, co się może zdarzyć w każdym wieku. „W tym wieku — mówi poeta o wieku swoim — gdzie tyle jest oschłości i rzeczywistości zimnej w wypadkach, ludzie szukają cichych schronień.“ Zył on na świecie nienasycony, dumający, rzewny — a teraz oto mógłby powiedzieć tak, jak Słowacki o sobie mówi: „żyję w atmosferze imaginacyi, w kraju przenośni, na wyspie ideału, przerznięty rzeką łez.“ O ile tedy Grabiec pozostaje w naturalnem blizkiem zetknięciu z przyrodą, jako wieśniak i pierwotny człowiek, o tyle Filon pasterz, który bywał na dworach i widział królowny, poeta, poszukiwacz ideału, rozgoryczony i smutny, od kultury przeszedł na łono przyrody. ¹⁾

O ludziach pozostały mu złe wspomnienia. O kobietach mówi, że

Serca nie mają, a sercem się drożą
Więcej niż koron brylantami;

¹⁾ Prof. Małecki, tłómacząc Filona, przypuszcza, że był on przeznaczony na kochanka Goplany, tylko przez przypadek zeszedł z miejsca, gdzie go mogła ujrzeć Goplana, natomiast więc zobaczyła Grabca. Ale z dwóch względów wydaje mi się myśl ta nietrafną. Popierwsze *nigdzie* Filon *nie mówi* tego, co mu prof. Małecki dla upozorowania swego twierdzenia wkłada w usta, że „chyba tajemnicze łono wód wyda kiedy taką istotę, jakiej szuka,“ boć przecież jego słowa:

...Nieraz poglądałem
Na białe płótna, łąk jasną zielenią
Słońcu podane; rojąc serca szalem,
Że z bieli płócien, jako z morskiej piany,
Bogini wyjdzie...

wcale nie są z powyższemi słowy prof. Małeckiego identyczne. Powtóre nie jest słuszne to, że „zaledwie odszedł“ Filon — wyszła z wód Goplana, gdyż Słowacki zamknąwszy scenę Filona z Pustelnikiem, a rozpoczynając scenę II, to jest Goplany i Grabca — wyraźnie zaznacza: „*Inna* część lasu...“ zatem nie w tem miejscu spotkała Goplana Grabca, skąd zeszedł Filon. (Mał. II, 298—9).

kiedy zaś ujrzał ciało zabitej Aliny, woła z oburzeniem:

...Ach! w niebie
Szukać schronienia przed tłumem tych ludzi.

i przepowiada zabójczyni męki „dwu sumień.“

Pod niektórymi względami podobnym, ale też pod wielu różnym jest Pustelnik.

On żył w purpurze, miły swemu narodowi, lecz dzieci mu wymordował i stracił go Popiel IV; przeto uniósł czarodziejską koronę Lecha, w „której siła krainy cudem zamknięta“ i osiadł w puszczech, gdzie nabył, podobnie jak Prospero Szekspira, mądrości nadludzkiej, dającej władzę nad siłami przyrody. Osiadła w nim jednak gorycz i gniew przeraźliwy, pozostała w nim znajomość życia i świata. Siłą jego nie jest wyobraźnia, słabością nie jest rozmarzenie, skutkiem rozmarzenia nie jest smutek: siłą jego rozum, słabością niecierpliwość, skutkiem niecierpliwości złość na ludzi, posyłająca ustom przeraźliwe kłątwy. Zbratał się więc, jak Filon, z naturą, uciekwszy od świata, wykradł jej cudowne tajemnice, ale nie rozumie nawet Filona i dla tego pogardza nim

Sam wciąż narzeka, lecz Filonowi zarzuca:

Co znaczą owe narzekania zrzędne?
Młody szaleńcze, gdzie zimny rozsądek?

A w gniewie woła:

...Głupcze,
Niedoścignionych gwiazd szalony kupcze!

Uważa go za kwiat beznasienny, dla świata bezużyteczny.

Jak dalece jeden nie rozumie drugiego, jak dalece sfera marzenia i sfera myśli dla każdego z nich jest równoznaczna z rzeczywistością, dowodzi okoliczność, że się nawzajem o złudzenia pomawiają: złudzeniem dla Pustelnika jest to, czem żyje Filon, ale złudzeniem dla Filona jest to, czem żyje Pustelnik. Jak wskazanych powyżej rozporządzeń Grabca nie rozumie zgoła Goplana i z prostotą pyta: „O czem gadasz, drogi?“, tak samo Filon na wywody Pustelnika, płynące z rozżalenia na rzeczywistość, mówi naiwnie:

...Nudzi mię ten stary,
W głowie ma jakieś bezcielesne mary,

t. j. zarzuca Pustelnikowi zupełnie to samo, co mu właśnie zarzucił Pustelnik.

Rola tego ostatniego w tragedyi wyższa i ważniejsza: on w piersi swej skupił doświadczenie życia, a w samotni zgromadził w głowie wiedzę natury, on jest jakoby chórem starożytnym, jest głosem sumienia ludzkiego. Nie rozumie go Filon, lecz ceni Goplana, radzi się Kirkor, boi się Balladyna. On jest nie tylko głosem sumienia, lecz też i prorokiem, jasno przewidującym sądy Boże.

Niechaj z tego trądu

przepowiada Balladynie

Lęgną się w mózgu gryzące robaki,
W sumieniu węże; niech kąsają wiecznie,
Aż umrzesz wewnątrz, a zgnilemi znaki
Okryta chodzić będziesz, jako żywe
Trupy...

...A coś okropnego

Bóg już przeznaczył, może jutro spełni,
Może odmówi chleba powszedniego,
Może ci włosy kołtunami zwełni,
Potem zabije niewypowiedaną
Ogniem niebieskim...

Jednym z drobnych tragicznych splotów w *Balladynie* jest właśnie to, że Pustelnik, który Kirkorowi tyle zawdzięcza, tak go ceni wysoko, namawia go do wysłania Gralona, a że go zabija Balladyna, przeto przyczynia się do pogłębienia zbrodniczości jej, przeklina ją i wróży straszliwą karę Boga; to wszystko zaś świadomie.

Tak w tragedyi przedstawia się jedna sfera: przyroda—i ci z ludzi, którzy z nią sojusz bratni zawarli, wyrzekłszy się świata. Ma ona nadto nieodgadnione tajemnice, cudowne jakieś głosy i otchłanne szczeliny, które Bóg chyba zna i słyszy, które mędrzec odgaduje ze drżeniem. Umarły łowiec mglistymi psami mgliste pędzi tury, zalane miasta modlą się o litość, orszaki dyable igrają z drzewami...

III.

Ileż rodzajów nędzarzy
 Na biednym świecie—ziemia, to szalona
 Matka szalonych,

mówi Pustelnik przed samem przyjściem Balladyny. W każdym razie niewiasta ta — niezwykle to nędzarz i nie bylejaka szalona. Poeta z wielką ekonomią szczegółów nakreślił jej duchowy wizerunek, pozwalając nam niejednego się domyśleć, ale okrywając zasłoną mnogie drobiazgi duchowych przeżyć wielkiej zbrodniarki, aby się ukazała małowniczą i nieco zagadkową. Pod słomianą strzechą uboga wdowa z wielką miłością, zbożnie i cnotliwie wychowywała obie córki. W tej samej atmosferze moralnej wyrosła Alina: tkliwa, dobra, łagodna, prosta, czysta, pracowita i wesoła; Balladyna zaś — przy pierwszym swem zjawieniu się: oschła w swych rodzinnych uczuciach, obłudna i nieczysta. Ilekroć usta otworzy, aby co powiedzieć do matki czy siostry, tyle razy mówi opryskliwie, przeczy, upomina lub nawet obelżywie wymyśla. O swej miłości do Kirkora mówi z przesadą, obiecuje z miłości skakać w czeluście ogniste, brać na siebie grzechy jego śmiertelne, ginąć zań — i z tej przesady właśnie tchnie obłuda tembardziej rażąca, że wnet po przysięgach—bierze świecę i podąża na nocną schadzke z Grabcem. Pod żuźłami zepsucia wygasły w tem sercu iskry przez dobrą matkę syconych cnót — i ta cudna, biała, jak alabasty, z węglami pod rzesą, ale posępna i mrukliwa dziewczyna wydaje się jak gdyby predestynowaną na zbrodniarkę. W głębi tej duszy żyje człowiek dumny, samowolny i buntowniczy, człowiek z pokolenia Kaina nie Abła, o porywach i protestach prometeicznych, człowiek genialny, *gwałciciel praw natury tem zuchwalszy, że jest kobietą.*

Jakże się nam przedstawi ten duch w drugim momencie swego działania — tuż po zabiciu Aliny? Pierwsze słowa Balladyny są: „Co moje ręce zrobiły?... O!...“ ¹⁾

¹⁾ Prof. Małecki (II, 308 m. 2) utrzymuje, że ten zwrot wskazuje „w dosłownym sensie na udział piekła“ w zbrodni, w myśl ludowych wierzeń. Ale psychologia wie, że w głębi istoty ludzkiej drzemie człowiek inny, niż ten, jakiego widzimy codziennie. Śladów takiego rozdwojenia osobowości u nowoczesnych pisarzy-psychologów, jak: Dostojewskij, Ola Hansson, Gorkij, Żeromski, bardzo dużo, — zwłaszcza u tych właśnie, którzy analizują zbrodnię.

Ta sama kobieta, która miała dość siły i odwagi, aby w serce siostry pogrzyźć nóż, „nie może skłamać”—tak prawdę miłuje... Co więcej, jak ludzie skrupulatnie pobożni, łączy niby przyczynę i skutek to, że się „wczoraj nie modliła” — z tem, że popełniła grzech okropny. Jestże to psychologicznie wierne? Niewątpliwie tak. Nie wygasły i tkwią w tej ludzkiej duszy elementy dziecięcej wiary i uczciwości: właśnie w chwili zbrodni wszystkie władze duszy w potężnym napięciu i skupieniu zolbrzymiały—z głębi jej wyłoniły się te znamiona, które przygasały dzięki długim praktykom obłudy, nieczystości, gniewu — i stąd owo na pozór niezwykle pomieszanie słów i uczuć o tak różnej wartości etycznej.¹⁾ Nazwałbym ten moment wyczucia duchowego stanu zbrodniarki przez Słowackiego genialnem jasnowidzeniem — włącznie aż do hardego zgrzytu grzesznika:

Na niebie
Jest Bóg... zapomnę, że jest, będę żyła,
Jakby nie było Boga.

A potem w duszy Balladyny rozpoczyna się ciekawy, nader szczegółowo przeprowadzony proces rozkładu w myśl wróżby Pustelnika: „aż umrzesz wewnątrz, a zgniłemi znaki okryta, chodzić będziesz, jako żywe trupy.“

„Wszystkie jej włosy przesiąkły sumieniem”—mówi Balladyna wnet po morderstwie, kiedy z rozwianym włosom, sina, okropnie blada, obłąkana, biega po lesie. Jaką postać przybiera zgrzyzota jej sumienia? Przedewszystkiem i głównie jest to strach: jej się zdaje, że wiatr goni ją i pyta o siostrę, drzewa, błękitny zdrój, wierzba płacząca pytają. Milcząca, skryta, butna—ale kobieta, wyobraźnią obdarzona, w uczuciach żywsza:—na męki stanowi materyał o wiele podatniejszy, niż mężczyzna. I przypuszczam, że Słowacki, studiując szekspirowskiego *Makbeta*, w którym

Balladyna w tym momencie odkryła w sobie człowieka-zbrodniarza i uderzona obrazem obcym, nie uznając w nim siebie, przypisuje czyn rękom, jako instrumentowi bezwolnemu, rzekomo nie pokierowanemu w danym czynie świadomym aktem i nakazem woli. W słowach tych, jak wogóle w całym wybuchu Balladyny w tej chwili po zbrodni, widać błysk geniuszu, z jakim Słowacki duszę zbrodniarki przenikał—i wyrazić umiał.

¹⁾ Mogę tu się powołać na zeznania takich badaczy zbrodni, jak Czechow, rosyjski autor książki p. t. *Ostrow Sachalin*, albo Dostojewskij, autor *Zapisek z domu martwego*, stwierdzających, że zakamieniały zbrodniarz miewa w swej duszy struny tklive i niewinne.

mężczyzna okazuje się daleko mniej odpornym na zgryzoty sumienia, niż niewiasta, mógł takie rzeczy pojęcie akceptować w rasie germańskiej, pamiętając to, co o niej pisał czy Brodziński, czy Mochnacki,¹⁾ lecz mając sprawę z rasą słowiańską, męki wyobraźni i uczucia uczynił u kobiety o wiele wyraźniejszymi, niż u Lady. To jedno. A powtóre: pamiętał o tem, że akcyja przeniesiona w wieki odległe, że Balladyna jest człowiekiem pierwotnym; że harda i nieuległa, tem się właśnie wyróżnia od Aliny. Cicha, pokorna i bierna żyje Alina z naturą i jej prawami w zgodzie, nie ceniąc swego ludzkiego dostojeństwa aż do miary zakłócenia wewnętrznego ładu, jakim się dzieją sprawy. Natura też nachyla się ku niej z równą dobrocią i płaci jej równą przyjaźnią. Kiedy dziewczęta poszły po maliny, które miały o ich losie rozstrzygnąć, musiała Alina uprzedzić siostrę, gdyż natura ją wspomaga. Pierwsze słowa Aliny: „Ach, pełno malin“—świadczą o tem. Tymczasem zaledwie przeszła Alina, na to samo miejsce wchodzi Balladyna i jej pierwsze słowa brzmią: „Jak mało malin.“ Podobnie, ilekroć wraca do chaty Alina, w belkach nastaje szum i świegot: jaskółki jedna za drugą pyrr... pyrr... lecą ku niej, a ile razy wraca Balladyna, jaskółki kryją się sine pod słomą i cicho siedzą. W niej tkwi istota nieuskromiona, wydająca walkę naturze przez gwałt, prawom jej zadany. Stąd to wypływa, że Goplana miesza się w sprawy Balladyny i zapowiada, że ją „gryźć będzie, gryźć będzie...“ Stąd to wynika, że wyrok Goplany decyduje o losie Balladyny—aż do pewnego momentu. Goplana „zabić nie może, lecz może ukarać.“ Otóż, skoro Balladyna pogwałciła zbrodnią naturę—natura mścić się będzie. Jak?

Zostawię cię *przeznaczeniem* spojną
 Z ręką rycerza i ze zbrodni ręką:
 A ręką zbrodni dalej zaprowadzi.
 Uślechaj wiecznie tajemnicy męką!
 Każda malina może cię zdradzi,
 Ta wierzba cię widziała,
 Korą wyśpiewa...
 Lękaj się drzewa!
 Lękaj się kwiatu!
 Każda lilia albo róża biała,
 I na ślubie i po ślubie,
 Będzie plamami szkarlatu
 Na wszystkich liściach czerwona.

¹⁾ Brodziński w rozprawie *O klasycyzmie i romantyzmie*, Mochnacki w studyum *O duchu i źródłach poezji w Polsce* w „Dzien. Warszaw.“ z 1825 r.

Taką jest geneza strachu tem większego, że krwawa plama na czole, widomy znak zbrodni, oskarża.¹⁾ Zaraz też groźne zwia-
stuny nieustannej męki mącą ciszę pańskiego przepychu. Rankiem
głos sumienia nudzi, nad wieczorami dręczy i przeraża, a nocą ze
snu okropnego budzi, ale westchnień wydać nie można, bo mury
je powtarzają. Jej się zdaje, że wszyscy naokół śledzą, że każdy
ją posądza, że wszystko na jej zgubę urzekło się, a „ludzie tak
mówią, jakoby tajnemi szlaki dążyli ciągle w głąb jej serca.“
Szuka też wciąż kogoś w tłumie „przerażeniem okiem,“ staje się
z musu i lęku—nie z upodobania—kochanką Kostryna, zdradza się
przed Pustelnikiem, a skutkiem tego, że *On wie*, rozjątrza mękę
swoją i powiększa ją. Teraz do podejrzliwości, strachu, przera-
żenia, dręczących nocy, okropnych wieczorów przybywa nowy
szatan: *On wie*. Balladyny niedola nie pozbawia jej, niestety, wła-
dzy autoanalizy. Czuje, że więcej cierpi z każdą chwilą. Czuje,
że bezdno, w jakie się pograża, z każdym momentem wchłania ją
głębiej, że wciąż i wciąż wszystko w niej „z okropniejszą odradza
się twarzą.“ „Zazdrość tej, co dzisiaj rano mną była!“—woła
w rozpacz. I zabicie Gralona i okrucieństwo względem matki
świadczą już o znacznym postępie wewnętrznej zgnilizny. Bez-
senne noce sprawiają, że w dzień biały, w pośród panów, na ucztę
zebranych, usypia z oczami otwartemi.

PIERWSZY Z PANÓW.

Obudźcie tę kobietą bladą,
Ona zasnęła i śpi z otwartemi
Oczyrna.

KOSTRYN (do Balladyny).

Pani!...

PIERWSZY Z PANÓW.

Rozkaż, niech ją kładą
W gorące łoże, skościła jak drewno...
(*Grom bije głośny.. Balladyan budzi się.*)

BALLADYNA.

Co ze mną było?... *Jak ja okropnemi
Sny przerażona.*

¹⁾ W powieści Al. Dumasa, ojca, p. t. *San Felice*, występuje widmo bia-
łej kobiety z takim samym znakiem krwawym na czole.

Zatem z nocy sny okropne na dzień się rozszerzyły, wnet zaś potem Balladyna ma wizję Aliny, której oczy błyszczą a na głowie w dzbanie pełno żmij.¹⁾ Jest to niewątpliwie daleko posunięty proces psychicznego rozstroju u Balladyny, blizkiej tego momentu, kiedy „umrze wewnątrz.“ Ale mimo tego przeznaczenie nowymi trupami ściele jej krwawą drogę: i nie wiedzieć, czy główną pobudkę stanowi tu żądza władzy, czy też mus utajenia pierwszej zbrodni. Ostatnia pobudka zagnała ją do zgładzenia Pustelnika i do zamiaru zabicia własnego dziecka, gdyby się okazała możliwość, żeby wiedziało o zabiciu Aliny.

Los pcha ją do kresu. Wie dobrze, co ma czynić. Ludomorem namaściła ostrze noża. Jeżeli przegra w końcowej walce o tron z Kirkorem—przebije się; jeżeli wygra?... Wygrała i—nożem zatrutym przekroiła chleb dla Kostryna. Końcowe sceny jej działania od chwili walki z Kirkorem o tron po Popielu IV dowodzą pewności działania, hartu woli, zdecydowanego okrucieństwa, mężkiej rezolucyi, a równocześnie niewieściej chytryści i perfidy.

Kiedy poleca, aby kat pościął głowy naczelników, „rycerzy burmistrzów,“ kiedy na prośby posłów ułaskawia od powieszenia, a skazuje na wybicie zębów i szczęk wyłamanie, kiedy Kostryna w obłudnych słowach uspokaja i zachęca do spożycia chleba z jadem, kiedy stanowczo, wbrew zdaniu Posła, iżby rządziła „z ludu wolą,“ zapowiada rządy „bez woli ludu,“ jest w niej wówczas jakaś twardość i hart stali. Ustała męka, znikł rozstrój nerwów i hallucynacye, strach ustąpił miejsca dzikiej stanowczości. Dlaczego? Czy był w tem rozmysł artysty?

Zdaje mi się, że nie inaczej. Zabiwszy siostrę, pogwałciła Balladyna prawo natury. Goplana, jako królowa natury, wymierza karę i ściga Balladynę męką strachu, przerażenia, wizyj, aż do zabicia Grabca, jako króla dzwonkowego. Teraz znikł Grabiec, prysnął czar Goplany, więc ulatuje na północ. Poplątała ludzkie czyny tak, że Bogu mścicielowi trzeba grom upuścić na ludzkie dzieła, a ona sama, *zabrawszy anioła kar*, biedna wygnana—czepia się wianka żórawi i leci.²⁾ Kto ją wygnał? Ani wzmianki o tem

¹⁾ „Pełen czegoś, co się rusza.“ Ale już w akcie II, 1, 175, mówi Balladyna: „Wyłaż z twego dzbanka maliny, jak węże, aby mię kąsać żądlami.“ Są to zatem żmije i teraz.

²⁾ Anioł kar za mną poplynie,
Krzycząc mi w duszy: pamiętasz
O róż i malin krainie! (V, sc. 1, 35).

niema w dziele. Jednakże dziwny obrót spraw pozwala się domyśleć: zginął Grabiec, Pustelnik, Alina, Matka — wszyscy ci, którzy byli bliscy, przyjaźni Gopłanie. Balladyna porzuciła sferę słomianej strzechy, w nadgoplańskiej dziedzinie odbył się przewrót, który zakłócił harmonię pomiędzy naturą i człowiekiem, a szalę siły, wpływu i znaczenia przechylił na stronę kultury ludzkiego życia. Ale i drzewa, ręką ludzi szczepione, doznały urągliwego potrącenia ze strony Balladyny. W tym zamęcie, w tym ciemnym poemacie jedno brzmi donośnie, t. j. imię Boga.

IV.

Starał się o to poeta, iżby ludzie dramatu byli prawdziwymi i aby mieli ludzkie serca. Głównie Balladyna. W odtworzeniu Słowackiego—jak to z wywodów powyższych wypływa—cierpiała ona, dzięki udręce sumienia, o wiele ostrzej i wyraźniej, niż *Lady* Szekspira. Ale i mniejsze postaci: naprawiacz wszelkiego zła—Kirkor, naiwny poczcziwiec, który nie mógł rozeznaczyć zbrodniczych nurtów duszy u swej żony; prosta i naiwna Alina—po słowiańsku bierna, po słowiańsku wesoła i nieco za naiwna dziewczeczka, bez potrzeby przekomarzająca się z ponurą siostrą na moment przed zgonem; przepiękna, bohaterska matka, która „nic nie wydała,“ rozciągnięta na torturach, która woli iść do boru, żyć rosą, niżby się miała zgodzić na śmierć dla córki—i te mniejsze figury ludzkie mają serca. Chodzi o to, czy i pierwszą połowę zapowiedzi poeta spełnił: czy układał na wzór gminu swój poemat; chodzi dalej o to, czy wistocie *Balladynę* ceniąc, nie łudził się poeta, czy z dwóch poematów, napisanych w 1834 r., słusznie przełożył ją nad *Mazepę*?

Można bez przesady powiedzieć, że w całości pomysłu i motywach szczegółowych bogactwo ludowego materiału wyzyskane przez Słowackiego z wielką starannością. Rozumie się, że wchodzi tu w rachubę wszystko, co się powyżej powiedziało o myśle bohaterki, jej matki i siostry, o stosunku do Gopłany, jako królowej przyrody, o piorunie, jako karzącej sile Boga, o złym i bezecnym Niemcu Kostrynie: wszystko to tak zawikłane w akcję, jakby lud w bajce w akcję zaplątał. Z bajki zaczerpnął poeta motyw o ubogiej dziewczynie, która wyszła za mąż za bogatego pana, z bajki motywu o rozstrzygnięciu losu za pomocą malin i o zabójstwie siostry, z bajki — o chłopie, zamienionym

w króla.¹⁾ Aby jednak choć dla przykładu wskazać mnogość ludowych motywów, zużytkowanych przez poetę w *Balladynie*, przytaczam kilkanaście drobniejszych:

1) wiara w boginki, zamieszkujące tonie wód i gęstwiny leśne, wzięta od ludu;

2) podanie o pochodzeniu nazwy Rusi Czerwonej pochodzi jakoby stąd, że król Popiel żywił karpie ciałami niewolników; co dziesiątego tnie w kawały, część rybom rzuca, a resztę wymiata na dworskie pola i użyźnia skiby. Na pośmiewisko zwano ziemię kata — Rusią Czerwoną;

3) na wzór podania ludowego utworzył poeta piękną legendę o koronie Lecha;

4) od ludu wzięł podanie o jaskółkach, które wiążą się na zimę za nóżki i opadają na dno rzeczutki lub w studnie—na wiosnę zaś wylatują;

5) podobnie podanie o boginkach, że muszą przez zimę, kwiatom podobne, składać rumieniec i barwy wiosny i nakształt białych kamieni pograżać się w tonie jezior;

6) oto mostek: koło mostku mogiła samobójcy, gdzie straszny; naokół rośnie łożyna; kto tędy jedzie, koło mu spada, oś się łamie;

7) na moczarach zjawia się ognik: jest to duch obłądu, który całymi nocami wiedzie ludzi na manowce;

8) zła macocha przyczynia się do śmierci dzieci mężowskich, a gdy umierają, sadzi na ich grobie kwiatek: Niech Bóg świeci;

9) babie lato nazywa się nitką Magdaleny i jest symbolem płochości;

10) młoda pasterka obrywa listki białej stokrotki, a gdy piąty listek mówi: nie kocha — pasterka uniera;

11) w jeziorach słycać dzwony i szepty pacierza, w lasach śmiechy szatanów, w puszczy umarły łowiec poluje na tury;

12) jaskółki co roku, przed wylotem za morze, duszą stare, zgrzybiałe matki;

13) gdy na wrotach stajni nie przybita sroka, zmora dusi konie lub odbiera mleko krowom;

14) dostarczycielki jadów, jako czarownice, spławia się na rzece;

¹⁾ Podanie to wyzyskali artystycznie: autor „Tysiaca i jednej nocy“ w powieści p. t. *Abu Hassan i Kalif Arun*, Calderon w dramacie *Życie snem*, Holberg w *Joppe vom Berge*, Szekspir w *Ugłaskaniu sekutnicy*, Piotr Baryka w komedyi *Z chłopia król*, Fredro w *Panu Jowialskim* i in.

15) woda z pod topoli, gdzie piją wróble, leczy rany — i wiele innych motywów.

Mogę bez przesady powiedzieć, że w żadnym innym dziele tego poety niema takiego bogactwa motywów ludowych, jakkolwiek twórczość Słowackiego nie jest dotąd z tego względu ocenioną.

Wszelako z tego przeniesienia akcji w dzieje pierwotne, z tego rozpostarcia jej na kanwie ludowych przesądów i podań wynikło, że etyka zatraciła kształty zasad, kierujących czynami i urabiających dusze. W świecie pierwotnym odzyskuje walor gra pozornie ślepych sił. My wiemy, że ponad wszystkim czuwa, wszystkim włada Bóg. Lecz zaledwie wiedza i wiara ta zniknie, jeżeli przytem pomyślimy o ludzie pierwotnym, powodującym się instynktami, wówczas grą życia opanują czynniki o walorach wątpliwych, jako to: przypadek, los, fatalizm, konieczność, przeznaczenie—i siły te w swem działaniu niskie, w przyczynach i skutkach nieuświadamiane, sprawią efekt ślepych, aczkolwiek nieraz złych i niszczących wybuchów. Słowacki też z głęboką rozwagą i obiektywną przenikliwością zużytkował wszystkie wymienione sprężyny w swej tragedyi.¹⁾ Zatem postanowienia ludzkie, przypadek, demonizm, logika zdarzeń czy też fatalizm czynów, nakoniec palec Boży—wszystkie te wpływy znalazły zastosowanie i ustopniowane zostały w tragedyi. Ale to, oczywiście, najgłówniej w świecie ludzkim, gdyż świat natury i ludzi, do natury zbliżonych, nie cierpi na takie choroby, jak chciwość pieniędzy, żądza sławy, pragnienie władzy, ambicya i duma: są to wszystko specjalnie ludzkie niemoce. Nietylko wszakże pobudki działań są w *Balladynie* tak różnostronnie ujęte. Rozległa skala uczuć niemal wyczerpuje wszystkie spotykane jej objawy: na czoło wysuwa się miłość matki, bohaterska i bezgraniczna, bezinteresowna i pełna poświęcenia; obok miłość siostrzana Aliny, dalej miłość dla człowieka wybranego, ale nie zasługującego na uczucie: *Goplany* dla *Grabca*; dalej miłość rycerska, szlachetna *Kirkora* dla *Balladyny*; i udawanie miłości przez tę ostatnią dla ubocznych celów; i owo poszukiwanie głębokiej, idealnej miłości *Filona*; a następnie miłość zbrodnicza pary, spojonej węzłami zbrodni; ponad tem zaś egoizm wygórowany, brutalny, depący najświętsze węzły. Jeżeli teraz obejrzymy się wstecz na wszystkie wywody,

¹⁾ Pierwszy stwierdził to *Małnecki* (II, 291), za nim *Nehring* i *Chmielewski*.

to się przekonamy łącno, jak w swym pomysle skomplikowanem, jak w swem technicznem urobieniu misternem i jednolitem jest to dzieło.

„Zamiarem poety było przeprowadzić genezę zbrodni. Jej zaród, jej pierwszy objaw, jej rozwielenienie się w całej woli człowieka, jej następstwa, jej wygórowanie nad całym położeniem stosunków—oto w krótkich słowach streszczenie całej osnowy tragedyi.“ Tak mówi prof. Małeckie (II, 304) i jest w tem cząstka prawdy—lecz czy jest w tem wistocie *cała* osnowa tragedyi? Gdzież tu rola Pustelnika, Filona, gdzie natura i sumienie, gdzie potrzeba stosunku Goplany z Grabcem, gdzie potrzeba przeniesienia akcji w świat pierwotny, gdzie konieczność posiłkowania się światem ludowym?

Nie chodziło poecie wyłącznie ani o genezę zbrodni, ani o żądę sławy, ani o miłość, ani o sprężyny, kierujące czynami, ani o Polskę popielową, ani o ludowość, ani o żaden z tych szczegółów odrębnie, lecz o wszystkie razem. A w tych wszystkich razem, jeśli już o ideę chodziło koniecznie, to pewnie, że o tę Kochanowskiego:

Wszystko się dziwnie plecie
Na tym tu biednym świecie!
A ktoby chciał rozumem wszystkiego dochodzić,
I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić.

Czytał słowa te na czele Malczewskiego *Maryi*, czytał i w samym Kochanowskim, tak wtedy pilnie i z upodobaniem wertowanym, wyraził je zaś w liście w słowach: „Balladyna urąga z porządku i ładu, jakim się wszystko dzieje na świecie, z nieprzewidzianych owoców, które wydają drzewa ręką ludzi szczipione.“

Do tego wszakże trzeba dodać, że o jedną główną, wybitną, dominującą ideę Słowackiemu nie chodziło. Świat i życie w swej różnaitości, w swoim rozbięciu wszystkiego i skupieniu wszystkiego, w swej pozornej nielogiczności i głębokiej logice, ze swem pięknem natury, jej spokojem, radością, karnością i przewagą, a dążeniem człowieka do brukania, niszczenia, szpecenia, psucia dzieł jej, ze swą różnolitością zasad, wiar, przekonań, chęci, żądź i czynów—są to przedmioty dla artysty niewyczerpane, bo jak świat stare i jak życie wieczne.

Poeta ułatwił sobie zadanie, przenosząc akcyę na tło dawne, kiedy owo skomplikowanie i głębia nie były jeszcze—zdawało mu się—bezdenne.

Można przeto we wszystkich o Balladynie mniemaniach widzieć częśćkę prawdy. Balladyna jest filozofematem? Najpewniej. Balladyna jest tragedją? Niewątpliwie. Balladyna jest epopeją? Możliwe. Balladyna jest niby tragedją? Sam poeta czuł to i tak nazwał.

Balladyna jest udramatyzowaną balladą? Można się i na to zgodzić.

W Balladynie wszystko się skupia i wszystko rozprawia? Bardzo słusznie, jak w życiu.

Jednem słowem poeta stworzył *Balladynę*, upostaciowując w niej siły przyrody i życie ludzkie—tok życia niezgłębiony, tajemniczy, mistyczny — harmonię natury, która wszystko nalewa jednym kolorem: stworzył ciemny poemat, w którym brzmi imię Boga.

ANTONI MAZANOWSKI.

SZKICE WIELKOPOLSKIE.

I.

Przerwany wieniec.

1.

Odwieczny dwór modrzewiowy, w ziemię wrosły jak dąb stary, pochylony a mocny, bo niski i prawie czworograniasty, w zasłonę dzikiego wina zaszyty, potężną strażą ogromnych drzew od wichrów, burz i słońca wysoko opancerzony; w nim izby obszerne i liczne, w masywny mahoń i brzozy złożone (z czasów Napoleona Wielkiego) umeblowane. Biblioteka o kilkunastu tysiącach rzadkich a wyborowych tomów, w niej też archiwa, przeróżne dokumenta, bogate psalterze i korespondencye nieźrównanej ceny. Na ścianach miedzioryty i litografie. W jesionowej jadalni portrety rodzinne, okopcone, surowe; w bawialni fortepian i organki, dawny fotel „Babuni“ i parawanik ręcznej, misternej roboty, miniatutki i makaty; między salonem a biblioteką ongi była kaplica domowa, niby szafa ścienna zamykana, oszklona, zawierająca ołtarz o wielkim krucyfiksie z kości słoniowej. Kilka kłęczników i siedzeń na drogim, przedziwnym kobiercu stojących, a na każdym kłęczniku kupka książek, własność osobista sędziwych—z epoki „Babuni“—dam; Dunin, Naśladowanie Chrystusa Pana, modlitewnik rodzinny z kalendarzem i odbiciem genealogicznego drzewa, wszystko opatrzone w herby, korony, literki pobożnych Pań; a wewnątrz książek pamiątkowe obrazki, pacierze własnoręcznie pisane, notatki, zasuszone kwiatki, niekiedy pukiel włosów, list zaginionego w wojennej wyprawie syna — rzadziej recepta na lekarstwo lub potrawę.

Teraz, gdy Babunia i cały ówczesny zespół sióstr, kuzynek, mężów ich, braci, generałów i poetów (z cezaryjskiej epoki i z 30-go roku), referendarz i prałat syn jego, poszli na rękach swoich wiernych zamieszkać w podziemiach kościoła własnej fundacji o 200 kroków, przy bramie parku, a pamięć ich, jak pamięć wielkich dziejów i rozszarpanej ojczyzny, za którą krew i łzy przelali, zdałaby się legendą, gdyby nie kamienne i śpiżowe pomniki, wieńcem grobowców kościół okalające,—kapliczka znikła, dziedzice nowi, w sile wieku, uczęszczają do kościoła; księży ledwie dość rząd zdradny pozostawił dla obsługi parafii, na którą też samowolnie familijną świątynię obrócono. Stały więc w miejscu dawnej kapliczki stoliki wintowe i bilard, a kilka nowożytnych sprzętów zastąpiło koszycki i krosna, podnóżki i szyfonierki staroświeckie. Na schodach głównych od zajazdu, setki myśliwskich zdobyczy, las rogów, przewieszonych bronią i ładownicami; zresztą, wszystko jak dawniej, a od południowej strony, skąd widać dzwonicę kościelną, ściana porośnięta caprifolium i duża rabatka białych lilij po dawnemu.

Po drugim boku bawialni okrągły gabinet z żelaznymi schodkami, prowadzącymi na piętro, do gościnnych pokoi, i szklane drzwi, otwarte na werandę, tak zacienioną pnącą zielenią, tak pełną śpiewnych ptaszków, tak swojską i miłą, że przez całe lato tu żyje, pisze, haftuje, medytuje, gości przyjmuje, herbatę pije i owoce skubie niezliczony zastęp krewnych i stale zamieszkałych przyjaciół domu — a to przez lata i lata, od pokolenia do pokolenia.

Na górze przestronne izby gościnne, służbowe i dziecinne, częścią piękne, słoneczne i widne, częścią ciemnowe poddasza, matami, półokrągłymi okienkami oświetlone, cienkiem przepierzeniem oddzielone od śpiżarni, strychu, wygódek. Tam wydarzy się zrzadka szczura napotkać, na myszy polować, podstawić szaflik pod zaciekający załamek dachu. Tam w skrytkach znachodzi się nierzadko skarby: paki z listami pierwszorzędnej wartości, mahoniowe, olbrzymie łóżko rozbierane o lwich łapach złożonych, ornat zaczęty, obraz na drzewie—włoski, więc ochrzczony niezwłocznie jakimś nazwiskiem wątpliwem średniowiecznego mistrza. Od strony werandy ciągnął się wielki, cienisty park: dwie długie aleje wiązków, między niemi trawnik ogromny, kwadratowy, zasadzony owocowymi drzewami: jabłonie, grusze, śliwy, orzechy włoskie.

Miało to charakter oryginalny, swojski, nie ujmujący piękna dzikim gąszczom, okalającym ten fantastyczny sad, ani też wysokopiennym różom, patrzącym z góry, jak szereg żołnierzy na warcie, ku rąbkowi gazonu z kwiecica, dywanowo strzyżonemu u ich

stóp, od płaczącego jesionu, tworzącego altanę na prawo, do kępy iałodrzewia i amerykańskich sosen na lewo.

U wylotu alei przy dworze, skręt przez most do podwórza, tam kuchnie, oficyny, stajnie, okólnik dla stadniny, wozownie i szopy; dalej większy jeszcze czworobok wspaniałych, gospodarczych budowli, zasobnych w zboże, inwentarz żywy i martwy; potem ośmioraki służbowe, piękniejsze i nowsze niż dwór; chmielarnia, kuźnia, maszyny.

A w parku z drugiego końca i wylotu tej samej alei, rzeczywiste dochodowe sady i szkółki, szparagarnie i oranżerye, wazrywa, szpalery agrestu, porzeczek, fasoli; ściany pokryte figami, winogronem, rozpiętymi ramionami brzoskwiń i moreli; ogródki dla dzieci, pasieka, pola pełne maków i gwoździków.

Po tamtej stronie dworu—od zajazdu, na dnie przeciwległej połowy parku, staw; głębokie fosy do niego prowadzące, baldachimem łośpianu zamaskowane; i śliczne mostki zmurszałe, pod stopą ludzką drgające, i studnia, której koło i wiadro skrzypiące, daszek i frendzle arystolochii, każą o przeszłości marzyć; zduniewające lipy i jakiś półwysep dziewiczy, droga pod sklepieniem konarów i soczystej zieleni, do grobów, do kościoła, do szosy, do świata wiodąca, przez wielką ogrodową bramę, między dwoma słupami, dwoma murami—rozwartą. U jej boku furtka, a naprzeciw świątynia modrzewiowa, w morzu rozłożystych kasztanów tonąca, na placu strzeżonym zarówno obwodowym murem, a w nim także brama, furtka i słupy.

Nazewnątrz, między kościelnem a dworskiem ogrodzeniem, na rozdrożu, drugi plac kasztanami porosły—cieniste schronisko pojazdów, bryczek i wozów przez czas nabożeństwa.

W kościele cenne zabytki, jakiś ołtarz Wit Stwoszowi przypisywany, fundatorskie ławki i łoże niezamykane, pobożnem uszanowaniem wiernej gromady strzeżone, nietknięte i puste do chwili, kiedy dziedzice z gośćmi przez zakrystyę nie przejdą, by je napęłnić. Przy głównych wrotach Męka Pańska, krzyż boleści; na nim drewniany, malowany Syn Boży, a nogi jego wytarte od pocałunków tłumu. W pobliżu kamienna chrzcielnica. Nad nią organy.

Tu czystość i ład, i woń kadzidła, rzędy porządných dzieci, chłopcy na lewo, dziewczęta na prawo. Tłum skupiony, cichy, w odświętny, tradycyjny strój ubrany, konfesyonał obłożony, duszpasterz świętobliwy, asceta dla siebie, miłosierny dla drugich. Za młodu odsiedział więzienie w czasie kulturkampfu, a jednak powrócił do umiłowanej trzody. Rząd nawet potrafił poznać niezmaco-

na słodycz tej Chrystusowej duszy, przeczuł, że tam gdzie on jest, tam gwałtu nie będzie, choć nie ustąpi nigdy wówczas, gdy powinność wyraźna, ani odstąpi nigdy, póki pozostanie jedna do ukojenia dusza. Zdrowia, sił, bezsennych nocy nie żałuje, choć bez najmniejszej zapalczowości w działaniu, ale przeciwnie, dla nawiedzania chorych, dla pocieszania smutnych, dla pouczania ciemnych, dla zachęty w modlitwie, w łącznej modlitwie różańcowej, dla popierania matek chrześcijańskich, dla nawracania przybywających zdala grzeszników, przyciągniętych sławą jego imienia; owieczki jego bowiem są białe, białemi je odziedziczył po prałacie nieboszczyku, po synu Babuni, po Niej! To też nabożeństwa bywają długie i uciążliwe, kazania łagodne i pouczające, procesye, błogosławieństwa Przenajświętszym Sakramentem solennie wystawianym częste, śpiewy i modły gorące, a lud bez zarzutu.

Tu śmiało zgubić możesz sakiewkę złota wśród tłumu; oddadzą ci ją w zakrystyi nietkniętą. Śmiało uczciwy chłopak swatów ślać może do ogniska domowego którejkolwiek z tych ładnych, rumianych dziewcząt o czystych, wykrochmalonych (jak lalki „Bamberżanki“), fałdzistych sukienkach, aksamitnych gorsetach, śnieżnych koszulkach z kreskami i czepeczkach na uszy zachodzących, a wiązanych pod brodę. Taka odzież przemawia za tą, która ją nosi, hulaków odstręcza, wiernych i godziwych małżonków przywabia. Lud ten zżył się z dworem i z kapłanem swoim. Lud ten zabezpieczył poniekąd młodź dworską i oficjalistów od rozwiązłości, tak często kalającej przedstawicieli świętych tradycyj w okolicach innych. Lud ten zasłużył na poszanowanie i otrzymał je w pełni od przełożonych, a nigdy nie odmówił go ani skąpił, przyrodzonym kierownikom swoim, na wspólnej glebie urodzonym i wychowanym. On wie, co on wart, zna przeznaczenie swe i stanowisko życiowe. Ma chleb, dach i niejedną krasę dla ozdoby onego; nie zazdrości swym wodzom wyższości doświadczenia, wiedzy i ogłady. Szczyci się nimi, gdy przynoszą chlubę rodzinemu siołu, poważnie i chętnie oddaje im hołd, przynależny wszystkiemu, czego skarbnikami są oni na ziemi ojczystej z woli Bożej, a to wtedy nawet, kiedy nie bez ułomności dźwigają ciężar posłannictwa swego.

Niech mówią, co chcą wichrzyciele, żadna litera prawa, żadna przejęta konwencya nie sięga do dna duszy żadnego człowieka. Ani dziedzic występny, jeżeli ma przytem rozum zdrowy, nie uniebia się w sunieniu własnem wyższym ani lepszym od stojącego przed nim z odkrytą głową, mądrego, cnotliwego włościanina,—ani włościanin, oddający cześć idei uosobnionej w niegod-

nym spadkobiercy zasłużonych rodów, nie mniema się gorszym od niego. Oko w oko każdy wie w gruncie czem sam jest i czem ten, któremu oddaje lub od którego przyjmuje zewnętrzne wyrazy poważania. Głupi tylko o tem nie wie, że wobec życia i śmierci, cnoty i występku, oni są braćmi.

Na arenie świata te świadomości wewnętrzne bywają zagłuszane. Na wsi inaczej. Tu istotna Prawda panią, na tle odwiecznych, nienaruszonych zasad. Patryarchalne obyczaje pociągają za sobą pewne niedogodności dla hardych adeptów indywidualizmu, ale zwolennikami ich są wszyscy ci, co nic nie mają do zatajenia. Tu każdy wie, jak kto siedzi, każdego zna po imieniu i po czynkach, wtrąca się z góry, czy z dołu, z prośbą, czy z napomnieniem, do bytu i czynów bliźniego, ale tu, nie jak na świecie obojętnym i niesprawiedliwym, sądzącym bez apelacji, bez wysłuchania obrony, wykreślając z życia swego na zawsze ofiarę, jaką sobie upatrzył w interesie własnej, biernej bezkarności. Tu, obok pozornie niedyskretnej nagany, bywa i pomoc, i ratunek, i w następstwie—w razie poprawy—przebaczenie. Całe Księstwo na tem stoi, a światowcy pojąć tego nie są w stanie. Świat kusi, gubi, a potem potępia. Chrześcijański zespół pilnuje, dźwiga, a chociaż skarci—rehabilituje. „Frappe mais écoute! Frappe mais guéris! Frappe mais pardonne!“¹⁾

.....

Ach, gdyby te stare mury, te stare dęby, te stare groby przemówić mogły! Ileżby losów kolei, ile zdarzeń i charakterów, ileż bezprawia po jednej stronie—złudzenia po drugiej—wyjawić mogły! Ile widziały, ile rozniósł wicher lotnego pyłu zamiarów i uczuć, obmyślonej zdrady i zawiedzionych wysiłków po przez jedwabie tych szeleszczących liści, po przez wyłomy tych ochronnych twierdz! Dnie chwały i dnie rozbicia, jeżeli nie upadku. Rozbitki ofiarnych, oszukanych w nadziejach legionów, rezygnacya pod godłem pokuty, na płonne gwarancye roku 1815. Konkretny dobytek lat pokusy, kiedy się naród nasz okazał dojrzałszym pod zaborem pruskim, niż się spodziewać można było. Marcinkowski, oświata, porządek, silne, zamożne, myślące mieszczaństwo, intelektualnie i moralnie wzbogacone, nawskroś polskie,

¹⁾ Bij, ale wysłuchaj, bij, ale uzdrów, bij, ale przebacz!

pomimo form germanizacyjnych, odpowiedzią było znamienne a na podstępne dobrodziejstwa Flottwella.

O ślepcy, co nie wiecie, że narodowość, to tyle, co rodzaj i gatunek w przyrodzie, że narzucając Słowianom cywilizację teutońską, wzmacniacie po niemiecku—słowiańskiego ducha! O ślepcy, zapoznający zdolności ofiar swoich! Karły, ukonstytuowanego państwa, nie liczący się z ukrytym, żywiołowym geniuszem z chaosu wyłaniających się olbrzymów! Pokuszanie ludu przynętą ziemi, a zrażanie go na duchu (który on sobie ceni — i słusznie — wyżej niż ziemię), tak, iż on wraca dobrowolnie do osamotnionego, bezbronno panującego i od niego przyjmuje w darze to, coście jednemu wydrzeć za tani grosz, drugiemu dać za zbyt drogą opłatę (za złoto ciało i duszę) chcieli.

Listopad 1830-go roku—szła ufności w zlitowanie Boże, ¹⁾ pomoc bratnia i znów twardszy ucisk świętokradzkiego „Krzyżaka“ kleszczy.

Ruina! Pół miliona mórg ziemi wyludzony, na pastwę Niemców lekkomyślnie puszczonej. A wśród powodzi, pożerającej ziemię, kiedy niekiedy ochronne wzgórze, ostająca się oaza, świętość, relikwia, bezpieczna arka przymierza. Tam pokolenia, następujące po sobie jakby nigdy nic, żyjące swoim życiem, ręka w rękę z robotnikiem rolnym pod znakiem krzyża i błogosławieństwem pasterzy. Pokolenia, wychylające z kolebki młode głowy, pokolenia, cicho schodzące w podziemia grobowe!

Potem — chwila istotnej ulgi z łaski jednego dobrotliwego władcy. I zaraz podżegania młodzi szalonej przez zdradliwe sympaty rewolucjonistów germańskich. Sympaty — trwałe, jak oceanowy przypływ i odpływ oportunistów! Fryderyk Wilhelm IV-ty waryatem, my winni, że nas uniosła fala pangermańskiego liberalizmu.

Dalej, żelazny kanclerz, prowadzący na Kapitol nad Sprewę, przez Schlezwig-Holstein, Sadową i Sedan, króla-cesarza pseudo-konstytucyjnego, wiążący w snop jeden wszystkie ambicje pojedynczych trybunów ludu konfederacji germańskiej, ciskający im pod stopy garść bezradnych książątek, i zwycięstwami olśnionych, w imię wolności i wielkości państwa niemieckiego, biorący ich w śpiżową dłoń, szczęśliwych, posłusznych, pod warunkiem, żeby nas z opieki swej wypuścili, nas z wszelkiej wolności i wszelkiego prawa wyłączyli, nas razem z nim karali za ich własne „prze-

¹⁾ Dla ziemskiej sprawy w doczesnym życiu nieusprawiedliwiony.

winienia,“ w których za ledwie bierny braliśmy udział, jako sojusznicy, nas oddzielili nawet od niemieckich sprzymierzeńców naszego kościoła, gniotąc kościół, więżąc, wydalając i z dzierżonych dyecezyj wyzuwając ksiąząt tegoż kościoła, niby to z winy naszej, aby oni także żal swój ku nam od niego odwrócili.

Instytucje nasze ekonomiczne skasowane, a najdzielniejsi synowie ojczyzny zmuszeni w kornym wallenrodyzmie służyć i przodować w instytucjach niemieckich; inaczej bowiem ani jednego głosu swojskiego za sobą byśmy nie mieli w tygrysiej jamie!

Prasa nasza, język, ostracyzmem i chińskimi wyrokami odsądzona od prawa istnienia, a dzieci, dzieci nasze, mówiłam wam już o nich! w XIX-ym i XX-ym wieku smagane, sińcami pokryte bezkarnie; jedno z nich, bite po głowie, umiera, a zbrodniarz nie wisi na szubienicy, nie okuty w kajdany, nie zamknięty w twierdzy, nie zawieszony w swoim oprawczym urzędzie—tłómaczy się tem, że dziecko już bez tego było chore! Więc śmiertelnie chore dziecko wolno dobijać, wolno bić po głowie!

O zaiste! jesteście „państwem bojaźni Bożej i dobrych obyczajów!“ Zaiste, skarżyć się możecie Wy, „z Bożej łaski“ przyjaciele i towarzysze Kruppów i Eulenburgów, iż Polki rodzą więcej... niż wasze kobiety! i wtrącać do więzienia te, co z gofemi rękami przychodzą upominać się o pomordowanych dla polskiego pacierza synków!

I tego nie dość!

I tego nie dość. Śpizowa zbroja Bismarcków ustępuje przed pstrą togą tragicznych histrionów!

A w rękę ich rzekomo konstytucyjny, krzyżacki sejm i wielkich panów niewolniczy senat. I chlebobajną glebę, i ognisko, i kolebki, i groby, i ziemię, gdzie mamy prawo obok ojców ułożyć się do snu wiecznego—zaprzeczają nam legalnie konstytucyjni, z Bożej łaski raubrittery XX-go wieku!

Zasłona spada. Tragedya na ziemi przez arlekinów postępu spełniona! Cierpliwości!

Ostatni akt napisze Bóg!

.....

2.

W modrzewiowym dworze władzygrodzkim (skąd na rękach do kościoła wyniósł kolejno lud i krewni to mężów miecza, infuły i pióra, to świętą—orląt pra-pra Babunię) mieszkają teraz dziadzi, prawnuki, pan, pani i dziatwa Szląscy. Pracują ochoczo, pracują dzielnie, pracują w pocie czoła, pracują nawet wesoło jeszcze, nie przewidując przyszłych nikczemności; pracują dla synów, pracują dla kraju. Starają się opromienić młodość swoim orlątkom. Życie przynosi cierpień tyle! Niech się cieszą, niech się cieszą, śmieją, póki czas! Rok 1902-gi. Służba składa się z sędziwej niewiasty, panny Anny, wychowawczyni trzech z rzędu pokoleń niemowląt. Szlachcianka piękną była, obywatel sąsiad o rękę ongi ją prosił. Lecz ona, wierna panięci w 64-ym roku zabitego powstańca narzeczonego, wierna rodowi, któremu jej rodzice na wyższych służyli posadach, zadawalnia się twardo zapracowanym chlebem przybranego, staropanińskiego macierzyństwa ducha. Nad trzeciem już pracuje orląt gniazdem. Obok niej Kasia, jedna z tych skronnych dziewcząt o białym, jak lilijka, czepeczku, godłem ciała i duszy tych dziewcząt. Pracuje za wszystkich i dla wszystkich, utrzymuje dom w porządku. Miłują ją państwo, jako swoją, a ona ich, miłują dzieci, szanują goście. Dalej gospodyni, kucharka, stary stangret Marcin, ubóstwiany paniczka kompan w wyprawach do lasu, na łowach, w których, strzałami flowera rażone, padają gołębie, przepiórki, króliki, — Foryś, chłopak kredensowy, i jeszcze jedno dziewczę, Sewerynka, ogrodnik, wreszcie Maciej, Maciej naprzemian leśnik i służący.

Kreśląc te słowa, widzę białą, młodą jeszcze Macieja twarz o błękitnych, dziecięcych niemal oczach. Postać nawskroś dobrzego człowieka, tej żywej perły, najrzadszego na świecie klejnotu. Maciej kochał swych chlebobawców i przez nich w pełni cenionym był i kochanym. Ten właśnie był typem człowieka, o którym żaden zarozumialec pod słońcem powiedziełby nie mógł sumiennie, iż się uważa za wyższego od niego, jakaby nie bądź krew błękitna płynęła w żyłach jego. Maciej był czystym, jak łąza, i dobrym, jak wybraniec, jak uczeń Chrystusa Pana.

Już od lat dziecięcych życiowe dzieje Macieja nacechowane były dziwną jakąś fatalnością, towarzyszącą mu do końca.

Matka jego, wdowa, choć miała kawał gruntu po zmarłym mężu gospodarzu, nie mogąc dać sobie rady z dziećmi i z ziemią, wydzierzała pole i chałupę, aby przyjąć służbę u wielkiej, a po-

ważnej działaczki, matki ludu, pani z panów, generałowej, księżny Chocimskiej. Tu znalazła opiekę niezrównaną dla siebie i dla synów.

Maciej miał już lat 12, gdy najmłodszy braciszek jego był niemowlęciem, a ojciec ich odumarł.

Malec usługiwał młodemu księciu, towarzyszył mu konno i pieszo, na polu i w lesie, służba ta była najweselszą rozrywką, a dzieciak przywiązał się całą duszą do swego paniezza.

Nie minęły jednak trzy lata, gdy pierwszym alarmowym dzwonem na wielkopolski gwałt padła wieść, że czcigodną damę, jako wysoce niebezpieczną dla akcji germanizacyjnej i antyklerykalnej, śpiżowy kanclerz żandarmami usunąć kazał zagranicę. Syn za matką podążył, a Maciej piętnastoletni stanął wobec własnego sumienia na kuszącym rozdrożu: pójść w świat za umiłowanym książatką, czy na szarej glebie ostać się przy rodzicielce swojej. Pozostał.

Lecz ciężkim był los prześladowanych przez rząd rozbitków służby Chocimskich.

Biedna wdowa, brata miała we Wrześni, i tam z młodszą dziatwą się przeniosła. Macieja przyjął za gajowego pan Szląski z Władygrodu.

A gdy ponownie wypadki wrześnińskie ostro dotknęły rodzeństwo i matkę, gdy ta poranionych i umęczonych Beniaminków wywiozła do schroniska wielkiej wygnanki w Galicyi, Maciej sam jeden został na straży do pilnowania choć zdaleka wydzierżawionej gleby dla matki, dla braciszków, służby zaś u Szląskich już nieopuścił, ku nim zwrócił wrodzony dar serdeczny swego przywiązania i ofiarności, o nic dla siebie nie upominał się, wuja z czasem osadził na tych kilku morgach, z których dochody szły na wsparcie w naukach dla szczęśliwszych pod austryackiem berłem chłopaków—księżnej bowiem fundusze ledwie starczyły na ogrom podjętych dzieł i zobowiązań— a Maciej pracował, poświęcał się niezmiennie, zawsze dla wszystkich, nigdy nic swego nie miał, prócz wyjątkowej wyższości ducha i wytrwałego, wrodzonego, celowego, jak przeznaczenie, zaparcia się siebie. Tak, od kolebki do mogiły, straszna dola ojczyzny stała się jego dolą, a ucisk i okrucieństwo pruskiego rządu bez pardonu od początku do kresu życia łamały go, i goryczą zaprawiały każdy dzień, każde uczucie jego istnienia.

W trójnasób sierotą został: po ojcu zmarłym, po dostojnym przyjacielu i panu, po matczynem ognisku i niwie.

A jeżeli w tem doszczętnem ogołoceniu i pokorze było nieco własnego jego bohaterstwa i zezwolenia, toć nie dziwota. Za młodu obrzydł mu świat, zwiędły nadzieje. Pierwszy krok na drodze wyrzeczenia się osobistych względów pociąga za sobą następne i kształtuje charakter na modłę tyłu pierwszych wrażeń życiowych podstaw.

Maciej nawykł do boru, obcował tam sam na sam z przyrodą. Za kawalerskich czasów wiódł wprost koczownicze życie. Bronił zapamiętałe swój bór, bór pana swego, od kłusowników zajadle, wiernie, jak pies. Ale zajadłość jego polegała na ustawicznym czuwaniu ponad miarę sił i roztropności. Ułożył sobie szałas liściem i trzcina kryty, zakopywał się w ślizkie, pachnące, kołące igliwie. W mgłach przedświt, w słonecznym żarze, w ulewny deszcz, w przenikającą szarugę słoty, w roziskrzony, brylantami sypiący mróz, w blasku tęczowych koronek okiści, na brzozech, wiązach i sosnach rozwieszonych, w czarną lub srebrną księżycową noc, naczcz, z kawałkiem suchego chleba i twardego, czerwonego sera w zanadru — chudy, blade, nieustannie czytał Maciej na szkodników. Lecz nigdy, przenigdy, bronie nie użył, do szwabskiego sądu przestępcy nie włożył i, co dziwna, zbyt dobrze znany, za słodycz charakteru lubiony, jakoś trafiał do przekonania delikwentów, tak, iż ruszając ramionami, wdzięczni za łaskawe obejście się z nimi, dobrowolnie oddawali plon, nie mścili się na uporczywym strózu cudzego dobra, wreszcie wynosili się gdzieindziej.

Maciej pilnował oprócz tego sadzenia, prawidłowej hodowli i leczenia drzew, porębów, sągów, obróbki, zwózki, kupna i sprzedaży materyału, karczunków, trzebieży, wszystkiego, nie spuszczać się na dozór gajowych. Polował, kierował pierwszymi krokami paniczka na polu myśliwstwa, organizował wielkie, doroczne łowy, znał po rogach, po chodach, po drobnych szczegółach każdą grubszą sztukę zwierzyny w lesie, każde stadko kuropatw w polu, każde mrowisko dla bażantów zdatne, ba, nawet siedliska konwalij i storczyków dzikich, jagód i grzybów dla panienki, obcemu mu nie były, wiedział, jak chwycić roje pszczoł do pasieki. Las był mu znajomym od dzieciństwa. Kochał go.

A pan ślicznym, odwiecznym, księstwowskim zwyczajem, zżywszy się z ziemią swoją i z ludźmi, tak samo, jak Maciej z bosem, znał i miłował każdego człowieka, każde dziecko w swoich włościach znał po imieniu i usposobieniu, po zdolnościach i zdrowiu, po urodzie i potrzebach, przyjmował, a nawet żądał przynależną mu dyscyplinę uszanowania, jak generał od sołdata, jak oj-

ciec od dziecka, ale miał nawzajem troskliwą opiekę; poszanowanie osobiste dla każdego według zasług i moralnej ich wartości; nie obchodził się z nimi, jak z pionami na szachownicy, jak z inwentarzem produkcyjnym, jak z typami, do których gremialną pozę sentymentalności wysoce obywatelskiej się uczepia, ale jak brat starszy, powołany do kierowania młodszym, z uwzględnieniem okoliczności i właściwości tegoż, jak duszpastérz, lekarz lub adwokat sumienny, uprawniony, po dokładnem rozpatrzeniu każdej sprawy, do prowadzenia klienta swego na odpowiednią drogę wedle wiadomości i przekonania swego. To też spostrzegł niebawem, że w gorliwości swej Maciej się wyczerpuje na siłach, mizernieje, pomimo odżywczego warsztatu przyrody, przy którym pracuje. Prosił, łącał — daremnie. Gdy wreszcie Maciej oświadczył, że się żeni, aby mieć strawę ciepłą, wygodę i oprzęd należyty, słusznie go pochwalił, rozszerzył i upiększył murowaną leśniczówkę, dał krowy, opał, ogród, pole, opatrzył w ciepły mundur, broń i sprzęty. Czego przewidzieć nie mógł, to twardości serca kobiety.

Otóż biedny Maciej z natury łatwowierny, jak każdy człowiek prawy, sądzący drugich po sobie, a nie mający czasu ani sposobności do przebierania i wybierania towarzyszki życia, dał się usidlić wdowie, mającej już syna i córkę z pierwszego małżeństwa; ta, widząc łagodność i pracowitość Macieja, oraz łaski, jakie miał u dziedzica, obiecywała sobie wielkie korzyści dla siebie i dzieci, zdobywając go za małżonka. Zawiodła się na nim o tyle, że nigdy do żadnej malwersacyi, ani nadużycia skłonić go nie zdołała, więc wynagradzała sobie ten zawód, jak mogła.

Gdy schodził o rannej godzinie ze straży, zamiast zaciemnić komorę i pozwolić mu spocząć, ona kazała mu rąbać drzewo, nakładać ogień i pracować bez końca.

Lecz las jest dobrym panem. Kto mu służy, choćby przyszedł strudzony, niewyspany, głodny na wartę, ten znajdzie u niego królewską gościnność i wywczas na aksamitnem łożu mechów i wrzosów, pokrzepienie w boskim napoju żywicznych soków, przepełniających świeże, lekkie powietrze, ciszę zewnętrzną, przerywaną jeno ptasiej orkiestry symfonią, symfonią tak zupełną, tak daleko sięgającą, że wciąga w harmonijną całość swej kołysanki szelest jedwabnych liści, ścierających się łagodnie na wyżynach, szmer ukrytego ruczaju, co gdzieś w wąwozie wije się pod zasłoną ciemnej, wilgotnej zieleni, bełkocąc niewyraźne zakłęcia okrągłym kamykom łożyska; żurawi skrzyp gałęzi, kołysanych powiewem górnego wiatru, co chmury pędzi, a do dna roślinnej kotłi-

ny nie dobiega; rytmiczna psalmodya pszczelnych chórów, stłumione majaczenie żabek, co w ciepłych bagienkach przy polanach zasnute żyją; zdala echo topora, zgrzyt łamanego drzewa, chrzęst, pisk niedosmarowanego koła u wózka, w mokrej trawie jadącego duktem, a do tego przybywa harmonia barw, głębokich, czarnych cieni, fioletowych półcieni, szerokich plam słonecznych i migających promieni po siatce liściastych wachlarzy; harmonia tchnień zdrowych a wonnych!

Kto pełną piersią, wrażliwością i duszą tych doznań nie przeżył, nie odczuł, nie wchłonał nigdy, w mistycznym uroku kwietniowych, przedwieczornych godzin, wyczekując sam na ścieżynie przelotu słońek na ciągu, ten nie zna jednego z najsilniejszych wzruszeń, jakie przyroda człowiekowi gotuje, ten nie zna czarodziejskiej mocy borów nad nami, ani podniecenia i rzewności, ani zdrowia duszy i ciała, ani snów i snu, ani pokarmu i upojenia, wpływających na nas i dla nas z wiosennego, intensywnego leśników i myśliwych życia.

Tem i w tem żył i pławił się Maciej od lat wielu, bezwiedny, rzeczowy poeta i samotnik; najpierw, jako kawaler, potem, jako cierpliwy mąż samolubnej niewiasty.

Lata minęły; oprócz pasierbów, Maciej miał już swoich dzieci troje, z których dwaj starsi wdali się w matkę, a psuci, rozpuszczani i buntowani przez nią, szli w ślady przyrodniego brata i siostry, czyli nadużywali dobroci ojca, a on coraz ciężej i ciężej za wszystkich i dla wszystkich się zapracowywał. I lasu wreszcie wyczerpały się dobrodziejstwa — tego cudu dokonać nie mogły, aby bez miary i bez granic wskrzeszać wyzyskane do ostateczności siły człowieka.

Pan Szląski, widząc, że Maciej coraz to gorzej wygląda, bardziej utrudzony, mniej wesoły i żwawy z dniem każdym, postanowił koniecznie temu zaradzić. Że zaś Maciej nie skarżył się nigdy na małżonkę, dziedzic doszedł nareszcie do mniemania, że zbyt wielka odpowiedzialność i zapał w doskonałym gospodarstwie leśnem szkodzi wiernemu słudze i, po krótkim wahaniu, poświęcił bezpieczeństwo lasu rzekomemu zabezpieczeniu Maciejowego zdrowia; wytłómaczył mu, że pałac wymaga dozoru zaufanego kamerdynera, w co tem łatwiej uwierzył poczciwy borowy, że nie-raz, jako strzelec, bardzo udatnie pomagał służbie dworskiej w podejmowaniu gości, podawaniu do stołu i t. d. W tej chwili właśnie otworzono filię pocztowo-telegraficzną w ogrodowym pawilonie dworskim, gdzie miał mieszkać służący i pobierać 150 marek rocznego dodatku do pensyi w charakterze pocztmistrza, za-

stępując się żoną w godzinach służby u dworu. Lecz człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi. To, co miało być ratunkiem dla dobrego leśnika, stało się jego zgubą.

W Poznańskim niema europejskiego ekskluzywizmu ani wschodniej wyniosłości względem służących. Robotnikom z podwórza wolno skracać sobie drogę do domu, przechodząc przez park właściciela. Mieszkańcom oficyn i pawilonów dozwolonem jest chodźć po parku, zbierać susz i t. d. Sprawdzone więc natychmiast, że kobieta—latawiec, leniuch i gaduła, o strawie męża mało myśli, waleśa się po wsi i plądruje w sadzie, a dzieci ani na pańskie nie posyła, ani do gospodarstwa domowego nie używa, słowem wyłącznie w Macieja orze, za to o chłódzie i głódzie.¹⁾ Pan znów użył delikatnego fortelu i, nie odbierając ordynaryi, kazał mu jednak jeść we dworze niby to dla nieprzerywania usługi.

Kuchnia dworska jednak, wprawdzie wykwiłtna, ale pieprzna i zbyt pożywna, nie wyszła Maciejowi na korzyść. Nagłe przejście od ruchu i powietrza leśnego do służby domowej, a z suchego chleba i sera do mięsów i korzennych potraw, wprost trująco oddziało na nadwątlone zdrowie. Oprócz tego nieustanne gderanie żony, żądającej, aby do domu przynosił prowianty i przysmaki, na co on się stanowczo nie godził, oddziało fatalnie na wątrobę i serce chorego człowieka. To, co jadł, szkodziło mu, a gdy dla świętego spokoju począł odejmować sobie od ust, oddając żonie i dzieciom najzdrowszą część przeznaczonemu mu pańskiego wikt, sam żywił się wędliną i ostremi przystawkami, tak, iż równocześnie truł się tem, co spożywał i opadał z sił. Wybielał, zeszczipłał bardziej niż kiedy, ale służył ochoczo, z tem szczególnem, wzajemnem ciepłem serca, jakie panuje między chlebobodawcą a pracownikiem tam, gdzie nie zinna, angielska formalistyka porządkuje stosunki właściciela z podwładnym, nie nawet rzekoma protekcyjnalna filantropia, polegająca na zainteresowaniu się losami biedaka bez dozwolenia mu przystępu do własnych trosk, ale gdzie człowiek, w codziennem życiu obcuający z człowiekiem, dzieli się z nim smutkiem i radością, zasięga nieraz nawet rady u zdrowego, prostego, życzliwego rozumu, stwo-

¹⁾ Do porządku, rzeczy wyż-opisanego w stosunku służby folwarcznej do dworu przyczynia się sumienność i przyzwoitość tamiecznego ludu. O łamaniu drzewek, paleniu płotów, zrywaniu owoców, puszczeniu w szkodę słońca i drobiu, zanieczyszczaniu ogrodów i t. p. niema tam mowy. Dlatego zaraz uwagę na siebie zwróciła Maciejowa niezwykle postępowaniem.

zenia bardziej zbliżonego, niż on sam, do źródłowych zasad przyrody, a czasem i do duchowych tajemnic pierwiastków naszego bytu.

Taka poufałość nie uwłacza bynajmniej godności przełożonego, rozumnie wdrożona do kultury służba, jej nie nadużyje, gdyż cechą prawdziwego postępu i cywilizacji u prostaka, to rozróżnienie półcieni, szacunek dla wiedzy, dla wyrobionego umysłu, dla wrodzonej delikatności klas, dziedzicznie doświadczonych w pogodnem i subtelnem przodowaniu, podczas gdy gbur, któremu stale kazano „słuchać a nie myśleć,“ płaszczący się niewolnik doby wczorajszej, raz podburzony przez niesuniennych agitatorów, jeżeli się nauczył sylabizować i niecznie bazgrać, jak 7-mio letni sztubak, napewno zuchwale mniema się równym Sienkiewiczom i dyplomatom najwyższych sfer, mówiąc dumnie: „Przecie i ja umiem czytać, pisać i rachować, jak pon!“

Tym razem jednak niezmiernie smutno obróciły się dodatnie warunki służby dobrego wasana u dobrego pana. Maciej taił, jak mógł, przed przenikliwym wzrokiem dziedzica winy ordynarnej i samolubnej żony, krył się, gdy straszne kurcze targały mu wnętrzności, gdy po godzinach męki i trudu, spędzonych u siebie, wracał z zimnym potem na czole, czysty, umyty, z białym, sztywnym gorsem u koszuli, w czarnym fraku—podawał do stołu szybko i akuratnie, szamotał się wesoło z paniczkiem i wieczorami siadywał przy łóżku dziedzica, którego zdrowie wśród nieustannych wzruszeń, walk i trudności również szwankować zaczynało, podawał mu lekarstwa, czytał gazetę, rozmawiał pocziwie, a zrywał się dopiero na równe nogi, gdy wchodziły panie do cierpiącego męża i ojca. Był ulubieńcem pań, dla słodyczy i uszanowania, jakie niezmiennie im okazywał. Daremnie pytano go troskliwie: „Czemu Maciej tak źle wygląda? Może się przepracowuje? Nikt z nas przecie tego nie żąda! Może kuchnia nie służy? Może być rosół i potrawka dla was, zamiast czerniny i kaczkki?“ Maciej się tylko śmiał, całował ręce dziedziczki, stale odpowiadając: „I tak za wiele przysnaków dla mnie. Jam tego nie zwykł. Za mało mam ruchu i roboty na to, co jem! Pracuję w domu, nie na słońku, jak dawniej, dlatego mi skóra na twarzy zbielała. Ale to nic!“

W końcu jednak podstępem wezwano lekarza, wbrew protestacyom Macieja. Po auskultacyi lekarz był zmięszany i milczał. Zapytany, odrzekł frasobliwie: „To jakiś niedobry katar żołądkowy. Hm! Ale on taki jeszcze młody... to niepodobna!“

„Co?“ „No, nie przesadzajmy, ale mógłby się z tego wywiązać skir; niech je wyłącznie mleko kwaśne, polecam spoczynek zupełny, szczególnie po posiłku. I bardzo proszę oszczędzać jemu wszelkiego zmartwienia; to trucizna, to śmiertelną żółtaczką grozi.“

I tak było przez dni kilka. Ale niebawem Maciej się za tęsknił za dworem, formalnie płakał. „Co ja państwu zrobiłem, żeby mnie od siebie wyganiaли? Może strach o zarazę dla dzieci? Abo co?“ — że zaś po tych kilku dniach „próżnowania“ poźółkł i gorzej wyglądał niż pierwiej i—ku zdziwieniu wszystkich—skarżył się na wikt mleczny, zdawał się żartobliwie przypisywać tę kurację oszczędności państwa na punkcie jedzenia, przestano się opierać, Maciej powrócił do służby i pobierał wikt zwykły, jak pierwiej. ¹⁾

Któż z nas nie zna tej okropnej fatalności, przynoszącej nie raz straszne niespodzianki? Osoba najdroższa, widziana codziennie, niknie w oczach naszych, a my — jedni — tego nie widzimy. Przyzwyczajamy się do jej osłabienia, do jej wyglądu, powolne pogorszenie i zmiany nam uchodzą z uwagi.

Na kredowo-białej twarzy Macieja płomienne wypieki złudzeniem zdrowia się stały. Piekielne napady bólu tań, służył, biegał, uśmiechał się, wypierał cierpienia...

A wszyscy tak go lubili, dziedzic zaś—sam chory—tak szczerze go kochał, że mimowoli cieszone się obecnością jego, wyręczano, ale ostatecznie pozwalano przychodzić do dworu.

Nadszedł jednak dzień, w którym sam biedak uznał, że powstać z łoża nie może. Był to dzień dla wszystkich nieopisanie smutny, gdy Kasia przyleciała z wieścią, że Maciej wije się w mękach i nie przyjdzie usługiwać do stołu. Dziedziczka pobiegła do pocztowego pawilonu, o 20 kroków od dworu stojącego, gdzie po jednej stronie była kancelarya, a po drugiej Maciejów mieszkanie. Dała krople, nacierała, kataplazmy grzała, otrzymała chwilową ulgę i zaraz po doktora zatelefonowano. W czasie obiadu panienki z rosołem i galaretką do niego śpieszyły. Lekarz pokiwał głową, zastrzyknął morfinę—przyjeżdżał potem codziennie do chorego, ale wszyscy, prócz żony i dzieci, którzy wierzyć

¹⁾ Okazało się później, że żona nieludzkie sceny mu wyprawiała, iż nie ma się czem z nią i z dziećmi podzielić, że udaje chorobę z lenistwa i tak mu uprzykrzała życie, tyle mu w domu przysparzała roboty, że biedak wytrzymać nie mógł i garnął się do państwa, jak do własnej, najlepszej rodziny.

nie chcieli, wiedzieli, że dobry, słodki, kochany Maciej bezpowrotnie — stracony.

Kolejno luzowano się przy jego boku. W godzinach ukojenia czytano mu głośno Ewangelię, przynoszono kwiatki, opowiadano, co się dzieje w lesie, jak panicz zabił pierwszego rogacza, jak gajowy uchwycił kłusownika, Niemca, który dobył noża i wyrwał mu się, ale on wie kto i zaskarży.

Starsza panienska, Wandzia, modliła się z nim i płakała. Młodsza, „Myszka“, otwierała okno, aby Maciej widział zachód słońca za drzewami, a on kazał sobie powtarzać, jak wygląda bór, jak szumią gałęzie, jak się nawołują ptaszki i śmiał się rzewnie, słuchając gwary podlotków, naśladujących głosy lasów i uprzytomniał sobie tę daleką już, wczorajszą, zieloną siedzibę swoją!...

Ale coraz częstsze i dłuższe były napady bólu, coraz to białł na twarzy, rysy stawały się ostre a przezroczyście, oczy ogromne, rozmarzone, zęby białe uwydatniały się w przykry sposób z pod warg, na których jakby skóry nie stało. Równocześnie co dnia łagodniejszym, bardziej uduchowionym się stawał. Majaczył niekiedy, a majaczenie jego do nadziemskiej wizji podobnem było.

Żona zaś i dzieci, chmurne i złe, raz wyrzucali mu zjadliwie niedołęstwo i rozpieszczanie się, drugi raz biadały przy nim nad własnym losem, gdy on umrze. Strofowane przez dziedziców, mściły się na nim, skoro tamci odeszli.

Proboszcz często zachodził do niego, spowiadał, pocieszał. Raz nawet — przyszedł z Panem Bogiem.

.....

Tym sposobem służbę w Władygrodzkim dworze pełniła właściwie wyłącznie Kasia i kredensowy chłopak, z pomocą dziewczki zamieszkałej przy kucharce w oficynie. Ogrodnik miał swój domek obok oranżeryi, stangret i forys przy gospodarzem podwórzu. Nikomu na myśl nie przyszło zasmucić biednego Macieja, zastępując go innym kamerdynerem.

3.

„Plon niesiemy, plon,
 Dziedzicowi w dom!
 Oby zboże plonowało,
 Cztery korce z mendla dało
 Naszemu Państwu! Naszemu Państwu!
 U naszego Jaśnie Państwa
 U naszego Jaśnie Państwa
 Ładne są kwiatki!...
 Przypatrzcie się Jaśnie Panu
 Przypatrzcie się Jaśnie Panu
 Jak kocha działki.
 U naszego Jaśnie Państwa
 Niema biedy ni poddaństwa
 A złota krocie.
 Pani chodzi w aksamicie,
 Pan się kocha należycie
 W niej, a nie w złocie,
 Plon niesiemy, plon,
 Jaśnie Panu w dom!
 Oby zboże plonowało,
 Cztery korce z mendla dało,
 Plon niesiemy, plon.“

Tak śpiewają pod Krakowem, tak nad Sanem, tak w Królestwie, tak w Poznańskim również, tak Polacy w całej Polsce,

„Plon niesiemy, plon,
 Plon pszeniczny z polskiej ziemi,
 Plon duchowy, plon serdeczny,
 Plon nadziei, plon miłości,
 Doświadczenia i jedności,
 Plon niesiemy, plon.
 Oby tylko plon zachować,
 Nie roztrwonić, nie zmarnować,
 A pomnożyć, użytkować...
 Plon niesiemy, plon.“

Żniwa w tym roku odbyły się szczęśliwie przy sprzyjającej pogodzie.

W drugiej połowie sierpnia miał się odbyć w jednym dniu tak zwany „wieniec“ czyli dożynki razem z imieninami dziedzica.

Na werandzie winem poroślej i na siedzeniach pod przepyszonym jesionem rozsiadła się liczna rodzina, sąsiedzi i goście właściciela tych dóbr rycerskich.

Zdala dały się słyszeć chóralne śpiewy męzkie i żeńskie zbliżających się głosów. Trzema szosami od trzech folwarków, wzdłuż ściernisk po części już podoranych, między długimi rzędami owocowych drzew nietkniętych, strzeżonych sumiennością i rozsądkiem ogółu, szły nieskończone falangi kosiarzy, żniwaków, podbieraczy i robotników rolnych wszelkiego rodzaju w blasku popołudniowego słońca. Przodownicy i przodownice na czele w ślicznych narodowych strojach ludowych, po bokach urzędnicy i wódatarze.

Na rozdrożu pod krzyżem, przy pięknym, cienistym, obmurowanym cmentarzu wiejskim, gdzie któryś z antenatów Szląskich wyjątkowo także pochować się kazał (czy z pokory, czy na znak pokuty, czy z proroczego przeczucia przyszłych pojęć społecznych, dość, że pomnik jego nie przy kościele, nie przy grobowcach rodowych, lecz wśród lasu skromnych włościańskich krzyżów się wznosił), zeszyły się trzy imponujące kolumny, podobnie, lecz z lekkimi odmianami przyrodziane, z wieńcami rozmaitych zbóż na głowie, z koszyczkami pełnymi owoców w garściach, a w jednym z nich był biały królik, w drugim para gołąbków białych, różowe wstążki na ich szyjach, a w innych koszyczkach kwiaty polne, bławatki, maki, stokrotki, był i kołacz i złoczone pierniki, kosz jaj świeżych i kogucik czubaty, dary dobrowolne, już niepańszczyźnianej ery, dowody miłości i uznania, symbole darów ziemi, wspomnienia przeszłości bez żalu.

W zwartych szeregach, szeroką, jaskrawą wstęgą, jednym już wspólnym, przestronnym gościńcem, obok świątyni Bożej i grobowców rodu, szli, rytmicznie śpiewając, przez szeroko rozwartą bramę, pod oknami biednego, stęsknionego Macieja, przed pałac.

Maciejowa już oddawna z dziećmi była w tłumie, wyczekującym przed kościołem na pochód żniwiarzy.

Przy ojcu pozostał jeden tylko nieborak najmłodszy, 6-cioletni synek jego, chorowity i wątły, znienawidzony za to przez tęgą i brutalną matkę, która zarówno nim jak mężem za to samo gardziła.

Dobroć i bezsilność to pastwa dla natur podłych, niezdolnych dopatrzyć się, a jeszcze mniej ocenić, wyższości duchowej, mieszczącej się nieraz w słabem ciele.

Póki ojciec był zdrow, bronił swego Benjaminka od popędliwości żony. Teraz, gdy sam się zastąpić nie mógł przed jej

obelgami, patrzeć musiał ze zdwojonem cierpieniem na ciosy i głód przez dziecko ponoszone. Dzielił z nim pokryjomu żywność dworską, lecz zazwyczaj panienska pilnowała Macieja, żeby jadł w jej obecności, a nie, to zła baba dopilnowała i wydarła.

Malec Ignął do ojca, miłował go całą sponiewieraną duszyczką, i teraz, przykucnąwszy przy łóżku, wpatrywał się w twarz ojca i pytał co chwila: „Tatusiu, może kubek wody podać?”

Ale Maciej widząc wesołą drużynę, snującą się wzdłuż mieszkania, a czując własną niemoc, płakał.

Niektórzy przy odchylonej szybce przystanęli, pozdrawiając w Imię Chrystusa, rzucając słowo pociechy, jałmużnę serdeczną— i poszli.

Poprzednio były na krótko u niego panienki, ale też pośpiesznie odejść musiały, a jemu smutno było, jak w osamotnieniu Ogrójca temu Jezusowi, którego imieniem był witany. Przyciskał białą dłońią płową głowę chłopczyny, ale jakaś chęć piekająca w nim rosła, kusiła go: „Wstań! Pójdź jeszcze raz między swoich! Zobacz! Pożegnaj!” A zaraz potem opadał na poduszki, cały w potach i łkał.

Na progu pałacu czekały panienki odświętnie ubrane; brały wieńce od dziewcząt i na własne złote warkocze wciągały, witając przybyłych, wesoło a tkliwie.

Dary zaś przyjmował panicz, dziękując, podziwiając, układając rzędem koszyczki na ogrodowym stole. I dziedzic rozczulony i pani, za potomstwem swoim stali, pozdrawiali serdecznie czeladź, ordynaryuszów, najemników swoich i gospodarzy wiejskich.

Lud zaś dawnym naiwnym zwyczajem, skończywszy pieśń ofiarną pochodu żniwiarzy, wobec przybyłego umyślnie na te go-dy sąsiada, śpiewał:

„U nas, u dziedzica
Żytko i pszenica,
Tam zaś u hrabiego
Kąkol nic dobrego.“

Przyczem niejeden z uśmiechem filuternym całował ukradkiem w ramię rozbawionego, a oczernionego pana.

„U naszego pana
Nie zliczysz do rana,
Stogów, stert i złota,
Jak w Polubnie błota.

A nasze panienki
 Zgrabne, jak sarenki,
 Dobre, jak aniołki,
 Skromne, jak fijołki,
 Jaśnie Pani zdrowa
 Piękna, jak królowa,
 U nas w garnkach tłusto
 U hrabiego pusto!¹⁴ i t. d., i t. d.

Tak biegła jedna po drugiej humorystyczna, improwizowana zwrotka, chwalby dla bogactw, urody, szczęścia i zasług właściciela, na przekorę rzekomym biedom stokroć zamożniejszych sąsiadów, u których za tydzień lub dwa odwrotnie brzmieć będą piosnki podobne na pohybel ościennym obywatelom, równie dobrodusznie przysłuchującym się niewinnym potwarzom okolicznych włości.

Po tej i po wielu innych pieśniach, po dziękczynieniu dziedzica za ochotę i skuteczną pracę na jego roli, po słowach życliwości i zachęty, a wreszcie po wezwaniu błogosławieństwa Bożego na wszystkich wspólnie tu zebranych, nastąpiła chwila miłczenia, muzyka urwała na chwilę i rozpoczął się poczęstunek.

A gdy służba dworska i folwarczna, wtoczywszy beczki piwa i wniósłszy dwa wiadra wódki, krążyć poczęła z pełnemi kieliszkami:

— Walek! Wy w imię nasze wypijta zdrowie Jaśnie Pana—wołano zewsząd:

— Wy mądrzy, unita gadać, przemówta za nas, powidzta Mu, co u nas je w sercu dla Niego! — nalegały głosy wzruszone dokoła.

Walek stanął pośrodku zgiełku, wyprostował się, podkręcił płowego wasa, wznosił cynkowy kubek pełen wódki i przez chwilę dumął.

A był piękny w tej chwili, w czerwonym blasku chylącego się już zlekka ku nieboskłonowi słońca.

Rosły był i zgrabny, pomimo długiej, fałdzistej granatowej sukmany. Pierś szeroka, ręka sucha i kształtna, głowa pysznie osadzona, włos gęsty i miękki nad czołem szerokim i białym, twarz opalona o regularnych, delikatnych rysach, oko szare, płomienne a poważne.

— Zdrowie Jaśnie Pana piję i życzę sto lat życia! Życzę za siebie i za wszystkich tu zebranych, bo pan nasz sprawiedliwy a przystępny, nijakiej nigdy nikomu nie wyrządził krzywdy. Jaśnie Pan—Polak i my Polaki! Wrogi chciały nas poróżnić, ale

nie do tyła ich rozumu! Co Bóg zrobił, to i wiedział, co czyni. Dalecy od Niego ci, co Mu się sprzeciwiają. On stworzył murzyna czarnym jak smoła, i innym on już nie będzie. Żydów za grzech wydalil z ojczyzny, ale Żyd Zydem został, choć ma tyle lat tułactwa za sobą. Angielki i Francuzki, cò do panienek przyjeżdżają, nie będą Polkami ani Niemkami, ino tem, co są z woli Opatrzności, i tak zawsze było i będzie. Myśmy się urodzili Polakami, na polskiej glebie, Jaśnie Pan i my, z sercem takim, co czuje po polsku, a nie inaczej, z gębą taką, co się składa do mowy takiej, a nie inszej, z wiarą taką, jaką ją ustanowił Pan Jezus a nie Luter. A choćby na łbie stanęły Niemcy, to tego nie przemienia, tak samo jak z ptaka nie zrobią świni, ani z lilii kapusty! Ziemię nam wydrą, dzieci obiją, zasądzą niesłusznie w trybunale, bo nie wysłuchają naszej skargi, iż po polsku nie rozumiemy i nie chcą rozumieć; ale przecie jeszcze nam głowy nie utną, ani ciała ani duszy nie wyrwą, a jeśli my dawniej głupi byli, jak się oni nam pochlebiali, żeby panów zgubić, a myśmy od nich radzi przyjęli nie ich ta głębę, co nam rozdawali, i choć staraliśmy się wtedy język poznać, poduczyć się ich mowy, porozumieć się z niemi, toć prędko się to zmieniło: — bo oni głupszy byli od nas, bo im się sprzykrzyło łgać przed nami, i tak obciążyli nas opłatami, że gdyby nie Wasza łaska Pany, to byśmy już dziś piędzi tej świętej ziemi nie mieli; a chociaż nie jeden głupi z Niemką się obzenił, i przez jedno pokolenie czy dwa byli mieszkańcy, toć i róże szczepią na piwonii i przez jedno latko czy dwa rodzą się różą pachnącą piwonie; a przecie w końcu róża różą, a piwonia piwonią zostaje. Ja ta nie wiem, ja na to głupi, ale mi się dziwnym zdaje, żeby oni, co się mają za mądrych, tyle pieniędzy na to wydawali, czego jeszcze nigdy odkąd świat światem nie było, żeby jeden naród stał się drugim. Ale my teraz wiemy, czego się po nich spodziewać! Nauczyliśmy się czytać, pisać i rachować, jeżeli nie tyle, co oni, to tyle, żeby łeb w łeb z niemi się zмагаć i umieć z nimi po szwabsku się wykłócić! Tyle ich zarobku! Lecz niechno każdy z nas zostanie sam, albo z żoną i dziećmi, niedoczekanie ich żebyśmy po szwabsku myśleli! Dłonie się same składają do pacierza — polskiego, a usta niezapomnianą, od Boga daną mową polską przemawiają do swajaków, jak zawsze było i być musi! A im więcej ucisku, tem więcej stronić od nich, a lgnąć do swoich będziemy. Jeżeli nie chcieli Polaków mieć w swoim kraju, to nie było włożyć do tej ziemi cudzej i kraść, i nazywać swoją! To też lgniemy do Jaśnie Pana naszego i do tej ziemi, co on nam właśnie drugi raz daro-

wał, jakieśmy tym juchom zapłacić resztę nie mogli, a głowy nam zaprzątnęły ich bicia naszych dzieci, i kary pieniężne, i sądy bezprawne, że aż się człowiekowi pracować odechciało! Lgniemy do Jaśnie Pana, jak do ojca, boć nam był wszystkim w czasie, kiedy ojca duchownego do kozy zabrali, więc piję na zdrowie Jaśnie Pana, na zdrowie Jegomości księdza proboszcza, co sterały do nas powrócił, na zdrowie dobrej sprawy, na zdrowie każdej skiby tej ojcowizny naszej! Nie dajna się! Trzymajma się kupy! Tak nam dopomóż Wszechmogący Boże! Amen.

Wypił, a pozostającymi na dnie kubka kroplami szerokim, ładnym ruchem pokropił ziemię dokoła, a ręką nakreślił w powietrzu znak krzyża.

Równocześnie wśród wiwatów, powinszowań imieniu i radosnych okrzyków na cześć dziedzica, niby karabinowa salwa, rozległ się przeraźliwy świst kilkudziesięciu batów, ostro przeryniających powietrze, a długie, konopiaste biczce rozlegały się rytmicznie w kształtne, wydęte łuki, ściągały się i kuczyły, jak węże, znów błyskawicznie rozprzestrzeniały i siekły, to jęcząc, to gwizdząc, to prując wiatru pęd, to trzeszcząc, jak gromem godzone drzewo. Na chwilę milkły, i znów chórem strzelały przed siebie, za się, w krąg, niezmordowane, silnemi dzierzzone dłońmi. Było zacięcie i uparta bezwzględnie na znój własny wola, było coś groźnego, wyzywającego na cześć wodza, coś siarczystego, jak pobudka, jak pospolite ruszenie, w tem wrzasku niewinnej, cierpliwej, spokojnych rolników broni. Byli tam stangreci i forysie, fornale z Władygrodu, Władygródka, z Harbowca. Wszystkie folwarki kolejno, potem wspólnie waliły z batów, sykiem i gładem ciosów napełniając próżnię. Wtórował móżdzierz stary przy bramie i parę strzelb myśliwskich prochem nabitych, wypalonych w beczkę pustą.

— Wiwat! Niech żyje Pan! Niech żyje kraj!—jednym tchem ryknął tłum.

I mimowoli przebiegł nas dreszcz uniesienia. Gdyby nas więcej było! Więcej! Więcej! Nie garstka wobec wrażej powodzi! Nie kilka milionów pod falą milionów kroci! My nie króliki, ale spętane lwy!

O lwiątko nasze, rośnijcie i mnożcie się! Niewiasty Polki, wam rodzić, a nie marzyć! Chłopaki polskie, wam gniazda słać, w ilość i w siłę rość, do klatki skarby znosić, a z ziemi ziarno wywodzić. Wam, ludzie nasi, w piersi dech zapierać, zęby zaciskać, milczeć! Wam zbierać plon przewrotnej myśli cudzej, przepiać w czystych źródłach serc prostych, i żyć, i ufać, i czekać,

i mózgi do myśli wyćwiczać! A dać im gnić, raubrittrom bydlęcej chuci! I dać im gnić, jałowym a bezpłodnym! Do czasu, do dnia, do chwili, gdy wy staniecie ławą nieprzeliczonej mocy, a sztuczny kwiat bluźnierczych kłamstw zacuchnie, i sztuczny z drzazg zbiorowych złożony pień spróchnieje!

Rośnij Słowiański szczepie w potęgę, w zamożność, w liczbę, a szczególnie w myśl poważną! W szkole wrogów naucz się ładu, miary, wyrachowania, skrytości. Ale zalety te częstokroć ukrywają u nich bezprawie, występki. U ciebie staną się równowagą zapału i natchnienia z cnotą. U ciebie ściera się żywiołów życiowych nadmiar. U nich harmonia zasłania pustki i grzech.

Przyszłość czeka rozrostu i uporządkowania twego! Ludzkość soków młodych i genialnych łaknie, byle te soki w śmiertelne trucizny się nie obróciły. Milcz i trwaj!

.....

Umilkł nareszcie grznot biczów i ognia. Zagrały skrzypce, fujarki i bębny.

Pod lipami starszyzna rozsiadła się na ławach przy stołach uginających się pod mięsiwem, chlebem, serem i jabłkami. Przy wiadrach i antałkach napitku szafował ostrożnie rządca i pisarz podwórzowy. Starzy o gminnych i narodowych sprawach rozmawiali; kilka kobiet wiekowych między sobą gwarzyło o rodzinnych i osobistych interesach.

Lecz w tej chwili spostrzeżono nieopodal furtki w głębi ogrodu grupę pięknych, rostrych, zupełnie nieznanych ludzi, wyjątkowo jaskrawo i strojnie ubranych. Mieli buty lśniące, jak zwierciadła, obcisłe białe sukienne spodnie i ponsowe zgrabnego kroju krótkie kurtki, na złote zapinane guziki. Na głowie małe czarne cylinderki, podobne (a jednak inne) do dawnych chłopskich kujawskich kapeluszy. Patrzyli i słuchali chciwie, prawie poząddliwie, a jednak nitki sympatyj jakoby brakło między nimi, a swobodną polską drużyną. Niektóre odezwały się głośy:

— To ci ziemczeli gospodarze z Wasserfelsu, co to przed dziesięcioma laty do kolonii szwabskiej przystali. To szpiegi, łotry! Wygnać ich! Wygnać czerwonych ludzi...

Inne głośy protestowały: „To nie gościnnie, nie ładnie! Zaprosić! Poczęstować! Jeżeli usłyszeli mowę Walka, to już za późno. Lepiej ich nie drażnić.“

— A ja ich widziałem—rzekł jakiś wyrostek—jak rozmawiali z dziećmi ze szkoły panienki... To źle!

— Kiejby rozmawiali, kiedy po polsku mówią, jakby pies szczekał?

Tu się śmiano, tam kłócono. Już się zarysowywać zaczęły wieczne spory między „ugodowcami“ a „bojowcami.“ Ale kilka gorętszych pałek wyrwało się, pobiegło z krzykiem złowrogim ku intruzom. Ci, czując się w mniejszości, a odczuwając wrogie usposobienie dokoła — zemknęli; a młodź niefrasobliwa z okrzykiem: „Mniejsza o to! Jakoś to będzie!“ zabrała się do tańca. I puszczono zdarzenie w niepamięć.

Bawili się wesoło, ale przyzwoicie, bez dzikich wrzasków, ani rozpasania. W czuprynach nie wrzało, tańczyli zgrabnie, — dziewczęta w ładnych wzorzystych, ale przystojnych sukniach i czepeczkach swoich, do których przy sposobności mnóstwo wstążek i paciorków przybrały; chłopaki w krótkich granatowych kurtkach o krasnych z sukna wypustkach i wysokich butach. Jaśnie panienki w pierwszych parach z najdzielniejszymi przodowcami bal otworzyły, nie dla formy, nie od niechcenia, ale ochoczo i długo, a panicz prosił do oberka to siostry własne, to przodownice, to dworskie, to wiejskie dziewczyny, i razem z kosiarzami i z parobkami dzwonił w podkówki, wytupywał rytm na bruku, zwinnie przyklekał w pełnym wirze rozpędu, zrywał się, nie tracąc taktu, przyśpiewywał, odwijał się „na ocipkę,“ wygięty w tył, z ręką u czoła, podtrzymując w stanie tancerkę ramieniem prawem.

Pierworodna dziedziców, Wanda, krzątała się między dziećmi, których od lat wielu uczyła w miarę postępu własnych nauk, rozwijając istotną zdolność pedagogiczną i większą jeszcze wytrwałość, przygotowując chłopców do gimnazjum, wkładając dziewczynki do robót, powtarzając z niemi katechizm, historię świętą, historię i geografję najpierw Polski, potem powszechną, nagradzając za pilność mnogimi rozrywkami. Były majówki z podwieczorkiem w lesie, chóralnym śpiewem i odczytami. Wciągnęła w to oficyalistów, krewniaków, panny dworskie, urzędzała szopki, żywe obrazy, przedstawienia estetyczne i urozmaicone, ku uciechu rodziców, dżiatwy i widzów wszelkiej kategorii, otrzymując nietylko oklaski, ale natarczywe „bis“ do upadłego. Teraz zachęcała swoich młodych uczniów do zajadania dobrych rzeczy, gdyż służba pałacowa roznosiła kawę mleczną i placki. Nieco zdala od głównego kręgu tancerzy, aby ich nie potracono, łączyła

drobne parki i puszczała w płas. Na uboczu stało dwóch chłopczyków ze spuszczoneymi oczyma, usta w podkówkę, blizcy płaczu.

— A wy co tam robicie, Franek, Janek? Chodźta się bawić.

— Panienska mówiła przedwczoraj, jak ja nie zrobił zadania, że nie pozwoli tańcować.

— Panienska mówiła przed tygodniem, jak ja nie umiałem lekcji, że będę siedział w domu.

I mrugające powieki przykrywali rękawem. Ale ona się zaśmiała i odparła: „Głuptasie z was, chodźcie tańczyć! A napiliście się kawy? Dziś kary zniesiono. Musicie tylko, osobno co drugi dzień rano przychodzić do mnie—na powtórkę, bo przeszkadzacie tamtym, jak nic nie umiecie, a oni się śmieją. A na przyszłym zebraniu młodzieży polskiej,¹⁾ żebyście mi się popisali, mnie wstyd przed sąsiadami, że was źle ucze!”

— Panienko! Panienko!— wołały dzieci. — Panienska nas dobrze uczy! My wstydu nie narobimy!

Wtem słońce na dobre słańać się zaczęło za ogromną ścianą drzew parku, zaglądając ciekawie lśniącyymi promieniami z poza liściastych gałęzi i z poza iglastych konarów. Czuby sosen, ciemno-zielone kotary dębów się zaróżowiły; między fioletami sklepienia a złocistym szkarłatem nieboskłonu zamajaczyła opalowo-perłowa niepochwytna bezimienna barwa, ta, co dla niektórych posiada wdzięk tajemniczy, czar rozkoszny graniczący z bólem, coś z nieskończoności, coś, co dech zapiera, za serce chwyta, przykuwa oczy, myśl i wrażliwość całą.

W tej chwili właśnie zadzwoniono na Anioł Pański u wierzycy kościoła. A wszyscy, wszyscy, ilu ich było, starzy, młodzi i dzieci, państwo, urzędnicy, lud, pobożnie odkrywszy głowy, modlili się wpatrzeni, kto w krzyż świątyni, kto w głąb tej wypukłej smugi świetlanej, tak dalekiej, a tak blizkiej, tak nieprzystępnej umysłem, tak ponętnej dla nieokreślonych uczuć człowieka; ta luka otwarta na łono wieczności, na łono przestworu, ni

¹⁾ Niezmiernie — o ile mi się zdaje — rzadkie wogóle na świecie, luźnie związane, duchową raczej, niż zorganizowaną umową skojarzone stowarzyszenie młodzieży wszystkich klas społeczeństwa, wszelkiego wieku i wszelkich stopni naukowych, począwszy od studentów uniwersytetu, synów magnackich i od dorosłych panien, bywających w świecie, obejmując gimnazystów i pensyonarki a kończąc na drobnej ludowej dziatwie szkolnej miejskiej i wiejskiej. W czasie świąt i wakacyj urządzają wycieczki, grzybobrania, zabawy, przyczem, kto zdolny i chętny, wygłasza rozprawy, czyta głośno i t. p.

błękitna, ni złota, ni zielona, ni lazuruowa, ni purpurowa, ni lilio-
wa, niepochwytna, a przenikająca nas do duszy...

I powstały opary z głębi stawów i płynących wodą rowów
zielonych, i stały się i kłębiły po trawnikach. A ptactwa miesza-
ny świergot w głębokich zatokach rozłożystych drzew i pnących
roślin ustawał, odzywał się zrzadka — gaśł razem ze słońcem.
Gwiazd niewiele zapalało się jedna po drugiej na wysokości.
Służba jeła rozwieszać płonące latarki na krzewach i gałęziach.
Ksiądz proboszcz z plebanii wyszedłszy przed chwilą, wstąpiwszy
na krótką modlitwę do świątyni, teraz się zbliżył do uczujących
i pozdrowił Imieniem Chrystusa Pana. „Na wieki wieków“—roz-
brzmiało się od końca do końca ogrodu.

— Nie przeszkadzam, nie przeszkadzam—serdecznie mówił ka-
płan.—Ale gdzie młodych rozbawionych głów tyle, a poczęstunku
nie brak, tam pasterza obecność nie zawadzi, co?

I usiadł na ławce z gospodarzami sioła. Niejedno dziew-
czątko trochę podochocone, zbyt żwawo błyskające oczyma i bia-
łymi ząbkami ku kawalerom, opamiętało się natychmiast, poprawiło
ubranie i czepeczek, przystąpiło powoli do szeregu rówienniczek.
Ale ni piosenki, ni muzyka, ni tańce nie ustały, a wszystko działa
się i nadal, jak przystoi w parafii chrześcijańskiej, gdzie od 60-ciu
lat o brzydkim wypadku między nieślubnymi nie słyszano, gdzie
nikt—nikt—nigdy—ani jedna dusza nie omieszkała około Wiel-
kiejnocy przystąpić do Sakramentów Kościoła, gdzie co niedziela
i święto i piątek mnóstwo ludzi do Stołu Pańskiego się zbliża,
a jeden jedyny—przed trzema laty—praktykant rolny, powstrzy-
mawszy się od powinności rocznej spowiedzi, opuścić musiał miej-
sce, nie dla surowości dziedzica, ani prześladowania księdza, ale
dlatego, iż czuł na sobie zwróconą uwagę wsi całej, nieufnej
i uragliwej.¹⁾

.....

Nagle wśród wzmagających się tańców i ochoty, przez kępy
drzew i krzewów, pod ciemnym, gwiazdzistym szafirem nieba, po-
nad odgłos muzyki, piosnek i stapania ciężkich podków na ka-
mieniach bruku, rozległ się krzyk rozdzierający, krzyk dziecięcy,

¹⁾ Autentyczne.

rozpaczliwy, trwożny: „O la Boga! O la Boga! Ratujcie! mój tatuś!... Mój tatuś!... Mój tatuś!...“

Przeleciało mrowie po rozigranym tłumie... Nikt ani na chwilę nie wątpił, że śmierć, nieunikniona władczyni i wierzytelka wszystkich, stale zamykających przed nią uszy, oczy, pamięć, że śmierć... śmierć zawitała w ich grono. Ucichła muzyka, przystanąły krążące pary, zamilkły gawędy, a przeraźliwy krzyk dziecka grobową teraz przerywał ciszę... „Ratujcie, ratujcie! Tatuś mój, tatuś!“

I porwali się wszyscy i biegli, kapłan i dziedziczka na przedzie, za nimi ludność trzech wsi.

W rozwartych drzwiach pocztowego domku, ciałem w sieni, twarzą do ziemi przez próg, w kałuży krwi od ust buchającej, leżał Maciej, blady jak opłatek. Nogi owinięte jeszcze w derkę z łoża ściągniętą, ręce rozkrzyżowane.

— Czy żyw, czy trup? — biegł szept po zbitej ławie głów ludzkich.

— Dyszy jeszcze, ale oczy bielmem zaszyły, a w piersi żęży konanie.

Wzięli na ręce, odnieśli na postanie, na wznak położyli, głowę podparli.

Ksiądz płakał, znak absolucyi i zbawienia kreśląc nad zamierającym obliczem dobrego człowieka. „Spowiedzi nie potrzeba. Codziennie go rozgrzeszam—rzekł poważnie.—Błogosławieństwa udzielam, o ile moc i władza moja sięga... w imię kościoła, w imię Boże.“

A dziedzic z małżonką i Wandzia z rodzeństwem tulili się na klęczkach do czystych, świętych rąk udręczonego, całując je i prosząc: „módl się za nami Ty dobry, módl się za kraj Ty święty, módl się za lud Ty niewinny!...“

A rzesza w gwiaździstej nocy, od progu aż w głąb parku, od progu aż po pałac, od progu aż po wielki trawnik, gdzie się weseliła przed chwilą, — na klęczkach odmawiała pacierze za konających.

On zaś otworzył gasnące oczy, zwrócił wzrok niewidomy ku pani i rzekł: „Stęskniłem się za Wami okrutną tęsknotą, wstałem i biegłem ku Wam, Wy moi, i padłem! Taka już wola Boża! Ale ja przecie młody, żal mi, żal mi życia, żal braci, żal

dziecka.“ I lży dwie duże, perliste, spłynęły po zmizerowanych licach.

— Lata twe... Chrystusowe... On zmarł pierwszy... za nas... synu!... Z Nim się łącz!... Staraj się dobrowolny uczynić dar twego życia... za nas nędznych... Jemu!

A głowa Macieja toczyła się, trupio błada, w prawo i w lewo na poduszkach, nogi drgały, krew z ust wolną ściekała strugą, walczył... dyszał... milczał.

Paniczyk Stefek ujął nogi jego, przyciskał do siebie i błagał:

— Macieju! Wybacz! Ja głupi... nie wiedziałem... ile razy, ile razy męczyłeś się dla mojej uciechy! Przebacz! Przebacz!

A dziecko, wołające niedawno o pomoc, wdrapało się na łóżko, płową główkę przyłożyło do ojcowskiego serca, jęcząc żałośnie, jak pisklę wyrzucone z gniazda.

Maciej milczał — jeno ruch głowy rytmiczny, rozpaczliwy zdradzał życie i walkę z pokusą życia.

Wpadła nareszcie baba hałaśliwie, zawodząc, „jak wypada“ w takim razie.

A ciało umęczonego drgnęło silniej, odruchowo, z rodzajem lęku i wstrętu.

Ksiądz ciszej jeszcze szepnął:

— Jej przebacz!... ofiaruj Bogu!...

Lecz Maciej był nieprzytomny i wołał:

— Drzewo rąbać? Zlituj się! Nie mogę! Widziałaś wczoraj! Omdlałem! Skaleczyłem się toporem!

I sztywnym palcem wskazywał na prawą nogę ostrzem przeciętą na podbiciu. Rana świeża, o zgrozo! Rana wczorajsza!

— Nierobą jestem? darmożjadem?... Tem bardziej więcej od państwa brać nie mogę, i nie dam... Ani kruszynki nie dam pozatem, co dla mnie przeznaczone!... Zabij!... Nie dam!

Znów zamilkł, oczy zmrużył... czy skonał?...

Cisza. Jeno nieskończenie długi szmer pacierzy, przebiegający tłumy, z ogrodu, z dziedzińca, z drogi z pałacu — przez otwarte drzwi i okna się wkradał.

— Czy serce bije?—pytała pani dziecka, przywartego do jego łona.

— Paniusiu, bije, słabiutko bije, jak zegareczek panienki, ale nie tak jak on, ino od czasu do czasu.

Pauza.

Aż znagła porwał się w górę umierający, a zdało się wszystkim, że bladą twarz okala pierścień białych promieni, od twarzy tej bijących.

— Przebaczam jej z całego serca... ale panienko Wandziu... weź dziecko, tobie je daruję! Zrób z niego człowieka, Polaka, chrześcijanina!... Przepraszam was wszystkich... jeżeli kiedy obraziłem kogo, lub kęs za wiele odjąłem od ust swoich... a dałem jej... i przez to do pracy dla was... nie byłem zdatny!... Dziękuję wam... za wszystko, za wszystko, a najbardziej za serce... ale tego nie żałujcie, żeście mi dali! Bóg wie... jakim sercem płaciłem wam za to serce...

Głos się urwał. Czy śnieg zbieleć może? o cień jeden twarz biała, i pokryła się gęstą rosą zimnego potu. Raz jeszcze zasza-motał się w walce wewnętrznej, w męce ostatniej i zawołał — a głos ten był silny, dziwny, podniosły:

— Jezu! Jezu! Jezu!... Za ten ród... za ten lud... za tę ziemię... młode życie moje bierz!... Daję ochoczo!...

I opadł na poduszki.

„Z głębokości wołałem do Ciebie, Panie...“ — zaintonował kapłan, a lud cały, zbitą masą na dworze klęczący, zachwiał się, jak fala morska, i wtórował:

„Panie, wysłuchaj głos mój.“

Na wieżycy kościelnej, wysoko, bliżej gwiazd, bił dzwon śmiertelny w nocy, stwierdzając Macieja zgon.

Lud modlił się i modlił, za tego, który z woli swej i wrodzonego buntu młodego życia przeciw zagładzie, dobrowolny uczynił dar ochotny... Jemu... za niego!...

A państwo oderwać się nie mogli od łoża, ani oczu od czystej, niewinnej twarzy. Zapalono gromnice, wniesiono bieliznę czystą, kwiaty, krzyż.

Dzieci pańskie ostatnią oddawały przysługę drogiemu słudze niemowlęcych lat.

Świtać zaczęło na widnokręgu, a szarzeć niebo nad drzewami parku. Zaświergotał w gaju pierwszy poranny ptaszek. Chłód owionął uparcie zamodlony lud.

.....

Przez most, przez bramę, wjechała bryczka, na niej żandar-mów dwóch, starszy i młodszy, i jeden cywilista.

Wydobyli z zanadru papiery, zażądali dziedzica, panny Wandy Szląskiej i Stefana Szląskiego, oraz gospodarza wiejskiego, Walentego Łuka.

— Co to jest?

— Rewizya. Córka i syn pańscy wbrew zakazowi, ogłoszone-mu w gazecie rządowej przed trzema laty, uczą od półtora roku dzieci bez pozwolenia, po polsku, religii, a co więcej, historii w formie zabronionej, z książek zakazanych.

A gdy ojciec zaprzeczać usiłował: — „Zobaczmy“ — odpowiedzieli.

.....

W karecie siedziała śliczna panienska wysokiego rodu, przy niej braciszek. Na koźle żandarm obok starego stangreta Marcina, który klął i łzami się zalewał.

W bryczce, obok po cywilnemu ubranego urzędnika, z drugim żandarmem na koźle siedział „Walek mówca.“

Już cała tarcza słoneczna czerwono wyłoniła się nad niebo-skłonem. Przepiórki odzywały się po ścierniskach od rosy lśniących. Długie poziome promienie złociły ogromne łąny i bory ojczystej zagrożonej ziemi.

Przy kościele teraz dzwoniło na poranny Anioł Pański, lud klęczał, pojazd unoszący do sądu, może do więzienia, młodych dziedziców wieczystej ojcowizny prawnuków, fundatorów świątyni i spoczywających pod nią wielkich mężów, minął ją, oddalił się, i zginął im wszystkim z oczu.

— Czerwoni ludzie... czerwoni ludzie!...—szeptał tłum.

Wtedy dopiero zapłakali gorzko rodzice, w opustoszałym dworze pozostali.

A w pocztowym domku leżał na wznak Maciej, piękny, biały, z krzyżem w zimnych dłoniach, kwiatami na pościeli między dwo-

ma płonącemi gromnicami,—który za młodu dzięki Niemcom wyrwany z gniazda, w konania chwili, znalazł w odlatującej duszy swej rezygnacyę i zgodził się pogodnie, święcie, na nieubłaganą wolę Bożą dla kraju, dla ludu, dla tej ziemi!

O Jezu ukrzyżowany!

II.

Piotr Kruk.

Piotr Kruk, wdowiec z Krzemieniewa (vel Feuerstein), o mil parę od Leszna, (Polnisch Lissa, wreszcie Lissa i. P.) posiadał 30 magdeburskich mórg ziemi ¹⁾ — i pół tuzina dzieci, w solidnym gospodarskim, murowanym domku, razem z nim zamieszkałych.

Kolonia niemiecka z saskich czasów na ziemi polskiej, małą jeno ilość posiadaczy narodowości polskiej liczyła. Podejrzliwie i niechętnie, na tych słowian katolików, śpieszących w niedzielę i święta do władygrodzkiego kościoła, patrzyła ewangelicka gmina, której świątynia, jedyną wieżą strzelała w niebo, porządna, czysta, zimna, z czerwonej złożona cegły, jak komin fabryczny, nie jak modlitewna, duchowznośna pieśniarka — dzwonnica nasza.

Piotr Kruk pracował ciężko, bez pomocy i bez łagodzącej pieśczoży, kochającej kobiety.

Posłuszna, ale chłodna i smutna, obsługiwała go starsza córka Magda, w bojaźni Bożej i w uszanowaniu szorstkiego, przetrudzonego ojca chowana. Opierała jego i dziatwę, która ją za młodą matkę uważała; gotowała im strawę, doila krowy, schludnie utrzymywała chałupę, wysyłała malców na pastwisko z bydłem i gęśmi, strofując aby nie włączili w szkodę i nie obrywali owoców na drodze. Wieczorem naganiała drobne wojsko do pacierza. Czy ładną była, nikt nie pytał. Była szarą i chmurną, sprawiedliwą i rozważną, jak wielu młodych nie dla siebie ani dla jednego tkliwego uczucia żyjących, a przemęczonych powszednim znojem, coraz to nieprzewidzianemi wymaganiami przeciętnego bytu, przeciętnie rozwijających się dokoła charakterów.

¹⁾ Około 14 mórg naszych.

Doganiała ją wzrostem i pracowitością 15 letnia siostra. Chłopczyków było czworo, najmłodszy trzyletni, którego rodzac odumarła matka.

Ojciec nieznacznie począł ustawać w pracy. Kwękał, dyszał, coraz to częściej frasobliwie pytał o ścisłe sprawozdanie z użytych przez Magdę pieniędzy, do oszczędności nawoływał. Ona tłómaczyła się poważnie, patrząc mu prosto w oczy, że dzieci rosna, a z nimi koszta wyżywienia, odzieży, materyałów szkolnych. On złagodniał, ale bardziej jeszcze posmutniał, uznając, że niedługo sił zbraknie.

Dom był bardzo mały na tyle ludzi: izba obszerna jedna, gdzie spał ojciec, a żyli, gromadzili się, jedli wszyscy. Za nią komora dziewcząt. Przez sień izba druga, zamieszkała przez trzech chłopców i najmłodsze maleństwo. Z tyłu kuchenka, drugą sionką z komorą połączona; w tejże z konieczności wybito drzwi komunikacyjne, co ją o tyle zmniejszyło.

Dziewczęta na jednym spały pościelaniu. Dla Magdy wielkiem to było utrudzeniem. Po całodziennej zabiegliwości nie tylko czynnej, ale myślowej, potrzebowała chwili wypoczynku, samotności. Kącik swój, kącik swój własny, stał się tęsknem marzeniem, niemal chorobliwym, znużonej dziewczyny.

Trafiła się „partya“ świetna: urzędnik pocztowy Niemiec, znecony ustawiczną, milczącą pracą Magdusi.

Pokusa była wielka. Nieco wytchnienia, ten upragniony kącik własny, w godzinach urzędowania proponowanego małżonka. Opieka rządu, stanowisko nadwasańskie, względny dobrobyt. Wszak już dorastała do przybranego macierzyństwa, do roli gospodyni ojcowskiego ogniska, Teosia.

Rozmówiono się dobitnie. Ojciec posepnie się skłaniał do tego rozwiązania ciężkiej sytuacji.

Lecz konkurent szczerze objaśnił swe zapatrywania i zamiary: on ewangelik, potomstwo wiary Lutra trzymać się musi. Słowiańska rasa, jak rodzaj niewieści, to coś niższego, o czem zapomnieć trzeba tak samo, jak podporządkowuje się w życiu aspiracje egzaltowanej kobiety, konkretnym postanowieniom męża.

Ona jedna, wybiła się nad poziom barbarzyńskiej rasy, godną się stała wcielenia do wielkiej niemieckiej narodowości.

Ale z głupstw z góry abdykować trzeba. On, łaskawym i poślizliwym, ba, czasami nawet szczodrym być potrafi dla jej dawniejszej trzódki, byle nie przesadzać, nie przekraczać granic przystojności, nie świecić ludziom w oczy tem lichem pokrewieństwem. Wspierać można w danym wypadku — kto wie może jaką bursą

w internacie niemieckim rękodzielniczo-szkolnym, dla którego zdolniejszego braciszka! Ale nie sentymentalizować, przejąć się osiągniętą godnością obywatelki pruskiej, zatrzeć wspomnienia innowierczego, obcego plemienia, a świat zamknie oczy, przekona się, wybaczy. Założą godziwe, kulturalne, germańskie gniazdko!

Odmówiła.

Niemiec po swojemu się mścił. Drobiazgowo, okazji nie, gdzie wypadło, przebąkiwał, insynuował, że Kruki, jak inni „Schäbige Polakken,“ to bądź co bądź ciemne, nieprzejednane kołtuny.

Rok minął.

Magdę zaproszono na druchnę do ślubu i na wesele jednej z rzadkich polskich rówieśniczek krzemieniewskich.

Zdarzenie było niezwykle, zakłócało tryb szarego, pracowitego życia. Ale trudno. Tak małą jest liczba naszych w Feuersteinie, że trzymać się kupy wypadła, odmówić niepodobna.

Nieco urokliwie i gniewnie, przysposabiała się Magda do trzydniowych ceremonialnych, tradycyjnych funkcji weselnych.

Ojciec ruszał ramionami, zaklął niejednokrotnie zcicha; ale panienki z sąsiedniego dworu skwapliwie się zajęły jej strojem. Przywiozły różową sukienkę po starszej, druga piękne płowe warkocze sama zaplotła, i przesunęła opaskę z wstążek jedwabnych od warkocza do warkocza wierzchem głowy jak dyadem. Trzecia naszyła srebrem aksamitny gorsecik, przypięła haftowany fartuszek, obwiesiła paciorkami szyję. Służąca dworska uprała i wyrurkowała śnieżystą koszulkę z fryzką.

Chłopaki skakały z uciechy i podziwu wobec przeistoczonej siostry-piastunki; malec beczał nieludzkim głosem, nie poznając Magdusi w tej pięknej dziewczęce, od której biła łuna.

Teosia tylko patrzyła skamieniała, wreszcie skoczyła do izby po ojca. I on też zdumiał się na widok córki.

Wszak ona ładna, młoda, śliczna, a on o tem nie wiedział, nikt nie wiedział!

Przynieśli kawałek nadtłuczonego zwierciadełka: spojrziała.

Patrzyła na nią z lustra twarz regularna o rysach cienkich, bardzo biała, z jakimś różanym blaskiem na policzkach. Oczy błękitne, powłóczyście, w tłumioną myśl brzemienne. Czoło śnieżne falą złocistych włosów wieńczone, z których kilka ciekawych kędziorków i cały wiosenny, bujny porost niby króciuchua zbuntowana grzywka, ocieniał skronie. Szyjka, jak utoczona z marmuru, bez śladu słonecznej ogorzeliżny, właściwej robotnicom wiejskim. Wszak ona, do domu przykuta, nie miała czem, ani gdzie, ani kiedy się opalić!

Mimowoli uśmiechnęła się sama do siebie zdziwiona, a usta były wilgotne, czerwone, cienko zarysowane.

Więc ona jest istotą młodą, piękną, stworzoną do osobistego, gorącego życia, uprawniona do tego z racji swej doskonałej, fizycznej, jak intelektualnej indywidualności?!

Ona? której świat do tej chwili wydawał się naprzemian znojnym warsztatem. strażnicą najpospolitszej stadninki ludzkiej i pustkowieм skrepowanej duszy!

.....

Gdy po trzech dniach weselnych uroczystości powróciła do szarych domowych zajęć i zwięzłej rzeczowej wymiany zdań z mało mównym ojcem i niebardzo umysłowo rozwiniętym rodzeństwem, coś w niej było do głębi zmienionego.

Choć zdjęła odświętną różową szatę, a wdziała napowrót szarą, codzienną sukienkę, ni purpurowe usta, ni wiośniane oblicze, ni jasne warkoczki, ni ognisty szafir oczu nie straciły na blasku. Chód jej nabrał gibkiej, zwinnej, elastyczności, smukła, sprężysta kibić w okazałość wyrosła, a twarz promieniała uśmiechnięta, pałająca.

W jej wzroku widniało jakieś wewnętrzne wniebowzięcie.

I czulszą się stała dla ojczulka, a on potulniejszy, jakby dumny, zadowolony, nieco zmięszany. I siostra i dziatwa pokorniej, choć z większą, cieplejszą ufnością i posłuszeństwem, do niej się zwracały. A robota jakoś raźniej przewijała się wszystkim przez palce.

Uznana przez ludzi wartość jednego w rodzinie osobnika, to kapitał, to atut życiowy.

.....

Co się stało? Ot takie nic, co o losach serca kobiety stanowi i na całe otoczenie wpływa.

Družba, względnie mądry i wykształcony, przystojny, porządny chłopak, młodszy syn gospodarza z Zieleniewa, starszy wódz, zastępca rządcy na folwarku Harbowiec do dóbr rycerskich Władysławów należącym, zakochał się na umór w pięknej druchnie.

Ta, od dzieciństwa sierota po matce, matkująca mdlej, niewyraźnej, osieroconej dzieciarni, najniższa sługa gderliwego pracownika-ojca, od życia odcięta, całe uśpione żywotne jestestwo w karbach monotonnego szeregu bezsłonecznych dni tłumiąca, w oka mgnieniu płomienną powodzią wzajemnej miłości uniesiona, upojona, uznała po raz pierwszy, że życie warte życia, i że ona, ona mrówka, ona Marta raczej niż Magdalena, ona zapoznany kopcuszek, niezbędne kółko w mechanizmie bez wdzięku, pełnem, gorącym, wniebowziętem, wartem życia życiem oddycha, używa, raduje się. A z miłości wątku wysnuje nić przyszłości polskiego lubego stadła, gniazdko, z którego niedługo wychyla się pisklęta rwące się również do życia, obywatele kraju, synowie ojczyzny, spłodzeni i zrodzeni w miłości, pełni odradzającej siły, co wskrzesza i umacnia zdrowe narody!

.

Nie kształtowały się zapewne w jej umyśle zbyt jasno wszystkie te wywody, ale rdzeń wielkiej, wszechlucnej, olśniewającej widnokreśli miłości, ale to wewnętrzne, syntetyczne przecucie skarbów żywiołowych, jakie ona w sobie mieści, jawnymi jej były. Wiedziała, że tryumfalnemu wyzyskaniu tych skarbów sprosta!

.

Czuła się szczęśliwą, a bijące od niej jak aureola szczęście, opromieniało wesołą nadzieją wszystko dokoła.

.

Przyszły swaty. Połączyły się dłonie narzeczonych w gorącym uścisku.

Chłopak był wysoce uzdolniony, silny, zdrow, uczciwy. Miał dostać, jako syn młodszy, nie ziemię, gdyż ta przypadła starszemu w udziale, ale wyprawę obfitą, sprzęty gospodarcze i domowe, parę krów, kobyłkę, nieco trzody chlewnej i drobiu, oraz 1,000 marek,¹⁾ akurat tyle ile potrzeba, aby domek mieszkalny postawić przy

¹⁾ Około 460 rb.

drugim polu za drogą, tem, co ojciec przeznacza Magdzie na posag. Zięć obejmie oba gospodarstwa, zasili je środkami intensywnej kultury, jakiej się nauczył na przednim stanowisku, jako kierownik dużego folwarku rycerskich dóbr.

Ojciec pracować będzie, ale z umiarkowaniem, pod wodzą dobrego młodzieńca, wynoszącego z pocziwego gniazda obyczaje chrześcijańskie, pełne czci i starania dla starszych. Lepiej teraz czuć będzie nad synkami, których zięć wdroży powoli w swoje ślady. Teosia zastąpi Magdę w domu, ale weselej, zachęcona losem siostry, dlaczego nie dla niej również przeznaczonym za lat kilka?

Tak się radowali; plany podziału gruntu i nowych budynków rysowali.

Dziedziczka folwarku, choć żałowała dla siebie zaufanego włodarza, lecz życzliwa i wdzięczna za przeszłe usługi Klemensa, obiecała na wiano dać z lasów swoich, sporo budulca na nowe stanać mające gniazdko.

.....

Kruk niezwłocznie wniósł do komisarza podanie o zwykłe, policyjne pozwolenie na postawienie domu mieszkalnego na swoim gruncie (Bauerlaubnis), które opatrzone było planem sytuacyjnym i budowniczym, wszystko według przepisów wystosowane.

Podanie to bez komentarzy odrzucone zostało, a Kruk na termin wezwany, dowiedział się, że pozwolenia nie otrzyma.

Udał się wtedy do Prezesa Regencyi, twierdząc, że wybudowanie kolonii mieszkalnej w niczem się prawu z 10-go sierpnia 1904 (art. 13) nie sprzeciwia. I tu wniosek jego, bez wyłączenia powodów odmowy, został odrzucony dnia 25-go stycznia 1909 przez Prezesa Regencyi Krammera. Nie zniechęcony Kruk udał się do Najwyższej Władzy o zmiłowanie, jeżeli nie o sprawiedliwość!

Ale i stąd za pośrednictwem kancelaryi Oberprezydenta Księstwa Poznańskiego, Waldowa, przyszła odmowna odpowiedź od ministra spraw wewnętrznych dnia 11-go maja 1909 roku. ¹⁾

.....

¹⁾ Fakta, jak widzicie, najświeższej daty. Przepisuję je dosłownie z leżących przedemną dokumentów oryginalnych i prawomocnych, połączonych w jednej tece z kopią podań i map Kruka.

Tysiąc marek Klemensa, dobytek jego w inwentarzu i budulcu, na kupno innego gruntu z gotowym domkiem starczyć ani w dziesiątej części nie mogły. Zresztą co? Opuścić chorego, strudzonego ojca, co całe życie i zdrowie na zapracowanie chleba dla dzieci położył? Zostawić go ze zdwojonym znojem i smutkiem, z czworgiem malców i niedoświadczonym podlotkiem? Sprzedać grunta ojcowskie i przenieść się wszyscy gdzieindziej! Ale komu sprzedać? Polak nie kupi tam, gdzie identycznie to samo czeka go bezprawie, skoro przyjdzie do działów między dziećmi! Niemcowi sprzedać?!... Niedoczekanie ich!

Dziewczyna zacięta, roztropna, (roztropności nauczyliśmy się tam od wrogów!) dla własnego, zatrutego wyrzutami sumienia, szczęścia, nie poświęciłaby ani ojca, ani ojcowizny, ani ojczyzny.

Rezygnacja, granicząca z rozpaczliwym zwątpieniem co do możliwości jakiegokolwiek doczesnej dla nas pomyślności, przeszła u nas w posępny narów wyrzekania się nadziei za pierwszym złowrogim sygnałem przeznaczenia.

Chłopak coś przebąkiwał o zabranii jej sobie do Harbowca na ordynaryę, byle on z nią, byle ona z nim została.

Lecz mówił to ot tak, jak uczepliłby się tonący płynącej tektury, w braku ratunkowej deski. Mówiąc to, spojrział na pomarszczone, znękanе oblicze starego, na trzpiota Teoškę, zadaną w tej chwili i bezradną wobec samego przypuszczenia, że ci jedyni sternicy z wątlej ich łódki wysiądą, na chłopców wpatrzonych w Magdę, a na których rękach i kurtkach widniały już skutki przełomowego zniechęcenia opiekunki: starszy otrzymał naganę w szkole za niezdarnie nabazgrane zadanie, drugi wlaźł w kałużę, potem w mierzwę i znaczył każdy krok brudnymi na podłodze śladami, trzeci nabił sobie guza nad samem okiem, które o włos że nie wypłynęło; a malec przeziębiony, rozgorączkowany, skrzeczał ochryplym, krupowym głosem.

Klemens porwał się na równe nogi, schwycił oburącz za czuprynę. Połykał łyzy co przemocą cisnęły mu się do oczu, stał przez moment w okrutnem wahaniu. Gardło mu się ścisnęło, zamroczyło go. Bez mała byłby zaszlochął.

Powstała i ona, przystąpiła, schwyciła za dłoń. Ogromna boleść i jej rozsadała piersi. To jedno, jedno krótkie, jasne, niemożliwie piękne jej marzenie! A teraz, teraz, szybkie ciche kowanie, pożegnanie przebłytku objawionego życia!

Ale właśnie tak nowem, tak krótkiem, tak wyśnionem i niezeczywistem ono było zjawiskiem wśród istotnej, bezbarwnej, niezmiernie długiej tkaniny obowiązków i biedy, z którą się zro-

sła od samego początku, że odruchowo poniekąd chwyciła bez namysłu za przedzę powierzonych jej powinności, odruchowo wypuszczała z palców ten pył motyli poszarpanych skrzydeł, sen szczęścia.

— Bóg z tobą Klemensie! Bóg z tobą! Stań się wola Jego święta. Widać tak, a nie inaczej było nam przeznaczone. Wytrwamy tu, na tej glebie, da Bóg wytrwamy! I tych tu chłopaków nauczymy trwać. Jedno chciałam ci powiedzieć, żebyś wiedział o mnie. Tak postanawiam: jak nie ty, to żaden Klemensie! Nie ty, to żaden, nigdy.

Patrzył na nią zakłopotany, zaczerwieniony, z wykrzywioną od żalu twarzą.

— Na pohybel im przeklętym! na pohybel im z piekła rodem heretykom! Ja też. Ja też.

— Nie, nie, ty nie, ty nie!—głos zanierał, oddychała ciężko — Ja co innego. Tobie świat otwarty. Weź, nie dziś, nie jutro, ale jak przyjdzie czas, uczciwą dziewczynę, wolną, z wsi polskiej, gdzie tych drapieźców kolonistów niema, gdzie budować albo dobudowywać do starych siedzib wolno. Weź, aby po tobie zostało synów polskich do ciebie podobnych snop! — Zadrżała, odwróciła się, twarz dłońmi przykryła, a on stał jeszcze, pociemniał na licach, wyraz nieubłaganej nienawiści skurczył rysy jego, zgrzytnął zębami aż zatrzeszczały i powtarzał:

— Im na pohybel! Im na pohybel!

Doszedł do Władysławowa. Stał przed dziedziczką, na wendzie siedzącą, zatopioną w doniosłej rozmowie z proboszczem i z adwokatem.

Wszyscy troje podnieśli wzrok na zsiniałe, drżące oblicze jego.

— Pani! przyszedłem napowrót prosić o służbę.

— I owszem — odparła cichutko, a zwracając się do księdza i do prawnika, zapytała:

— Czy doprawdy niema rady?

— Niema—wyrzekli jednym tchem.—Staraliśmy się wszyscy, daremnie.

Wtedy dopiero ryknął wielkim płaczem, silny, czerstwy, wytrzymały Klemens. I szedł zataczając się ku folwarkowi swemu, rytmicznie powtarzając tonem takim, co niecodzienne znamionuje uczucia, ale na życie, na śmierć, na przyszłe pokolenia:

— Im piekielnikom na pohybel! na pohybel! na pohybel!

.....

A Magda nietylko najstarszą, najbardziej wyszarzałą wdziała do zdwojonej pracy sukienkę, ale i dawną maskę martwoty. Zwiędła ponownie, zgarbiła się, przybladła. Powieki opuściła na przygasłe źrenice. Uśmiech znikł, włosy gładziutko przyczesła pod chusteczkę; myśli nawet o szczęściu wzbronila przystępu do zmęczonego mózgu. W szorstkim nieustannym trudzie stwardniały białe ręce, a zahartował się duch.

I ojciec sposępniał nanowo i dźwigał swe brzemień milcząco. I siostra straciła nadzieję, lecz ostrzej zabrała się do czynu. I dzieci w szarzyźnie swych losów do nauk uparcie się wzięły.

Tak rośnie z żywej stali wykuty pod młotem prześladowania nowy szczep twardy i hardy, szczep Słowian, płatniczych przeszości, jak kleszcz w krzyżacką tętnicę wpity.

III.

Przesiedlenie.

Któż nie zna przysłowiowego przywiązania chłopca do wsi własnej, do ojcowizny, do roli tej, a nie innej, jaką uprawiał pradziad, jaką włościanin każdy pragnie, żeby obrabiał praprawnuk.

Miasto Leszno (Polnisch Lissa vel Lissa i. P.) leży na w pół drogi między Poznaniem a Wrocławiem. Gniezno, jak wiadomo, leży na w pół drogi między Poznaniem a Toruniem, czyli że całe niemal Księstwo Poznańskie rozciąga się między jednym a drugim z tych 2 punktów.

Jan Rosiak był gospodarzem na sporym kawale gruntu w okolicy Leszna, w Badylewie, wsi czysto polskiej, gdzie Komisya kolonizacyjna nie rozpostarła jeszcze swoich zagonów, gdzie przeto napór rządowy mniejszy w szkole gminnej, a w kościele lżejsze prześladowanie.

Urodził się tu i wychował, ożenił i rozmnożył, ojca i matkę pochował, rozwinął się i wykształcił, zdobył uznanie i znaczenie u ludzi, z których niemal każdy bratem jemu, swatem, albo kumem.

Starszym jest w gminie i w bractwie, zdwoił dobytek i utrzymał ziemię. Zna o wiele więcej niż drudzy w dziedzinie teoryj powszechnych, ale w praktyce nie zna nic i nikogo po za tym drogim swoim zakątkiem, i dobrze mu z tem, i więcej jest takich we wsi, a to właśnie z najlepszych i najmędrszych.

Przyszedł na naradę gospodarską do właściciela dóbr, zastał go w ogrodowej altanie i roztrząsają kwestyę ważną: chodzi o pożyczanie parowego pługa; on niepewny czy to się da zastosować z pożytkiem do niebardzo rozległych pól; czy nie wartoby urządzić spółkę, połączyć niektóre pola sąsiednie równomiernej klasy, podciągnąć pod jeden płodozmian, wyzyskiwać korzystniej, dzielić się kosztem i plonem. Rozmowa wyczerpała się w tym przedmiocie, przeszła na sprawy i obawy ogólne. Dziedzic opowiadał o zakupnie Darewic, poczem dodał:

— Nie wszystko da się w ten sposób uratować. Jest naprzykład w tej chwili 200 mórg¹⁾ średniej ziemi do nabycia pod Gnieznem od Niemca. To zamało dla nas, nie graniczy z Darewicami, posiada wprawdzie mały szlachecki dworek, 2 czworaki, nieco budynków gospodarczych, ale to leży w środku kolonizacji niemieckiej, stosunki niemożliwe, pozwolenia na dobudowanie czegokolwiek nie otrzymasz, żaden administrator się tem nie zadowolni, zresztą to się nie opłaci, a o cóż nam chodzi? O najkorzystniejsze dla sprawy zużytkowanie pieniędzy, nie z chciwości, ale dlatego, aby każdy grosz jaknajskuteczniej posłużył naszym celom. Tu już nietylko marnotrawstwo, ale niedołęstwo, lekkomyślność w obliczeniu zysków i strat, to grzech ciężki. Ale szkoda i tego kawałka ziemi!

— A czy jeszcze czas?

— Wczoraj wiem, iż było jeszcze do kupienia z wolnej ręki. Niemiec się zagalopował na giełdzie zbożowej, pokłócił z współnikami, rozbijał się, chciał na złość ziemię nam sprzedać, ale czy dziś się nie połapali, nie pogodzili, tego nie wiem. A jak raz pójdzie na licytację, to komisya albo przelicytuje, albo tak podędzi, że to ruiną a nie zdobyczą będzie dla nabywcy.

— Do kogo się z tem udać?

— Jedynie do właściciela. Inaczej, hakatyści zwęszą... pobiegną...

— Którędy się jedzie? jaki adres?

— Z Gniezna dorożką godzina. Franz Held. Beibrücken, dawne Przymosty.

— Żegnam jaśnie pana.

— Co? Gdzie?

Ale Rosiak już był daleko.

— Zwaryował człowiek, czy obraził się o co?

¹⁾ Niecałe sto mórg czyli przeszło trzy włóki nasze.

Ściągał go wzrokiem przez chwilę dziedzic, ruszył ramionami i zwolna przez ganek wrócił do pokoju.

.

Tego samego wieczora 4-ch gospodarzy wiejskich w długich granatowych kapotach, wysokich butach i małych, typowych, staroświeckich, filcowych kapeluszach jechało IV-tą klasą z Leszna przez Poznań do Gniezna. Mieli ołówki i notesy w grubych brunatnych rękach, stawiali cyfry, rozmawiali zeicha, dobitnie, z wielką precyzją i oszczędnością słów.

Piąty gospodarz miał za nimi podążyć dodatkową III-ią klasą D.zügu, wychodzącego z Leszna około 2-ej w nocy. Miał przywieźć resztę pieniędzy ze składki, dla której zebrania zgromadziła się starszyczna cała, w czasie gdy nabywcy pierwszym odchodzącym powolnym pociągiem wyruszali z własnymi funduszami, ile kto miał. Telefonicznie się upewnili, że Helda zastaną w domu, że nie zmienił zamiaru, że folwark do tej chwili nie sprzedany.

Rozważali z całym skupieniem i przytomnością umysłu, czy i jak mogą ze względu finansowego i prawnego zadanie swoje spełnić. Co do ofiary z siebie dla dobra narodowej sprawy, tej dokonali doraźnie, bez jednej minuty zastanowienia. Nad tem zastanawiali się z góry od początku prześladowania kampanii eks-terminacyjnej, walki przyjętej na śmierć i na życie.

Nad ranem wracali z Beibrücken do Gniezna, do rejenta, składali zadatki, podpisywali kontrakt.

Byli niewyspani i głodni, gorączka jakaś zaskórna ich paliła, gorączka wielkich przedsięwzięć, gorączka przełomowych godzin, tych, w których jestestwo moralne, poniekąd mistycznie człowieka bohatersko ujarzmiła, ... cielesne, samolubne, doczesne „ja“ poświęca.

Gorączki tej doznaje wstępująca do klasztoru dziewica, wyrzekająca się miłości niewiasta, przebaczący winę mężczyzna, oddający swój dział spadkowy starszemu bratu młodzieniec, odpływający za ocean badacz niebezpiecznych krain. Takie bywają chwile przed wzlotem strategicznego aeroplanu, takie momenta na wojnie, ba, nawet w wigilię wątpliwej wartości pojedynku.

Coś zamiera wtedy w jednostce ludzkiej, coś antyzachowawczego, antyindywidualnego, na korzyść słusznej lub mylnej idei nie swojej. Mózg i tkanki zda się wrą i kipią pod powłoką lodowatego spokoju. Głos, spojrzenie, ruchy zmienione w swoim za-

czątku, dla ucha i oka obcych jednak normalne w objawach swoich zewnętrznych, niemal nieświadomie zrównoważonych, na wzór zwyczajnych pozorów kształtując się, w miarę jak przechodzą z głębi duszy i ciała na wierzch.

W tydzień później, odstąpiwszy krewniakom i sąsiadom Polakom ojcowizny swoje w Badylewie, spakowawszy w skrzynie sakwy i tobołki, ruchomości przewozu godne, pięć rodzin włościańskich bez łez ni mów zbyt licznych, niby skostniałe w utajonej męce, żegnały głęboko przejętą drużynę towarzyszy swoich życiowych; rzucały kąty rodzinne, kładły krzyżyk cementarny na przeszłość, czyli na upłynione życie, na wszystko co drogie, na swobodę, wsparcie i życzliwość, wierne od kolebki.

Szli bez skargi mężowie, kobiety, dzieci na los nieznany, na glebę może niewdzięczną, na bierną walkę i wrogie stosunki między obcych, gorzej niż obojętnych najeźdźców, na zdobycie odzyskanego posterunku dla kraju, dla narodu, dla idei, dla wiary, zatknąć swój Sztandar tam, skąd siłą i podstępem go usunięto. Bezpowrotnie, nazawsze poszli.

OTTONÓWNA.

WIELICZKA.

„Miasto nad otchłania!” Taką nazwę nieraz Wieliczece nadawano, bo rozłożyła się ona nad podziemnymi komorami słynnych żup solnych w Polsce. Losy tego oryginalnego, jedyne­go w swoim rodzaju u nas miasta, jego zmienne koleje, stan obecny i widoki na przyszłość,—w treściwym obrazie tu podajemy.

Sława kopalni wielickiej jest tak szeroka, tak światowo rozgłośna, że przyćmiła swym olśniewającym blaskiem zupełnie prawie miasto Wieliczkę, które ni to kopciuszek, stanęło w cieniu—zapomniane. A jednak piękny gród ten od najdawniejszych czasów, aż po dzień dzisiejszy, godzien jest baczniejszej uwagi! Uderzały o niego fale dziejów naszych, często bardzo burzliwe—a mimo to ostał się zwycięsko, aż po dzień dzisiejszy! Z przyjęciem Bolesława Chrobrego za fundatora Tyńca, czyli z uznaniem dyplomu tynieckiego za autentyczny—mówi słusznie d-r Rozenberg¹⁾ w cennej swej rozprawie o początkach górnictwa w Polsce — musimy przyjąć, że również od Bolesława Chrobrego pochodzą pierwsze nadania z kopalni wielickiej dla klasztoru tynieckiego. Nadania te jednocześnie dowodzą, że już wtedy w Wieliczece w „panwiach”²⁾ sól warzono, i że już około półtrzecia wieku przed piękną legendą o pierścieniu św. Kingi kopalnia i miasto Wieliczka istniało. Nie może ulegać wątpliwości, że w miejscu, gdzie była kopalnia tak duża, gdzie odbywały się gromadne i dochód

¹⁾ „Początki górnictwa w Polsce za Bolesława Chrobrego.” Wstęp do historii polskiego prawa górniczego, napisał d-r Marian Rozenberg.

²⁾ Panwie — są to płaskie kotły-rezerwoary, w których sól z wodnego rozczy­nu się wywarza.

znaczny zapewne przynoszące targi, musieli osiedlić się liczni kramarze, trudniący się handlem solą, a i ci także, którzy pośrednio z tego handlu ciągnęli zyski. Jeślibyśmy dokumenty o istnieniu Wieliczki mieli odnieść — według równie cennych wskazówek prof. Młynka¹⁾ — do czasów nieco późniejszych: Kazimierza Odnowiciela (r. 1044, 1095), czy też Bolesława Krzywoustego z r. 1105, to w każdym razie ma Wieliczka ładny szmat czasu, bo blisko dziewięć wieków za sobą. Z późniejszych zapisków historycznych dowiadujemy się, że założycielami miasta Wieliczki byli dwaj bracia ze Ślązka. W wieku XIII Henryk Brodaty, w czasie sprawowania opieki nad Bolesławem Wstydliwym, nadaje przywilej, którym stwierdza: *quod Jeschoni et Hysimboldo fratribus dedimus ciuitatem in Magno Sale jure franconico collocandam*. Przemysław II nadał tymże braciom i ich spadkobiercom w nagrodę położonych zasług wójtowstwo (*advocatia*).

Wójtami wielickimi byli przeważnie znakomici dworzanie królewscy, jak Mikołaj Gallicus, Mikołaj Wierzynek i wielu innych.

Wójt wielicki posiadał grunta wójtowskie, pobierał podatek i sól tygodniową z żupy, był wolnym od wszelkich danin i posług, prócz utrzymywania dla własnej obrony 2 żołnierzy w zbroi. Wójt sądził obywateli i on jedynie był wobec króla za sądy te odpowiedzialnym. Dochodami i zarządem politycznym miasta zawiadowali burmistrzowie, których po sześciu i więcej (piętnastu) przez rok urzędowało. Mianował ich corocznie podkomorzy ziemi krakowskiej. Wójtowie przewodniczyli kolejno w obradach, nosząc na znak swej władzy sygnet, który dopiero w r. 1809 — *gdzieś zaginął* (?). Burmistrzowie pobierali od dawien dawna z żupy po pięć *bałwanów soli* rocznie i po pięć miarek soli co kwartał, prócz tego po 16 groszy rocznie, oraz 500 zł. na utrzymanie dróg i mostów w mieście.

Najdawniejszym herbem miasta Wieliczki był młotek i dwa kilofy żelźcami ku górze wzniesione. Później, jako symbol sprawiedliwości, umieszczono na tym herbie postać niewieścią z wagą w ręku. Ponad temi godłami unosiła się królewska korona.

Od r. 1809 pieczętuje się miasto białym orłem z koroną królewską w czerwonym polu.

Rozkwit miasta datuje się od Kazimierza Wielkiego, który zbudował w Wielicdze wspaniały zamek, istniejący po dzień dzi-

¹⁾ Najstarsza żupa Polski: Bochnia, czy Wieliczka. „Nowa Reforma“ 1906 r., № 257.

siejszy i służący obecnie, po stosownej przebudowie, na pomieszczenie zarządu salin. Król ten otoczył miasto murem wysokim i zaliczył je do rzędu sześciu miast, wśród których były: Kraków, Sącz, Bochnia, Olkusz, Kazimierz i Wieliczka—rządzonych prawem magdeburkiem. Kazimierz Wielki nadał mieszczaństwu wielickiemu różne przywileje, jak prawo zakupna soli z pierwszej ręki, czyli t. zw. *prasólstwo* i sprzedawanie jej na składach w Oświęcimie i Krakowie, zastrzegł także statutem, by z żupy solnej tylko przekupniom wielickim i krakowskim sól sprzedawano. Mieszkańcy Wieliczki mieli również wyłączny przywilej dostawy materiałów potrzebnych do prowadzenia i utrzymania saliny. Dla salwowania interesów ludności chrześcijańskiej zakazał król Zygmunt August przemieszkować Żydom w Wieliczce i trudnić się tam handlem solą, co dało prawdopodobnie powód do powstania obok Wieliczki do dziś istniejącego, zamieszkałego przez samych Żydów, miasteczka „Klasna.“ Jak zarząd miasta i mieszkańcy Wieliczki byli przez królów polskich respektowani, najlepszym dowodem odręczne pismo Stefana Batorego z r. 1578, wystylizowane do „Sławetnych Burmistrzów, Radców, Ławników i Gminy miasta Wieliczki,“ do których król w tak pięknych odzywa się słowach: ¹⁾

Sławetni, wierni Nam i mili!

Stan żup Naszych wielickich zdawał się tego wymagać koniecznie, abyśmy kilku komisarzów tam posłali w celu rozpoznania, określenia i uporządkowania sprawy. A że wierności Waszych obecność przy tej czynności nader potrzebna, rozkazujemy przeto wiernościom Waszym, abyście przy owej sprawie działalności i porządkowaniu przez komisarzów Naszych przedsięwziąć się mającemi, także byli przytomni, abyście to, co oni postanowią i rozporządzą, ściśle wykonali i inaczej nie czynili dla łaski Naszej.

Dan w Krakowie dnia 23 miesiąca listopada, lata Pańskiego Tysiąc Pięćset Siedmdziesiąt Ósmego, a w trzecim Naszego Królestwa.

Stefan, król podpisał.

Wśród tak sprzyjających okoliczności rozwijało się miasto, zakupując na rzecz swoją okoliczne sioła. *Mierzączka* i dzisiejsza

¹⁾ Adolf Rudyński: „Kodeks dyplomatyczny miasta Wieliczki.“

część zachodnia miasta, została dopiero za czasów Zygmunta Augusta z miastem złączona.

W r. 1609 zakupiło miasto wójtostwo wielickie od kanonika krakowskiego, Wapowskiego. Odtąd zostawał wójtem zasłużony rajca miejski, magistrat zaś obierał 12 ławników i 2 łonarzy (skarbników), którzy kolejno byli burmistrzami. Późniejsi królowie polscy potwierdzali przywileje swych poprzedników i udawali nowe. Władysław IV uwolnił raz na zawsze mieszczan od postoju żołnierzy, a górników od służby wojskowej. Miała też Wieliczka wielu ludzi słynnych z nauki i piastowanych urzędów, jak: Grzegorza z Sanoka, który był proboszczem wielickim w r. 1440, Kalinacha, Jana z Wieliczki, nauczyciela i mistrza teologii i filozofii w Akademii krakowskiej.

Pierwszy i najdawniejszy plan miasta wykonał Marcin German w r. 1638 obok rysunku kopalni wielickiej. Na planie tym znajdowały się następujące budynki: Kościół św. Ducha, przerobiony później na salę teatralną, z którą następnie złączono w gmach jeden zabudowanie magistratu. Na półn. zach. stronie od niego była t. zw. *karbarya* czyli *warzelnia soli*, z której dziś śladu nie pozostało, a gdzie na 6 panwiach solankę warzono. Nad każdą taką panwią był położonym hutmistrz, wicehutmistrz i 2 panwiowych. Warka trwała nieprzerwanie 12 do 13 tygodni, poczem naprawiano panwy i piece. Budynek ten stał przy ulicy Krakowskiej, dalej szedł szyb „Wodna Góra,” którym wydobywano wodę nagromadzoną w kopalni do jednego zbiornika, czyli t. zw. „rząpia.” Dziś szyb ten, służący jedynie do celów przewiewu kopalni, zaznacza tylko mała budka na powierzchni ziemi. Obok „Wodnej Góry” służył także do wyciągania wody słodkiej szyb królewski, zwany „Regis.” W r. 1860 zniesiono stary budynek tego szybu, zastąpiono go dzisiejszem wspianiem zabudowaniem i nazwano „Szybem Franciszka Józefa.” Tuż obok zamku Kazimierza Wielkiego, który zmienił się z czasem, bo mu z dawnych wież warownych jedna tylko została, a wskutek zarysowywania się zewnętrznych murów, spowodowanego zawaleniem się komór podziemnych, musiano go wzmocnić filarami—stał kościół św. Klemensa, przedstawiający się ongi inaczej, niż dzisiaj. Kościół ten był obwiedziony murem, wśród którego znajdowały się 2 kaplice. Powodem tej rekonstrukcji kościoła, który jest obecnie parafialnym, były prawdopodobnie częste załamania się powierzchni ziemi, wskutek niedostatecznego zabezpieczenia powstałych z odbudowy soli komór, które od r. 1605 po 1834 w większych rozmiarach powtórzyły się 10 razy. W czasie tym załamały się następujące większe pod-

ziemne komory: Oszust (1605), Opatkowice (1608), Piłat (1658), Słabaszów (1698), Włodkowice (1703), Syberya (1723), Kręciny (1744), Bąkle (1762), Kuczków (1772), Międzykaszty (1834). Wypadki te tak częste, pełne grozy, połączone z zapadaniem się i znikaniem bez śladu całych domów pod powierzchnią ziemi, zatrwożyły do tego stopnia mieszkańców Wieliczki, że zabroniono stawiać murowanych budynków, ażeby zbyt nie obciążać powierzchni ziemi. Na przeciwległej stronie wzgórza zamku stał szyb Daniłowicza, który obecnie nazywa się szybem „Arcyksięcia Rudolfa“ i służy do zjazdu i wyjazdu górników i gości, zwiedzających kopalnię.

Było także naówczas zabudowanie wójtostwa wielickiego i cały szereg t. zw. gór, czyli szybów, dziś już nie używanych, jak: Górsko, Seraf, Loys, Buzenin, Benner, Boża Wola, Lubomierz. Ponad całym miastem dominował, jak dziś, na wzgórku kościół św. Sebastjana. Z pod lip cienistych, okalających kościół, piękny roztacza się widok w stronę Krakowa, z poza tiulowej, mglistej przesłonki przegląda Wawel i wieżyce kościoła Najświętszej Panny Maryi.

Piękne to musiało być i wybitne miasto już wtedy, kiedy Marcin German na karcie je rysował. Mieszkańcy, z których rekrutowali się robotnicy kopalni, byli niezawodnie mocno przywiązani do swego rodzinnego grodu, bo wśród kar, którymi górnikom za niesubordynację grożono, czytamy następujący końcowy ustęp:

„A gdyby który z nich szkodę w uprawie (w uprawianiu bałwanów solnych) umyślnie uczynił, takowy ma być oddalony od roboty, a pokazałoby się to i drugi raz na takowego, tedy nie tylko oddaleniem z roboty ma być pokarany, ale też wiecznymi czasy, jako buntownik z miasta wytrąbiony.“

Rozkwit i dobrobyt miasta, jego dole i niedole zawisłe były od losów kopalni, a te były zmienne, jak losy Rzeczypospolitej. Do czasów Jana Kazimierza sprawowali rządy kopalni administratorowie, na których wybierano ludzi fachowych. Administratorowie ci musieli zdawać sprawę ze swego postępowania przed komisją królewską, która czuwała nad prawidłową odbudową całej kopalni. Byli wśród nich ludzie dzielni, jak Bonner, Górski, Daniłowicz, dbali o dobro kopalni i miasta, którzy zaprowadzili w czasie swych rządów wiele zbawiennych ulepszeń i wpisali swe imiona w dziejach przeszłości głoskami złotemi. Ażeby jednak zwiększyć dochody z kopalni, postanowił Jan Kazimierz dać ją w dzierżawę, nie pomny smutnego doświadczenia, jakie pod tym względem zrobił imiennik jego, Kazimierz Wielki, w r. 1368, od-

dając kopalnie w dzierżawę Żydowi Leszkowi, który tak się w niej źle rozgospodarował, że król wnet zaniechać musiał tego w skutkach okropnego sposobu eksploatacyi dochodów z kopalni. Za czasów Jana Kazimierza rozpoczęła się znów szkodliwa gospodarka dzierżawców kopalni, którzy nie troszcząc się wcale, co się z kopalnią później stanie, starali się z niej tylko wyciągnąć jak największe zyski. Znakomity dziejopis Wieliczki, Ludwik Hrdina,¹⁾ nazywa słusznie ten okres dziejów kopalni: *Raubbau der Pächter* (Rabunkowe gospodarstwo dzierżawców). Była wprawdzie wyznaczona osobna komisya królewska, która miała kontrolować roboty kopalniane i wydawać dotyczące polecenia, ale po wyjeździe komisyi nie wiele sobie z tych rozporządzeń robiono. Mimo, że komisya kazała zabezpieczyć komorę Słaboszów, nie uczyniono tego wcale w r. 1647, wskutek czego nastąpiło w r. 1698 jej załamanie. Z tych samych powodów powtórzyły się inne załamania, jak komór Kręciny i Bąkle; stan ten budził trwogę w mieszkańcach miasta, obawiano się, by zamek i kościół nie runął. Co gorsza przez te załamania wcisnęła się do kopalni woda i zatopiła wiele komór, popodżerała filary solne, szercząc wokoło zniszczenie, którego okropne skutki długo jeszcze dały się kopalni i miastu we znaki! Brak dozoru w kopalni wielickiej za czasów nieszczęśliwych rządów Jana Kazimierza doszedł do tego stopnia, że robotnicy spuszczały się w szybach kilkaset stóp głębokich nie na szlągach z lin plecionych,²⁾ jeno zsuwając się po linie z największem niebezpieczeństwem życia, czemu dopiero komisya królewska wymiarem wysokich kar zapobiedz zdołała. Niesubordynacya ta, która w wysokim stopniu wkradła się pomiędzy robotników salinarnych z powodu wadliwej administracyi kopalni, stała się też powodem pierwszego i tak pamiętnego w dziejach miasta i kopalni robotniczego strajku.

Wskutek wojen szwedzkich i połączonych z niemi licznych wydatków, musiały saliny wielickie przyjąć na siebie różne ciężary i zobowiązania. Na mocy traktatu, zawartego w Wiedniu 27 maja 1657 r. z Leopoldem I, odstąpił Jan Kazimierz dworowi austriackiemu za posiłki wojenne w czasie wojen szwedzkich (16,000 wojska pod wodzą księcia Hatzfelda) sól z kopalń wielic-

¹⁾ Geschichte der Wieliczka'er Saline v. Ludwig Emanuel Hrdina, k. k. Salinen Markscheider J. 1842.

²⁾ Szlągi, były to siedzenia przymocowane do liny, która za pomocą kołowrotu spuszczaną była do szybu.

kich za kwotę 100,000 guldenów; prócz tego miała kopalnia znaczne dotacje dla klasztorów i wydawała robotnikom duże deputaty¹⁾ soli. Roczna ilość wydawanego robotnikom deputatu wynosiła 26,660 beczek soli. Deputat ten sprzedawali robotnicy na własną rękę, czyniąc w ten sposób znaczną kopalni konkurencyę.

Nie mogąc nastarczyć tak licznym zobowiązaniom, dzierżawcy kopalni wpadli w długi i starali się przez rabunkową gospodarkę, a zapewne i wyzysk robotników, zwiększyć swoje dochody. Ażebym nadużyciom tym tamę położyć, nakazał król zmniejszyć ilość wydawanej robotnikom soli „miarkowej“ (deputatowej). To stało się powodem strajku, górnicy wzbraniali się zjeżdżać do kopalni. W towarzystwie bab sfanatyzowanych atakowali tych, którzy się do strajku przyłączyć nie chcieli. Doszło do tego, że dwóch robotników: Marcina Olszewskiego i Jana Granata strajkujący w okropny sposób drągami i kilofami zamordowali. Chcąc temu rozbestwieniu i wyuzdaniu tamę położyć, polecił król Jan Sobieski wytoczyć winnym śledztwo, by ukarać podżegaczy i zbrodniarzy. Wyrok tego sądu wydaje się nam dzisiaj bardzo surowy. Sprawcy rozruchów i morderstwa robotnicy: Corgul, Dupak, Lipka i Bogda zostali na pal wbici; ich pomocnicy: Mazgaj, Żychowicz, Żabik, Galiński, Cieślik, Corgul ścięci i poćwiartowani w kawałki. Uczestnicy w morderstwie: Kolarski, Wałczyński, Dzymba, Kwiatkowski, Kopciał, Prusak, Różycki, Ramza, Hanisz zostali ścięci. Z kobiet skazaną została na ścięcie i wbicie na pal: Jadwiga Mistat, która w bestyalski sposób znęcała się nad zamordowanymi Olszewskim i Granatem. Inne kobiety, podżegaczki mordu: Wiśliczanka, Gracowa, Sułkowska, Turkowa, skazane zostały na przypatrywanie się całej egzekucyi, a następnie wzięto je pod pręgierz i bito różgami.

Gdy na tron wstąpił August II stan kopalni był jak najgorszy. Załamania, wskutek niewypełnionych dawnych zleceń komisyi królewskiej, powtarzały się coraz częściej, woda sączyła się do komór. Król August polecił zbadać stan kopalni komisyi, ale nim komisya działalność swą ukończyła, załamała się powierzchnia ziemi około szybu Górsko i dwa wielkie domy znikły bez śladu. Komisya uznała za najwłaściwsze: zasypanie zupełne niebezpiecznych komór. Zasypanie tych komór było jednak z wielkiem połączone niebezpieczeństwem, bo odrywająco się ustawicznie bryły

¹⁾ „Deputatem“ na kopalni nazywa się pewien wymiar soli, węgla kamiennego i t. p., dawany bezpłatnie robotnikom.

od stropu komory zagrażały życiu robotników. Wzięto się więc na sposób: ładowano beczki solą i rumami i staczano je do komór. Na te roboty, służące do zabezpieczenia kopalni i miasta, przeznaczył król August II 12,000 złp. Mimo to wszystko jednak, wskutek lekkomyślnej gospodarki administratorów kopalni, stan jej wcale się nie poprawił. Za ledwie w lat kilka po załamaniu się komory Słaboszów, zaczęto w pobliżu jej sól wydobywać z komór: Kręciny, Michałowice i Urszula. Było to w najwyższym stopniu lekceważenie wszelkich przepisów ostrożności, co też spowodowało w r. 1744 okropne załamanie komory Kręciny.

Miasto Wieliczka i kopalnia ucierpiały bardzo w czasie wojen szwedzkich. Nieprzyjaciel rabował wszystko, co miało jakąś wartość. Roboty w kopalni ustawały zupełnie, kto mógł uciekał i chronił się przed wrogiem. W r. 1703 przybyła komisja królewska, ażeby zaprowadzić porządku w zaniedbanej kopalni, ale, niestety, nowy napad Szwedów zmusił komisję do opuszczenia Wieliczki, która znowu rzuconą została na pastwę wrogów. Trzy razy zbierała się komisja i każdym razem uciekać musiała przed Szwedami. Nikt nie chciał wziąć kopalni w dzierżawę; stała tak bez dozoru, aż do r. 1704. W tym roku nastąpiło wielkie załamanie się ziemi nad komorą Włodkowice, niedaleko szybu Daniłowicza. Łatwo zrozumieć, że w takich warunkach stan kopalni pogorszał się ustawicznie, a z kopalnią i miasto smutną dolę dzielić musiało. Mnóstwo niezabezpieczonych komór groziło załamaniem; był to, jak mówi Hrdina: „*der brüchige Zustand beinahe des Werkes.*“ Woda, ten niesłychany wróg kopalni soli, weisnęła się w takiej ilości, że mnóstwo robotników od rana do nocy zajętych było jej wyciąganiem. Załamania następowały jedno po drugim: koło szybu Leszno, komora Niedziałek, w komorze Swidzina i Koniki.

Tak stały rzeczy aż do chwili, kiedy dzierżawę kopalni objął z rąk podskarbiego Kicińskiego radca królewski, Piotr Steinhauer. Techniczne kierownictwo kopalni spoczęło wtedy w rękach bardzo zdolnego geometry, królewskiego ziomka, Sasa, Gotfryda Borlacha. Wykonał on 4 wspaniałe karty Wieliczki, które i dziś także, jako okaz grafiki doskonałej i nader misternej, są podziwu godne. Na jednej z tych kart znajduje się widok miasta Wieliczki, na innych sposoby odbudowy w kopalni soli. Borlach miał doskonałą w miernictwie górniczem praktykę, bo z polecenia króla zwiedził wiele kopalń zagranicznych. On też rozpoczął systematyczną i prawidłową odbudowę pokładów soli.

Ale przyszły znowu ciężkie na Ojczyznę terminy!

Działo się za czasów panowania Stanisława Augusta. W roku 1768 zawładnęli Wieliczką konfederaci barscy i oni pobierali dochody z saliny. Nowym właścicielom musieli urzędnicy kopalni składać na wierność przysięgę. Kiedy 7 czerwca t. r. objęły miasto w posiadanie ponownie wojska królewskie, kazano urzędnikom wyprzysiądz się dawnych zobowiązań. W lipcu t. r. byli znów konfederaci panami miasta. I tak zmienną koleją swej przynależności przechodziło miasto w ciągu tego roku 7-krotnie coraz to w inne ręce i siedm razy musieli urzędnicy kopalni zaprzysięgać na inną rotę. Sympatya miłującego Ojczyznę miasta, górnictwo całe było, jak z istniejących zapisków wnosić można, po stronie konfederatów barskich.

Ciekawe panowały wówczas na salinie stosunki. Kasy stały pustkami; urzędnicy ani robotnicy nie otrzymywali żadnej płacy, wynagradzano ich solą *in natura*. Wskutek nadmiernej ilości sprzedawanej przez wszystkich soli, obniżyła się jej cena w handlu tak bardzo, że ją za darmo prawie odstępowano. Kiedy w roku 1770 zajęli znowu konfederaci pod wodzą Laskowskiego Wieliczkę, zabrano i sprzedano nietylko wszystką sól zmagazynowaną, ale dniem i nocą wydobywano z kopalni wszystkie zapasy soli. W tym roku stoczyli konfederaci bitwę z wojskiem rosyjskiem na drodze do Wieliczki, pomiędzy wsią Prokocinem a Rząką, przy czem jedna z kul uszkodziła dach na zabudowaniu szybu Loys, a druga zdruzgotła lipę pod klasztorem Reformatów. Na krótki czas wojska królewskie zawładnęły Wieliczką, bo już w grudniu t. r. byli znowu konfederaci panami miasta i kopalni. Z początkiem r. 1771 zajął Wieliczkę ks. Lubomirski, starosta ze Spiżu, który za niską cenę sprzedawać kazał wszystką sól królewską i sól z szybów własnych. Wkrótce jednak konfederaci, wzmocniwszy swe szeregi, wypędzili lubomirszczyków, którzy schronili się do Sącza. Konfederaci sprzedawali wtedy beczkę soli po 1 fl. 45 cent., t. j. po 7 złp. I znowu zajęły Wieliczkę wojska królewskie, ażeby po kilku dniach ustąpić miejsca dzielnym konfederatom, którzy pod wodzą rotmistrza od ułanów, Dąbrowskiego, ponownie zajęli miasto. Bywały daie, w których kilkakrotnie konfederaci brali górę nad wojskami królewskimi i sprzymierzonymi rosyjskimi. Dn. 9 lutego 1771 r. zajął general Suworow przez kapitana Diunara salinę i kazał wszystką sól zmagazynowaną powrzucać do kopalni. Potem raz jeszcze zajął Wieliczkę rotmistrz Dąbrowski na czele konfederatów; napadnięty jednak przez niezawodnie znacznie liczniejsze wojska rosyjskie, w dniu 13 maja, ledwie z życiem uciekł z garstką konfederatów. Wieliczka

została obsadzona powtórnie, w dniu 15 czerwca 1771 r., przez wojsko generała Suworowa. Przy wszystkich wejściach do miasta ustawiono armaty, które co wieczór dawały salwy na postrach. Później załogę rosyjską zmniejszono, objął nad nią dowództwo kapitan Morskow; część miasta zajęły także wojska królewskie.

W dniu 9 czerwca otoczyły wojska austriackie Wieliczkę i rozłożyły się obozem na łące „Turówka,” pod klasztorem Reformatów. W dniu następnym jedna kolumna wojska zajęła miasto pod komendą hr. Althana, a równocześnie opuściło miasto wojsko polskie i rosyjskie. Przed zamkiem ustawiono 2 armaty, z których co wieczór dawano salwy. Dn. 11 czerwca ostatni, mianowany przez króla polskiego, administrator kopalni, Wojciech Kłuszewski, oddał żupy solne w ręce komendanta wojsk austriackich, hr. Althana, a 24 sierpnia t. r. już objął dyrekcję salin radca dworu, Aleksander Schonweth. Z nad bram żupnego dworu zdjęto orła białego i zawisł nad niemi odtąd czarny orzeł dwugłowy.

Z nastaniem nowej ery administracyjnej nie pozbyło się miasto obaw, spowodowanych załamaniem się powierzchni ziemi. Jeszcze żyli naoczni świadkowie wypadku z r. 1744 (załamanie komory Kręciny), kiedy o pierwszym dnia brzasku znikły pod ziemią 2 domy tak szybko, że mieszkańcy zaledwie z życiem uciekli. Opowiadano sobie o babinie, nazwiskiem Szpadkowskiej, która z koszem owoców do Krakowa iść chciała i wpadła w szczelinę w pośród drogi, skąd ją ledwie wywlec zdołano.

Niemalym też był przestрах, gdy w r. 1782, wskutek trzęsienia ziemi, kościół św. Klemensa popękał i jako zawaleniem grożący, musiał być rozebrany. W r. 1804 odbudowano ten kościół na nowo, ale już w kształcie odmiennym.

Wypadki te spowodowały różne ostrożności, często przesadne mocno. Jeszcze za czasów Borlacha obawiano się strzelać w kopalni, t. j. używać prochu przy robotach górniczych, by nie wzruszyć zagrożonych komór, zakazywano przejeżdżać artylerji z armatami przez Wieliczkę, by nie było wstrząśnień zbyt wielkich, zakazywano stawiać domy murowane, a nawet za czasów Maryi Teresy zastanawiano się nad tem, czyby całego miasta nie przenieść poza obręb kopalni? Wszystko to nie mogło oczywiście wpłynąć na rozwój miasta. Jeśli weźmiemy jeszcze tę ważną okoliczność w rachubę, że z objęciem zarządu salin przez rząd austriacki ustały prawie wszystkie przywileje, jakimi tak dawniej hojnie królewskie górnicze miasto darzono, to zrozumieć łatwo, że w takich warunkach dalszy rozwój miasta był niemożliwy.

Wskutek prawidłowej i oględnej gospodarki w kopalni, minęło lat blisko 60 bez żadnego większego załamania. Ludność tamte wypadki znała tylko z historii dawnej i powoli przestawała w nie wierzyć, gdy nagle i niespodziewanie w r. 1834 dn. 16 sierpnia przyszło załamanie komory Międzykaszty, które tak opisuje naoczny świadek:

„Okolo godz. 7 rano w domu Jakóba Windakiewicza siedział właśnie przy śniadaniu Józef Kreis z żoną i trzema córkami. Drzwi się otwały i weszła sąsiadka pani Gebauer, by im, jak zwykle, życzyć dzień dobry i opowiedzieć sny złowróźbne, które ją przez noc całą trapiły. Po krótkiej pogadance wróciła do siebie, by oddać się zwykłym codziennym zajęciom. Usiadła przy stoliku do szycia, wzięła do ręki robotę... gdy w tem straszny huk dał się słyszeć i odrazu uczuła woń, jakby świeżo otwartego grobu. Zerwała się i wybiegła z krzykiem:

— Burzy się! wali! ktoś nas podkopał!!

Wpadła do sąsiadki Kreisowej, a za nią wbiegł mieszkający także w sąsiedztwie szewc, wołając:

— Panie Kreis, ratujcie się! burzy się!

Ci w pierwszej chwili nie zrozumieli, co się stało; myśleli, że ogień wybuchł. Kreisowa porwała swego siedmioletniego chłopczyka i uciekła z nim. Najstarsza córka Kreisa wbiegła do Gebauerowej, która ze strachu zupełnie głowę straciła i zapomniała o swej trzyletniej dziewczynce, śpiącej spokojnie w łóżeczku. Porwała ją na rękę i z niebezpieczeństwem życia uniosła z izby. W tej chwili Gebauerowa chwyciła drugie swe dziecko i wybiegła. Uciekano w największym popłochu, o ratunku rzeczy — myśleć nie było można.

W rogu domu, w alkowie, podłoga zgięła się w kabłak i runęła z hukiem w głąb. Piwnica, znajdująca się po prawej stronie domostwa Kreisa, załamała się. Ten sam los spotkał kuchnię i komin. Odrzwia domu i uszaki okien łamały się z trzaskiem i brzękiem szyb rozbitych. Wszystko z łoskotem i hukiem w okamgnieniu wpadło w otchłań podziemną.

Obok domu stała drewniana szopa, w której robotnik jakiś rąbał drzewo. Szopa zapadała się tak szybko, że ledwie z życiem umknąć zdołał przez tylną ścianę. Smutno było patrzeć, jak cały dom wraz z dobytkiem zniknął bez śladu i ratunku w otchłani bezdennej!“

Naoczny świadek stwierdza, że rząd wynagrodził poszkodowanym stratę poniesioną.

I znowu Wieliczka mogła przez czas jakiś odetchnąć spokojniej. Mimo to jednak miasto nie rozwijało się normalnie w stosunku do innych miast galicyjskich. Wpłynął na to niezawodnie zakaz murowania i stawiania większych domów, a może także zubożenie obywateli, którzy straciwszy dawne świetne przywileje, mające snać szeroką w Ojczyźnie sławę, gdy się na brak ich nawet hetman Czarniecki powoływał („ani z soli“)—nie mieli do zarobkowania i zbogacenia się sposobu.

Zakaz, ongi wydany przez Zygmunta Augusta, że Żydom w mieście zamieszkiwać nie wolno, stracił prawomocność, więc też co rok więcej osiedlało się Żydów w samym śródmieściu, wskutek czego schodziła Wieliczka do rzędu przeciętnych, brudnych miasteczek galicyjskich.

Kiedy w medycynie zaczęto coraz skuteczniej stosować kąpiele solankowe, odważył się pewien obywatel Wieliczki, właściciel jadłodajni, Stehlik, urządzić na własne ryzyko w r. 1826 zakład kąpielowy, zachęcony do tego niewątpliwie sławą, którą już wtedy zdobywał sobie takimi kąpielami Ischl. Nie musiało mu się snać powodzić dobrze, bo historia nie nam o rozwoju tego prywatnego zakładu nie mówi. W dwanaście lat później zajmuje ponownie miasto sprawa kąpiele solankowych. W r. 1838 zawiązuje się Towarzystwo akcyjne złożone z 100 członków, które urządziła zakład kąpielowy, posiadający 20 wani, przeznaczonych na kąpiele mineralne. Prezesem tego Towarzystwa był smutnej pamięci z 1846 r. „Kreisvorsteher“ Karol Bernt, a lekarzem ordynującym był salinarny lekarz, d-r Feliks Boczkowski, doskonały znawca balneologicznych własności solanki, który napisał bardzo cenne dziełko: „O Wielicze pod względem historii naturalnej, dziejów i kąpiele.“

Wypadki z r. 1846 popsuły jednak interesy tej spółki akcyjnej, która popadła w niewypłacalność. Dom odebrała w drodze egzekucyi gmina; mieścił się w nim jakiś czas magistrat, a później zamieniono go na szkołę.

Zdawało się, że po ostatniem załamaniu komory Międzykaszt, którą za epilog dawnego zaniedbania kopalni w czasie wojennych rozruchów uważano, żadna już niespodzianka tego rodzaju miasta nie spotka. Wszystkie przestrzenie pustych komór były należycie zabezpieczone cembrzyną z grubych kłoców, które układano w olbrzymie kaszty,¹⁾ dziś wzbudzające podziw oryginalną swoją

¹⁾ Kaszt—rodzaj rusztowania a raczej stosu, ułożonego z kłoców.

strukturą. Filarów solnych pilnie strzeżono, znajdująca się w kopalni woda i jej dopływy były bacznie kontrolowane, maszyna wodociągowa w szybie Franciszka Józefa była w razie potrzeby w ruchu. Tymczasem dyrekcyja kopalni dostała od swej przełożonej władzy polecenie, ażeby dla celów rolnictwa i przemysłu poszukiwano w Wieliczce soli potasowych. Za teren poszukiwawczy obrano chodnik „Kłoski,” którym woda wybuchła. Zjawisko to nader ciekawe, które zajmowało przez czas długi szerokie koła geologów i wybitnych górników całego świata, tak opisuje świadek naoczny:

„Dn. 19 stycznia 1868 r. popołudniu ukazała się robotnikom, pracującym w chodniku „Kłoski,” woda, która płynęła pomału w ilości mniej więcej $\frac{1}{2}$ stopy sześciennej na minutę. Woda była czysta i słodka. Założono natychmiast rynnę i woda spływała spokojnie do szybowego rząpia. Dnia następnego płynęła woda z tą samą chyżością i w tej samej ilości. O zatamowaniu jej nikt nie myślał, gdyż wszyscy byli przekonani, że napotkano szczelinę z wodą, która spłynie i robotę dalej prowadzić będzie można, tak jak się to już nieraz dawniej w innych chodnikach zdarzało. W r. 1861, podczas bicia „pieca,” t. j. chodnika poszukiwalnego na sól, we wschodniej części kopalni t. zw. „Leopolda Münicha” napotkano także wodę, która płynęła przez dni kilka, poczem płynąć przestała, a w chodniku znaleziono przesliczną grupę kryształów solnych, którą podziwiano niejednokrotnie na wystawach. Dn. 22 listopada przyływ wody się zwiększył, a w dniu następnym o godz. 5 rano dano znać, że woda gwałtownie wybuchła. W tej chwili udali się do kopalni dyrektor żupy, Leo, wraz z urzędnikami technicznymi, a oczom ich przedstawił się następujący widok: Całym chodnikiem „Kłoski” płynęła woda strumieniem gęstym, mętym, namulistym; przedarła się poza wyprawę, poza jej uszczelnienia i zasypy i staczała się w kierunku szybu wodnego Franciszka Józefa. Przyływ wody wynosił około 120 stóp sześciennych na minutę. Rzucono się natychmiast do roboty, ażeby cembrzynę chodnika zabezpieczyć i uchronić chodnik od załamania, mimo energicznego działania dało się to uczynić tylko z częścią chodnika, t. j. aż do miejsca, w którym podpory były pogruchothane, podłoga na wysokość 3 stóp piaskiem i namulem zawalona i gdzie kaganek nie chciał się świecić. Zbudowano tamę z grubych 6—8 calowych bierwion, którą jednak zaraz woda rozerwała; posunięto się bliżej wejścia chodnika i zbudowano nową tamę, ale i tej tamy woda, płynąca z gwałtownością i unosząca pnie drzew z poderwanych rusztowań, dokończyć nie

dała. Dopiero przy samem wejściu do chodnika powiodło się cieślom wystawić z największą trudnością tamę, która nie powstrzymała wprawdzie przyływu wody, ale stawiała przynajmniej opór płynącym kłocom drzewa z podinulonych i porwanych prądem podpór. Usiłowania postawienia szczelnej tamy z gliny, mimo największych starań, nie powiodły się; z trudnością zdołano tylko skierować napływającą wodę do szybu Wodna Góra. Z czasem przyływ wody zmniejszył się znacznie, trwał jednak aż do roku 1872. W tym roku dn. 24 marca, usłyszeli pracujący w kopalni głuchy huk, jaki towarzyszy zawałeniu się olbrzymiej skały, poczem dał się słyszeć syk i świst... Zdaje się, że wskutek urwania się olbrzymiego odłamu stropu,¹⁾ przyływ wody został zatomowany.

Wyobrazić sobie dziś tego wprost nie można, jaki popłoch już nie tylko w mieście, ale w całym kraju, w Polsce całej, wywołała wieść hiobowa, że *Wieliczkę zalewa woda!* Znaleźli się oczywiście tacy, których u nas nigdy nie brak, co nie zbadawszy sprawy gruntownie u źródła, opierając się na babskich plotkach, powtarzanych skwapliwie przez dzienniki, zaczęli szukać winnych złęgo i wnet ich znaleźli. Któż inny ponosił winę, że woda dostała się do kopalni, jeśli nie urzędnicy?! Na półkach księgarskich zjawiała się broszura, napisana przez „naocznego świadka,²⁾ stek głupstw i nonsensów, zdradzających grube nieuctwo autora i zupełny brak znajomości miejscowych stosunków, w której anonim ten w brutalny sposób napadł na urzędników salinarnych, pracujących z całym poświęceniem około akcji ratunkowej, spowodowanej wypadkiem, najzupełniej od nich niezawisłym. Stworzono bajkę o krzyżach czerwonych, namalowanych przez starych górników na ścianach u końca chodnika „Kloski,⁴ które miały być rzekomo przestroga, by dalej w tym kierunku nikt się iść nie ważył, a których z karygodną lekkomyślnością nieuszczanowano, ściągając na kopalnię i kraj cały tak wielkie nieszczęście.

Nowa ta katastrofa rozpowszechniła znów mniemanie o grożącym miastu, z powodu nieuniknionego zawałenia się kopalni, niebezpieczeństwie. Bojaźliwsi zaczęli opuszczać Wieliczkę, sprzedawać za bezcen domy. Stan taki oczywiście nie mógł wpłynąć pomyślnie na rozwój miasta. Odżyły znów w pamięci historye

1) „Stropem“ nazywa się skała, stanowiąca sufit chodnika lub komory.

2) „Zalew kopalni wielickiej w r. 1868,“ skreślił naoczny świadek. Lwów. Nakładem F. H. Richtera, 1869.

straszne o znikających z powierzchni ziemi domach; przeciętny obywatel kładł się na łoże swe z trwogą, czy w porze nocnej niezapadnie się żywcem do otwartej pod nim otchłani. Ale i ta era strachu minęła i przez lat 7 znowu mogła Wieliczka odetchnąć spokojnie.

Nadszedł rok 1879 a z nim nowy wybuch wody w kopalni w chodniku t. zw. „Kolloredo.“ Dnia 12 sierpnia t. r. wdarła się do podziemi woda, pełna namułu z rozpuszczonego iłu i piasku — w takiej ilości i z taką chyżością, że stojący na straży robotnicy zostali przez prąd porwani i ledwie ich z namułu wyciągnąć zdołano. Równocześnie z wybuchem wody pękła napoprzek ulica wiodąca na cmentarz ku Niepołomicom, a na dwóch przydrożnych domach, których właścicielem był p. Lasko, ukazały się 2 duże rysy, tak że domy z obawy, by się nie zawaliły, zamknąć musiano.

I znowu miasto żyło przez czas jakiś w trwodze; była to jednak, jak się zdaje i co daj Boże! — ostatnia niespodzianka podziemnych otchłani.

Od tej pory stosunki się stanowczo na lepsze zmieniać zaczęły; wpłynęły na to przeróżne czynniki. Przedewszystkiem zarząd kopalni i urzędnicy, którzy dawniej rekrutowali się przeważnie z poza środowiska społecznego kraju i na terenie swej pracy czując się obcymi, obojętni byli dla swego otoczenia i miasta, ustąpili miejsca inżynierom Polakom z poczuciem obywatelskiem. Salina wraz z autonomią podały sobie zgodnie ręce, by starać się wspólnie o dobro i upiększenie posiadającego tak wspaniałe tradycje miasta, przez które, jak rok długi, ciągną turyści, zwiedzający kopalnię z całego świata i z wyglądu miasta tworzą i nabierają pojęcia — o kraju całym. Że tak jest w istocie, może za dowód posłużyć książka wydana przed laty przez wybitnego pisarza szwedzkiego, Hugona Wickströma. (Christer Swahn),¹⁾ który w opisie swej podróży: *Salt grufoorna i Wieliczka* nazywa miasto: *smutsiga ruckel* (brudną dziurą), świadczącą o prawdziwej galicyjskiej nędzy (*äkta galiziskt elände*).

Pamiętkowa księga kopalni, w której turyści zapisują własnoręcznie swe nazwiska, świadczy wymownie: ile głów koronowanych, ilu ludzi światowej sławy było w Wieliczce. W r. 1790 — *Wolfgang Göthe* w towarzystwie księcia weimarskiego; 1819 — sła-

¹⁾ Stoff från Sandalerna. Reseminnen af Victor Hugo Wickström (Christer Swahn) Stockholm. 1887.

wny nasz muzyk, Karol Krupiński; — 1863 Józef Kremer; 1865—Stanisław Moniuszko; 1883—Antoni Edward Odyniec; 1888—Ignacy Domejko, a w r. 1890 przybył do Wieliczki w towarzystwie księcia Lubeckiego, znajdujący się wtedy właśnie u zenitu swej sławy Władysław Mierzwiński i śpiewał, płynąc czołmem przez jezioro: „Szumią jodły na gór szczycie“—a echo biło o ściany komór z ogromną siłą: daleko, daleko...

Pamiętamy pobyt Domejki w Wieliczce, gdy jako 80 letni starzec pieszo przeszedł kopalnię. Z uwielbieniem patrzyliśmy na niego! Przed duszy naszej oczyma ze starych wizerunków, z wyblakłych portretów, z kart pożółkłej księgi majaczyła podobna postać tak bardzo sercu droga, w długim anglezie z halshindą czarną, patrzyły na nas te same dobre, kochane oczy, w których rozumnem, głębokiem spojrzeniu czytałeś, jak w otwartej księdze, dzieje minionej epoki. To druh Adama!—to ten, który ciepłą dłoń jego ścisnął, ten, który duszę swą hartował w ognisku uczucia i natchnienia nieśmiertelnego wieszczą! Sędziwy starzec był wesół, pogodny, opowiadał nam o podróżach przebytych i o kopalniach, które zwiedził. Wspominał także często o wędrownicy, którą odbyć zamierzał do Ziemi Świętej; obawiał się tylko, czy mu zdrowie dopisze i czy życia jeszcze starczy:

— Jeśli Bóg pozwoli—pojadę—powtarzał.

Ale Bóg nie pozwolił.

Niezatarte wspomnienie zostawił także pobyt Odyńca w Wieliczce. Tam go dziewczątek grono otoczyło pod kościołem farnym, a on rozdawał w około całuski i wierszyki, wierny temu, co napisał: „Do młodych przyjaciółceczek:“

Wy tylko jedno serca niewieście,
Czemeście były — zawsze jesteście:
Drzewmi życia ogrodu,
Więc, kiedy dla was stygną młodzieńcy,
Ja stary Kocham was coraz więcej,
Więcej, niżeli za młodu.

Odyńca przywiózł do Wieliczki z Krakowa sławny kaznodzieja, proboszcz wielicki, kanonik ks. Golian, a przyjmowali go w swym domu znani z prawdziwie staropolskiej gościnności pp. Kraupowie. Tam opowiadał nam Odyniec przy wiejskiej kawusi o sławnych litewskich placuszkach, które tak bardzo „pan Adam“ lubił, a których nikt już upiec nie umiał.

Ten sam ks. Golian w dziejach „odrodzenia“ Wieliczki zapisał swe imię złotemi głoskami i kto wie, czy on to właśnie nie

był pionierem tej nowej epoki. On to dawny kościół św. Klemensa, przeznaczony po odbudowaniu na kościół parafialny, zniszczony i odrapany przemienił na wspaniałą świątynię—i to wszystko uczynił z własnych, prywatnych dochodów parafialnych.

Równocześnie także i magistrat troszczyć się począł o piękną stronę miasta i za pierwszy cel swych starań obrał ogród, założony przez smutnej pamięci „Kreisvorstehera“ Bernta, osławionego z działalności bardzo wydatnej *in puncto* płacenia honorarium w 46 roku chłopom okolicznym za dowiezenie szlachciców zabitych, ewentualnie — jeszcze żywych. Ogrodowi temu przedewszystkiem odebrano wstrętne miano „Berntówka,“ które do niego przyłgnęło, i ustawiwszy w nim piękny postument wieszczą, dłuta Tadeusza Błotnickiego, nazwano go ogrodem Mickiewicza. Następnie zwiększono kilkakrotnie jego objętość i do małej alei dawnej, otaczającej stawek z drzew kępą, przyłączono duży obszar, który dziś jest zmieniony w park istotnie uroczy, gdzie w pawilonie dla muzyki, wśród wspaniałych dywanowych kwiatów, pielęgnowanych przez ogrodnika miejskiego, koncertuje muzyka salinarna — a słuchać jej można także, kołyszając się na łodziach i okalając wyspę z grupą drzew starych, pięknych, cienistych, przypominającą nam analogiczny choć smutniejszy obraz Böcklina. W staranności o upiększenie miasta ogrodami równorzędnie szedł z magistratem Zarząd salin. Tuż obok Mickiewicza ogrodu posiada Wieliczka park drugi, od poprzedniego wążką tylko przedzielony uliczką, to ogród im. Ces. Elżbiety, przez który zdąża publiczność, zwiedzająca kopalnię ku zjazdowemu szybowi Rudolfa. I tam także sztuka ogrodnicza święci prawdziwe tryumfy! Dywanów kwiatowych, któremi z wielkim smakiem i artyzmem otoczono symbole górniczego stanu, mogłaby Wieliczce pozazdrościć niejedna stolica. I w tym parku także jest kiosk dla muzyki, z którą w porze wiosennej walczą o palmę pierwszeństwa takie chóry słowicze, jakich także niema chyba na świecie całym! Nie wiem, dla czego Wieliczkę tak ukochały słowiki, ale niezapomnę nigdy tych cudnych miesięcznych nocy, kiedy godzinami całemi słuchałem ich śpiewu, płynącego rozlewnią, słodką, pieściwą falą od strony parków i od długiej ciemnej smugi drzew, dominującego nad miastem cmentarza...

Jakby chcąc dać dowód, że pierzchył niepowrotnie wszystkie obawy dawne, które tak długo zawaleniem dręczyły Wieliczkę, wystawiła salina pierwsza tuż w samem sąsiedztwie zamkowej wieży piękny gmach monumentalny, w którym mieści się Muzeum tej *magnum sal*, pramatki żup polskich. Mnóstwo rzeczy

pamiątkowych, okazów mineralnych, szczególnie rzadkich, kart kopalnianych, starych, dziś wprost bezcennej wartości, wszystko to, co dotychczas przechowywało się po biurach zarządu, nie oglądane przez nikogo, zebrane i ugrupowane razem, tworzy nową dla Wieliczki atrakcję: Muzeum salin.

Przez westibul, oświetlony łagodnymi tonami promieni, wpadających dużym oknem witrażowym, wchodzimy do ogromnej sali, z którą się łączą inne pomniejsze, gdzie ściany dekorują ujęte w stylowe obramienia górnicze narzędzia, ułożone z artystycznym wdziękiem przez inż. górń. Erazma Baracza, brata ś. p. wybitnego rzeźbiarza Tadeusza. Kto zna i ukochał zawód górniczy, tego chwyta za oczy i za serce rozwieszony po ścianach sal wspaniały cykl obrazów *Piotra Stachiewicza*, przedstawiających najbardziej podziwu godne części podziemi wielickich i najpiękniejsze sceny z życia tamtejszych górników. Obrazy te zakupiło dla Muzeum c. k. Ministerjum skarbu... Jest tylko jeden malarz na świecie, który z wielkim artyzmem połączył także gruntowną znajomość życia górników — to Stachiewicz! Nie szczędził czasu i trudu, by tę znajomość zdobyć, by poznać ów świat mrokami nocy wiecznej okryty, który ciekawych nie znosi oczu. Stachiewicz tygodnie całe spędzał w Wielicze; z górnikami schodził do podziemi, siadywał przy nich, gdy pracowali, bawił gawędką — aż ich pochwyił na gorąco, żywcem i takich, jak są, przeniósł na płótno. To nie lalki uniformowane, okazy do zbiorów etnograficznych, jak ich malowano dotychczas, to ten sam nasz żywy, pracujący lud górniczy, dostrzeżony przez artystę na drogach duszy i odtworzony z całą prawdą i wiernością... Niepodobna oprzeć się uczuciu rozrzewnienia, gdy się widzi obraz Stachiewicza zatytułowany: „Ostatnie Szczęście Boże.“ Przychodzą na myśl te pamiętne z dni dzieciństwa chwile, gdy o wieczornej porze odbywał się przed laty pogrzeb byłego kierownika salin, ś. p. Edwarda Windakiewicza, który zginął śmiercią bohaterską w czasie pożaru kopalni bocheńskiej...

Ni to wąż długi, mieniący się łuską świetlaną, ni to wierne odbicie gwiazdnej drogi mlecznej, która w tej chwili właśnie łuk swój na ciemnym tle szafirów rozacza, snuje się pochod górników z zapalonymi kagankami, które w takt marsza, granego przez muzykę górniczą, kołyszą się i migocą rytmiczną falą z omglonych ogników, po której płynie duch górnika wzwyż ku przystani wiecznego spoczynku... idą w zwartym szeregu... słychać miarowy tupot ciężkich, twardych nóg... A ponad nimi nieodstępnie płynie jasna łuna, ni to kwef krwawy siostry wiecznego

mroku, nocy-żałobnicy, oplakującej stratę wiernego syna. A w pośrodku tej łuny niesioną na rozrostłych, silnych, jak karyatydy barokach robotniczych—idzie wraz z nimi trumna. Buja nad nią z głuchym szelestem ptasich skrzydeł czarny pióropusz, ułożony na insygniach górniczego zawodu... Korowód coraz bliżej miejsca wiecznego spoczynku... już łuna kaganków dotyka cementarnego wzgórza... oto gościnna matka, ziemia rodzinna, czeka na przyjęcie wiernego syna, który z narażeniem życia nie wahał się wstąpić w jej głąbie, czeka, by mu dać w zamian za znoj i trud—odpoczynek cichy, wieczny. Na dany znak odkrywają się wszystkie głowy... świetlana fala stanęła w ruchu, zaparta tamą grobu... ciszę przerywa tylko syk płomieni... zamiast sygnałowego dzwonka z wieży, biją mocno bratnie serca... z zaciśniętej bólem krtańni dobywa się przepojony łzami krzyk: ostatnie pożegnanie, ostatnie „Szczęść Boże.“ I tem drogiem hasłem żegnany wlatuje duch górnikowi nieznaną, dalszą mroczną drogą, którą mu zamiast kaganków rozświetlają rzęsiste gwiazdy...

Obrazy Stachewicza były podobno na wystawach, nie czyniły jednak należytego wrażenia, bo brak im było właściwego światła, tego, które pada na drogi duszy polskiego górnikowi. Dlatego w tem Muzeum jedyne dla nich miejsce.

Piękne te dzieła polskiego artysty, duchem: górnikowi, poznać można w znakomitej reprodukcji, którą wydał obywatel miasta Wieliczki p. Jan Czernecki. On to pierwszy, obdarzony w wysokim stopniu artystycznym poczuciem i zmysłem, zaczął zbierać skrzętnie wszystkie dzieła sztuki, na których kopalnie wielickie i życie polskiego górnikowi wycisnęły swe duchowe piętno. To, co dotychczas odnalazł i wydał we wspianiałem dziele p. t. *Olchłanie Wielickie*, już jest godne bacznej uwagi.

Oto na pierwszym planie obraz mistrza Jana Matejki. W ulwie promieni słonecznych, które padają na nią z otwartej szczeliny chmur, klęczy Święta Kinga, patronka górnikowi Wieliczki i Bochni na bryle soli, w całym swym królewskim majestacie. Ręce złożyła do modlitwy dziękczynnej za to, że Bóg jej pozwolił odkryć skarb dla tej pięknej ziemi polskiej, która hen daleko smugami szmaragdowych dolin i pasmami sinych gór w zamglonym krajobrazie się roztacza.

Drugi obraz Matejki przedstawia scenę pożaru kopalni wielickiej z r. 1510, gdy Andrzej Kościelecki, żupnik i Seweryn Betman, starzec 70 letni, bachmistrz wielicki, zjeżdżają szybem, dymem i ogniem zięjącym, na ratunek pracujących w podziemiach

górników. (Scenę tę opisał wierszem w dziele „Okolice Krakowa“—Franciszek Weżyk).

Obok tych widziny w „Otelłaniach Wielickich“ piękne reprodukcje obrazów Wł. Tetmajera: „Św. Barbara, Patronka górników,“ do której ci pracownicy podziemi śpieszą po radę i pociechę. Tetmajer odtworzył także scenę historyczną przybycia z królewskim orszakiem Św. Kingi do Wieliczki. Aksentowicz dał typowe głowy górników. Jest wiele bardzo ładnych reprodukcji z obrazów wnętrza kopalni A. Mroczkowskiego, wśród których wiernem oddaniem oświetlenia czerwonym światłem bengalskiem, odznacza się „Kaplica świętego Antoniego.“ Bardzo też dobrze i we właściwym tonie odczuta jest grota z jeziorem E. Kopcińskiego i „Komora Selinga“ odmalowana jaknajwierniej z natury przez inż. górniczego J. Bartusia i oryginalny już świata legend górniczych, dotykający obraz J. Bukowskiego „Widzenie.“ W krwawych refleksach światła kaganka wytworzona w podnieconej strachem pustkowie wyobraźni olbrzymia głowa w koronie podziemnego władcy „Skarbnika.“ Ten sam temat przedstawił także W. Tetmajer w obrazie „Skarbnik“ z wybitnym piętnem odmiennego artystycznego odczucia. Tu górnik dostrzega w mrocznej głębi komory, wśród błędnych ogników bladą, groźną twarz podziemnego ducha.

„Otelłanie Wielickie“ Czerneckiego mają czterdzieści kilka kolorowych ilustracji i znakomite reprodukcje fragmentów ze starych kart Borlacha i Germana; wszystko objaśnia treściwie napisany i rozmieszczony obok rysunków tekst. I zdawałoby się, że tak piękne i pouczające wydawnictwo w lot się rozejdzie, że nie będzie jednego domu polskiego, w którymby takiej księdze pięknej nie chciano użyzyć miejsca, bodaj w saloniku na etażerce z ozdobnymi okładkami. Tymczasem (słuchajcie! — bo to rzecz bardzo ciekawa i znamienna wielce!) p. Czernecki sprzedał dotychczas „Otelłani Wielickich“—aż 5 (mówię pięć) egzemplarzy.

— Bój się pan Boga!— czy to możebne?!— zawołałem, gdy mi pokazał pełne skrzynie wspaniałych księzek, których nakład kosztował go kilka tysięcy koron—chyba o wydawnictwie nie dał pan znać nikomu?

— I owszem — odrzekł — rozesłałem egzemplarze gratisowe, było kilka życzliwych wzmianek... i na tem koniec...

Tak... i na tem koniec...

...A niemiecka tandeta, dmąc w rozgłosne surmy reklamy wciska się do nas z rąk obcych i wrogich i w setkach tysięcy egzemplarzy różnego rodzaju *farbendruków* i „albumów,“—obwie-

sza gęsto ściany i zalega półki szlacheckich dworaków i mieszczańskich domów!

Muzeum wielickie nie posiada, niestety, oryginałów tych wszystkich obrazów, które p. Czernecki reprodukuje w „Otlehaniu”—a powinno się tam wkrótce znaleźć koniecznie. Mimo to jest w niem wiele rzeczy godnych oglądania. Poraz pierwszy wystawiono tam na widok publiczny stare karty Borlacha i Germana. O mapach tych pisał wiele i bardzo szczegółowo je objaśnił w cennych swych publikacyach inż. górń. Feliks Piestrak, którego skrzętnym badaniem przeszłości na Wieliczka wiele do zawdzięczenia. On to wydobył z pomroku dziejów poemat: „Salinarium Vieliciensium descriptie”—napisany w r. 1564 przez Adama Schrötera, *poetam laureatum* (uwieńczonego poetę) i kilka innych o Wieliczece wydał broszur i książek, które wyświecą może raz nareszcie krążące uporczywie bajki o mieszkaniach górników w kopalni, o koniach, którym sól sierć wygryza i oczy wyżera i śledziach, które łowią górniczy w podziemnych jeziorach.

W muzeum chwyta za oczy miłośników starożytności arcydzieło cyzelatury w koronkowej ze srebra oprawie, sławny róg wielicki, do którego przylgnęła długa, smutna i zawiła historia, zanim go powrócili znowu Wieliczece wspaniałomyślni spadkobiercy bł. p. bar. Nataniela Rotszylda.

Kogóż nie zajmie Chrystus na Krzyżu wykuty w soli, z dawnej kaplicy „Lizak“ (na pierwszym poziomie) z wieku XV-go; część tapety zachowana z zamku królewskiego, przedstawiająca orła polskiego z koroną; chorągiewka ze złożonym orłem z wieży zamkowej dawnego zamku królewskiego? A przyrząd mierniczy dawnych górników: „Półkole stopniowane”? A liny dawne wyciągowe z łyka?—a typowy „Bałwan soli”—o wadze 428 kg?..

Pamiętki te historyczne i obrazy, to tylko połowa zajmujących wielce okazów wielickiego muzeum. Część druga, to wspaniałe zbiory minerałów, to grupy kryształów, tych solnych dyamentów, które dawniej oglądać można było tylko na wystawach krajowych i światowych, bo żadna dotychczas nie obeszła się bez Wieliczki. Nie wszyscy zapewne wiedzą, że na ostatniej wystawie światowej w Paryżu zajęła Wieliczka bardzo wybitne miejsce. Inż. górń. Barącz, artysta, choć nie zawodowy, wybudował tam z polecenia rządu całą niemal podziemną kaplicę Św. Antoniego ze soli.

W pięknem już dziś bardzo muzeum, powinno się znaleźć wiele jeszcze rzeczy, które dziś są jeszcze w prywatnych rękach, a może rozrzucone po różnych władzach i urzędach. Cenne wiel-

ce dokumenty dla dziejów administracji kopalni: protokoły objazdu komisji królewskich z własnoręcznymi podpisami królów polskich znajdując się podobno we Lwowie.

Obok muzeum posiada Wieliczka ze wszech miar godny widzenia, a cudem prawie ocalony zabytek przeszłości, kościół świętego Sebastjana. Historia tego kościoła bardzo ciekawa:

Około r. 1530 w czasie, kiedy morowa zaraza w Wieliczce i okolicy zabierała tysiące ofiar z pomiędzy górników i rolników, ślubowali pełni wiary w nieskończoną dobroć i miłosierdzie Boskie przodkowie nasi, na przebłaganie Boga Wszechmocnego i odwrócenie strasznej zarazy: zbudować kościółek pod wezwaniem św. Sebastjana, jako Patrona przeciw zaraźliwym chorobom. Ślub ten w krótkim czasie wypełnili, stawiając na przedmieściu, zwanem Lednicą, kościółek z drzewa modrzewiowego i... zaraza ustała. W roku 1598 dokonał konsekracji tego kościółka ówczesny biskup krakowski Jerzy książę Radziwiłł. W czasie przeszło 370 letniego istnienia przechodził kościółek różne koleje. W r. 1797 wystawił go rząd austriacki na sprzedaż publiczną; znaleźli się jednak pobożni, którzy go wykupili i w spuściźnie swym potomkom oddali, ażeby ręka świętokradzka kościoła nie tknęła.

Ale ojców wolę nie bardzo snadź uszanowali potomkowie, bo kościółek stał opuszczony przez długie lata i nikt się o niego nie troszczył. Zapisła wprawdzie pewna pobożna niewiasta jakąś kwotę na restaurację kościółka, były także na ten cel dosyć znaczne fundacye mszalne, ale wszystko to gdzieś (?) ugrzęzło, poszło w zapomnienie, a kościółek modrzewiowy, śliczny pomnik przeszłości, stał ciągle opuszczony i ząb czasu gryzł go niemiłosiernie, a malowidła stare walały się po kątach babinica i piękny ołtarz renesansowy stał opylony, jak w świątyni owej, gdzie Bóstwo mieszkać nie chce, a ludzie nie śmieją. I tylko odwieczne lipy stare, siostrzyce tych, które cień swój rzucały na zwiędłą głowę miecznika, potrząsając konarami ponad walącym się dachem kościółka, musiały czasem z sobą szeptać o przeszłości — a może i o niewdzięczności ludzkiej. Kościółek jednak nie tracił nadziei i czekał cierpliwie, aż doczekał się p. *Adolfa Scheuringa*. P. Scheuring, dziecko Wieliczki, tak przyłgnał całą duszą do jej pamiątek, że postawił sobie za cel życia: doprowadzenie kościółka św. Sebastjana do dawnej świetności i blasku. I po długich zabiegach i trudach, i po przeszkodach, które się zdawały wprost nie do zwalczenia—cel zamierzony osiągnął. Dziś warto do Wieliczki umyślnie po to tylko przyjechać, by ten kościółek zobaczyć. Polichromię całego kościółka na tle naturalnem,

bo starego modrzewiu o tonie prawie blado-różowym, wykonał tak serdecznie po swojsku, po naszymu, tak kolorowo bajecznie, że się ma oczy pełne maków i niezabudek — poczciwy pan sąsiad z Bronowic: Włodzimierz Tetmajer, który sobie bardzo kościółek upodobał i za bezcen go prawie wymalował. Więc na plafonie nawy św. Patron kościoła, a na prezbiterium, któżby, jeśli nie Patronka i Dobrodziejka Wieliczki: św. Kunegunda, obok małżonka swego Bolesława. Piękna to i dostojna królewska para. Na licu królowej, poważnem i spokojnem, widać zupełne zatopienie się w myśli o Bogu, tej świętej niewiasty, na obliczu Bolesława, mimo przymkniętych oczu maluje się powaga tej dziejowej chwili, majestat królewski, a zarazem cicha, wielka pokora.

W kościele tym odbywa się teraz Msza św. co niedzielę i ledwie miejsce znaleźć można. Dziś doprawdy wierzyć się nie chce, że tak piękna świątynia skazaną była na zagładę i że ją ocaliła dobra wola i wielki, nie dający się zrazić przeszkodami, zapłat jednego tylko człowieka.

Nie godzi się pominąć milczeniem, że pierwszą znaczniejszą kwotę na restaurację kościółka wyjednał u rządu były referent salin, ś. p. Stanisław Kuczkiewicz, wpisany w poczet dobroczyńców kościoła, za których dusze odprawia się modły.

Od lip olbrzymów — patrzących dziś życzliwiej na ludzkie mrowie, schodzimy zwolna ku miastu, poza którym w perspektywie dalekiej majaczą za mgłą siną wieżyce Maryackiego kościoła i Wawelu. Jakże się ta Wieliczka, której zupełną przepowiadano ruinę, zmienia się z rokiem każdym i coraz piękniejszą się staje! Przybywają okazałe budynki i wille, wzdłuż drogi idą wygodne chodniki, wieczorem płoną rzęsiście lampy łukowe i żarowe. Salina stawia mieszkania robotnicze, salina postawiła stylowe łaźnie, z których i miasto także korzystać może; niebawem zostanie usunięte to, co najbardziej było dotkliwie, t. j. brak wody, bo salina buduje wodociągi. Zda się, że żupa solna znowu, jak dawniej, uważa miasto za swą uniołowaną siostrzycę, z którą ją od wieków łączy wspólna dola i niedola. Zaczęło się to w większym stopniu od chwili, gdy kierownikiem salin galicyjskich został nieodżałowanej św. pamięci Stanisław Kuczkiewicz, który o swem rodzinnem mieście zawsze pamiętał.

Jadąc od dworca kolei ulicą, dawniej Krzyszkowską, dziś imieniem dobrodzieja miasta ulicą „Kuczkiewicza“ nazwaną, tuż obok parku Mickiewicza, do którego przyłączyło „Towarzystwo sadowniczo-ogrodnicze“ duży szmat ziemi, gdzie są całe morgi sadzonek, najszlachetniejszych drzew owocowych i szerokie łany

róż wysokopiennych, by w nie zaopatrywać okolicę Wieliczki, a kiedyś może, zwalczywszy uprzedzenia do wszystkiego, co swojskie, także i ogrodników zawodowych całego kraju; gdy się idzie cienistą aleją starych olbrzymów, pod którymi ongiś stały obozem wojska konfederackie, a wszędzie czystość i porządek wzorowy, uwierzyć się nie chce, że pisarz szwedzki mógł nazwać to piękne miasto *eländiga smutsiga ruckel*. Idąc nieustannie prawie wśród plantacyj, zatrzymujemy wzrok na baszcie wieżowej, ostatniej z Kazimierzowego zamku strażnicy „żupnego dworu,“ która dziś zatraciła dawną celowość i grozę, bo służy podobno tylko na skład wysortowanych ekshibitów—przechodzimy obok teatru. I to także jest godne uwagi, że Wieliczka ma swój budynek teatralny, który stanął pierwiej, niż teatr hr. Skarbka i którego dzieje bardzo by były ciekawe. Pamiętają jeszcze dobrze starsi Wieliczanie, jak na deskach tego teatru, syn urzędnika salinarnego, urodzony w Galicyi, późniejszy poseł Vergani, tańczył i wyśpiewywał z werwą krakowiaki, których nutę zmienił później na *Deutschland, Deutschland über alles!*

Drogami temi idą przez rok cały turyści całego świata, których liczba nie zmniejsza się wcale, mimo i, niestety, że wskutek zasypania komory Steinhausera ubył kopalni wspaniały punkt atrakcyjny, jakim była: „Jazda piekielna,“ z której moment odtworzył w obrazie Stachiewicz. Nie łatwo się postarać o drugą taką komorę, jak Steinhauser, nadziei jednak tracić nie trzeba, zwłaszcza, że inżynierowie polscy z pewnością cel ten zawsze mają na oku.

Wieliczka jest obecnie w przededniu wielkich nowych inwestycji, które salina poczynić zamierza w celu urządzenia według najnowszych postępów wiedzy technicznej — warzelni, wytwarzającej sól jadalną (Tafelsalz) czysty chlorek sody (NaCl) przy użyciu aparatów z powietrzem rozcieńczonem (Vacuumapparate). Jak każdy nowy projekt u nas i ten podobno spotkał się z protestem, że Wieliczka, urządzając warzelnię soli, czyni ujmę swym wiekowym tradycjom kopalni; tymczasem właśnie wykazują dzieje, że t. zw. Karbarye, t. j. warzelnie soli, były już w Wieliczkę—przed wiekami. Kopalnie posiadają takie mnóstwo soli zanieczyszczonych a godnych eksploatacyi, że właśnie urządzenie warzelni utrzyma znowu tradycyę najstarszej żupy polskiej przez długie wieki.

Wieliczkę inna jeszcze, piękniejsza, uśmiecha się przyszłość!

Oto według analizy chemicznej, którą przed kilku laty wykonał docent Uniwersytetu krakowskiego, d-r Ignacy Lamberger,

zawierają surowice wielickie, t. j. naturalne rozczyiny solne, z poprzeczni (chodników) t. zw. „Mortis“ i „Appelshofen“ T-go poziomu kopalni, oprócz (NaCl) chlorku sody, także sole wapienne magnowe, potasowe, połączone z chlorem, kwasem siarkowym, węglowym i t. p. Surowica z poprzeczni „Appelshofen“ pochodząca okazała nadto wyraźne ślady jodu. Porównywując wartości ilościowe składników solanek wielickich z solanką w Reichenhall (Edelquelle) przychodzi d-r Lemberger do wniosku, że surowice kopalni wielickiej przewyższają swymi składnikami surowicę z Reichenhall, surowica zaś w poprzeczni „Mortis“ i „Appelshofen“ zaczerpnięta i wodą rozrzedzona, daje silniejszą solankę pod względem zawartości soli kuchennej i innych składników stałych, aniżeli solanki w Rabce. Opierając się na powyższym rozbiorze, uważa d-r Lemberger surowicę wielicką za znakomity czynnik balneologiczny, bo nadaje się do stosowania kąpieli o różnorakim zgęszczeniu.

Zalety lecznicze solanki wielickiej wychwala już Adam Schröter w swoim uwieńczonym poemacie, gdzie śpiewa:

„Sól silnymi nas czyni, balsam to drogocenny,
Wszelkie szkody od ludzi solny balsam oddala:
Czyż w lecznictwie bez soli możnaby się obchodzić?
Nigdy, skoro słabości straszne leczyć pragniemy!“

Jeśli weźmiemy w rachubę szczęśliwe i korzystne warunki sanitarne, jakich pozazdrościłoby mogły Wieliczce niejedne osławione, zagraniczne bady, (mam tu na myśli wspaniałe ogrody z bujną roślinnością, które z każdym niemal rokiem obszar swój powiększają i sady mieszczące w sobie domki i wille i te ciągnące się w dal w bezpośrednim ogrodów przedłużeniu pola i łąki traw i kwiatów pełne, skąd ku miastu płynie świeże, czyste sielskie powietrze), jeśli i tę ważną uwzględnimy okoliczność, że Wieliczka, mimo iż jest pierwszorzędnem miastem przemysłowem, nie zna zupełnie tego dławiącego czadu węglowego, który tak jest powszechny i działa tak zabójczo we wszystkich środowiskach większego fabrycznego przemysłu, to niewątpliwie nabierzemy przekonania, że niema chyba na kuli ziemskiej bardziej nu uzdrowisko wielkoświatowe kwalifikującego się miejsca! I jeszcze jeden czynnik będzie tu wielce pomocnym: to ogromna, szeroka, nieprześcigniona sława kopalni, której już żadnej reklamy nie trzeba. Tylko jest ważny, konieczny, pierwszorzędny szczegół, bez którego przedsięwzięcie, tak pewne posiadające widoki, chybiłoby celu. Oto żadną miarą: słoń nie może urodzić — muchy!

Takie „muszki“ drobne były już w Wieliczce i dlatego nie doprowadziły do żadnych rezultatów. Teraz trzeba przyłożyć do przedsięwzięcia skalę właściwą, olbrzymią, godną sławy prahistorycznej — *magnum sal*.

Pora do rozpoczęcia działań w tym kierunku jest obecnie najwłaściwszą, przedewszystkiem dlatego, że Wieliczka posiada człowieka pełnego zapału i zawsze gorącej inicjatywy, gdy chodzi o sprawę dobrą dla miasta i kraju, a zarazem pełnego niepożytej energii, by raz rozpoczęte przedsięwzięcie konsekwentnie i co rychlej doprowadzić do zamierzonego celu.

A tout seigneur tout honneur! — mężem tym jest obecny burmistrz miasta, p. Aywas, którego imię w dziejach rozwoju Wieliczki złotymi głoskami zapisane zostanie.

W ciekawych dziejach tego miasta trzeba nam wymienić ze szczególnym naciskiem jeszcze jedno nazwisko, o którym już była pobieżna wzmianka. Kraków ma swego Feliksa Jasińskiego, niezrównanego zbieracza dzieł sztuki, Wieliczka ma swego Jana Czerneckiego, niezrównanego popularyzatora dzieł polskiej sztuki. Od niedawnego czasu dopiero, od dwóch mniej więcej lat, ukazały się w handlowym obiegu, obok niemiecko-pruskich banalnych, o grubym, płaskim dowcipie malowanek, pocztówki z pięknymi i wiernymi reprodukcjami obrazów polskich malarzy. Była to próba gustu i smaku naszej publiczności, którą z wielkim nakładem starań i kosztów zaryzykował obywatel wielicki, p. C. I próba się udała! Dziś kartki, wydawane przez p. C., nie tylko są u nas rozchwytywane, ale, co ważniejsza, idą na rynki europejskie i wszędzie głoszą sławę polskich artystów-malarzy. Wielki i szczery zapał dla sztuki, który p. C. posiada, wytworzył temsamem nową szlachetną gałąź artystycznego przemysłu, bo trzeba wziąć na uwagę, że nie idzie tu o byle jaką efektowną, barwną widokówkę, jeno o jaknajbardziej artystyczne odtworzenie arcydzieł pędzla. Takie karty muszą być droższe, a mimo to opłacać się należy nie mogą. I dlatego to p. Czernecki za swój trud i zapał dla sztuki godzien jest uznania.

A teraz, na zakończenie, jeszcze słówko o mieszkańcach miasta. Są to przeważnie górnicy i ich rodziny. Wszyscy, co do przekonania, wierni tradycji pradziadów, o których z przekazem wspominał kronikarz niemiecki: „że stali przy konfederacji barskiej.“ Niema sprawy społecznej i narodowej, w którejby Wieliczka całym sercem i duszą udziału nie brała! I to jest sól attycka, także: *magnum sal* jej obywateli.

ZDZISŁAW KAMIŃSKI.

Ruch literacki we Francyi.

Z pośród kilkudziesięciu nowości, które w ciągu roku ubiegłego dały się poznać na scenach paryskich, ciesząc się większem lub mniejszem powodzeniem, nie wiele zapewne zachowa nadal swe znaczenie i ciężej zaważy w dorobku ogólnym francuskiej literatury dramatycznej. Na ogół wartość tych dzieł jest dość średnią. Nie przynoszą też nic szczególnie oryginalnego lub nowego ani pod względem charakterystyki stosunków społecznych, ani pod względem dążności moralnych lub ideowych, niemniej jednak są one przeważnie zajmujące i dają odbicie współczesnego życia społecznego i duchowego dość wierne, a nawet w pewnych utworach—głębokie. W całości tej zeszłorocznej produkcji dramatycznej dają się rozróżnić z jednej strony dzieła z podkładem moralnym, ideowym i uczuciowym, z drugiej—charakteryzujące dzisiejsze stosunki życiowe czy to ze stanowiska obserwacyi bezstronnej, czy to z zabarwieniem mniej lub więcej intensywnie satyrycznym.

Wszakże, w liczbie tych utworów, jeden zajmuje miejsce odrębne nie dlatego, by, jako dzieło dramatyczne, wyróżniał się wyższą wartością, ale z powodu, że stawia problemat natury bardzo delikatnej, którego dotąd na scenie nie poruszano.

Z tego to względu sztuka Piotra Wolffa i Gastona Leroux p. t. „Le Lys“ (teatr Vaudeville) jest rzeczywiście ciekawą, od niej przeto, pomimo dzieł o wiele wybitniejszych, które w dalszym ciągu napotkamy, pozwolimy sobie rozpocząć niniejszy przegląd. Kwestyą, którą tu wytaczają autorowie, jest ewolucya małżeństwa w kierunku zmierzającym już nie do rozluźnienia, jak dotąd, ale do zupełnego zniesienia tej instytucyi w myśl najnow-

szych teoryj reformatorów, którzy przewrót i zerwanie za wszelką cenę z przeszłością chcą wprowadzić aż do najpierwszej komórki organizmu społecznego, najsilniejszej i nienaruszonej jeszcze bądź co bądź twierdzy, całość jego gwarantującej, jaką jest rodzina. Instytucya małżeństwa nie jest tu wprawdzie na pozór, przynajmniej bezpośrednio, zakwestyonowana, ale jej zbyteczność wynika z wniosków, które z tej sztuki trzeba wyciągnąć.

Rzecz przedstawia się w następujących warunkach: hrabia de Magny, po stracie majątku w stolicy, na zabawy i hulanki, owdowiawszy, osiada, dla oszczędności, w drobnej własności wiejskiej, która mu pozostała, z synem Gerardem i dwiema córkami—Odettą, już starą panną, i znacznie od niej młodszą—Krystyną. Gerard jest w wieku, w którym młodzi ludzie czują potrzebę niezależnego stanowiska. Tego, jako dziedzic pięknego nazwiska i tytułu, szuka on w bogatym ożenieniu, do czego, rzecz naturalna, ojciec, który w swoim czasie to samo uczynił, zachęca go i pomaga. Pożądana partya trafia się też niebawem, jest nawet pod ręką w osobie panny Simony, córki sąsiada, zbogaconego przemysłowca, p. Darcey, wprawdzie pospolitej, nieładnej i niemądrej, ale posażnej, o co właśnie przedewszystkiem panom de Magny idzie. Wkrótce też przychodzi do zaręczyn, które odbyć się mają w ich domu. Ale cóż się dzieje? W chwili stanowczej, gdy już wszystko przygotowane do przyjęcia, ojciec narzeczonej, mocno zakłopotany, oświadcza, że projektowany związek jego córki z Gerardem jest niemożliwy. Od wyjawienia powodów niespodziewanego i przynoszącego ujmę rodzinie de Magny zerwania p. Darcey wymawia się z początku grzecznie, ale stanowczo, dopiero bliżej przyeśnięty przez Gerarda, przyznaje, że przyczyną tego są pogłoski o prowadzeniu się młodszej jego siostry, Krystyny, o której mówią ni mniej ni więcej, tylko, że jest kochanką malarza Arnault, który spędza lato samotnie w sąsiednim opuszczonym opactwie.

Gerard, oburzony takim podejrzeniem, stara się rzecz sprawdzić i przekonywa się, że Krystyna rzeczywiście, podczas swych przejażdżek na bicyklu, była kilka razy u Arnaulta. Po naradzie, ojciec i syn powołują Odettę, dla której młodszą siostra nie ma tajemnic, a o której niezachwianych zasadach i bezwarunkowej uczciwości obaj nie wątpią, by ich objaśniła, co o tem myśleć. Ale Odetta o niczem nie wie. Wiadomość, którą brat jej przyniósł, uważa za potwarz, odrzuca ją z najwyższym oburzeniem, zaręczając za dobre prowadzenie siostry i obiecując wreszcie, że ją wybada. Ta właśnie nadchodzi. Na pytania ojca i brata z po-

czątku wszystkiemu zaprzecza, ale powoli pozwala wydrzeć sobie wyznanie — Krystyna jest rzeczywiście kochanką Arnaulta!

Po wyznaniu prawdy, nie mając już nic do stracenia, broni się ona z całą gwałtownością namiętności, twierdząc, że nie mogła znieść beznadziejnego zamknięcia, w którym zmarnowała się młodość jej siostry, że potrzebując żyć pełnem tętnem, które daje miłość, i, spotkawszy współczującego jej człowieka, pokochała go całym sercem. Oto jej zbrodnia. Na to Odetta, ta, która za skromność, poświęcenie i ciche cnoty domowe, pełnione z prostotą, bez pretensyi, ni zarozumienia, zyskała sobie piękne miano „lili“ („Le Lys“), woła w uniesieniu: „Ona ma słuszość!“ — i w potoku wezbranych uczuć wylewa całą, ukrywaną dotąd gorycz istnienia, które zgotował jej ojciec, straciwszy posagi córek w przekonaniu, że panny dobrze wychowane nie mogą mieć aspiracyj, któreby przekraczały poza cnotliwą monotonię życia domowego; myśląc, że są szczęśliwe, bo się nie skarżą, i nie domyślając się nawet, z ilu wyrzeczeń, z ilu cierpień, z jakiego żalu składało się jej życie za każdą minioną chwilą, która, zabierając jej część młodości, szpecąc nową zmarszczką jej wędnącą piękność, unosiła z sobą bezpowrotnie ostatnie resztki nadziei, wymarzonego, a bez jej winy nieziszczalnego szczęścia, jakie dać może istocie ludzkiej, a szczególnie kobiecie, tylko podzielana miłość!

O tak, Krystyna ma po tysiąc razy słuszość, że się wyłamała z pod jarzma, które im narzuca bezwzględna, egoistyczna tyrania „męskiego“ honoru; że nie chce być ofiarą wyrachowań osobistych ojca i brata; że, pragnąc korzystać z życia i młodości, nie odrzuciła szczęścia, gdy się jej trafiło. Po tej dość niespodziewanej interwencji Odetty, Krystyna opuszcza dom ojca i wraz z kochankiem udaje się do Włoch. Małżeństwo Gerarda jest zerwane.

Zobaczmyż teraz, dla czego Arnault i Krystyna, zamiast uprawiać tajemną i zabronioną miłość, nie spróbowali naprzód połączyć się węzłem małżeńskim, jak to zwykli czynić zakochani, którym nic szczególnego nie stoi na przeszkodzie. Ani Arnault, ani Krystyna nie są przeciwnikami małżeństwa i w tem to właśnie leży do pewnego stopnia podstępne wprowadzenie tej tezy przez autorów, polegające na ukazaniu na przykładzie, jakoby z życia wziętym, że miłość może jaknajlepiej obejść się bez małżeństwa (co nie jest zbyt nowem), a przeto już sami sobie dopowiadamy, małżeństwo, co najmniej nie jest potrzebne. Ale takie postawienie kwestyi jest właściwie jej obejściem, zapewne z obawy, że zbyt jawny atak, trafiając na umysły ogółu, do tego

nie przygotowane, mógłby powodzeniu sztuki zaszkodzić. Wi-dzieliśmy już, że w „Un Divorce“ Bourgeta ta sama kwestya jest nie tylko jasno postawioną, ale nadto dyskutowaną bardzo silnymi i, w granicach możliwości, bezstronnymi argumentami pro i contra.

Tutaj jest ona tylko insynuowaną.

W istocie przeszkoda do małżeństwa Arnaulta z Krystyną istnieje, co pozwoliło autorom uniknąć szczęśliwie użycia argumentów, których może sami nie byli pewni—wiemy o tem od początku, bo zostaliśmy objaśnieni zaraz w pierwszym akcie. Tą przeszkodą jest fakt bardzo prosty i naturalny—Arnault jest żonaty! Tak, żonaty, ale żyje w separacyi od lat kilku bez możliwości uzyskania rozwodu, na który żona przystać nie chce.

Oto i rzecz się wyjaśnia i intencya autorów staje się widoczną: Arnault i Krystyna związku małżeńskiego zawrzeć nie mogą, ale się kochają, więc obchodzą się bez ślubu i dobrze im tak. Szczęśliwość ich widzimy, gdy sobie gruchają na tarasie hotelu w Sorrento, na tle rozkosznej natury włoskiej. I szczęście ich jest tak wielkie, tak piękne, że przybyła po siostrę, by ją zabrać do domu, Odetta, patrząc na nie z za drzewa, wpada w rodzaj religijnego zachwytu i nie śmie go przerwać, nawet na czas krótki, bo każda chwila, ukradziona szczęściu, jest stratą niepowetowaną, bo rozłączyć zakochanych w ekstazie ich miłosnych uniesień, to świętokradztwo! Biedna „lilia“ Odetta, która tych uniesień nie zazna nigdy, roztkliwia się nad szczęściem siostry i własną niedolą i, chociaż teraz dzieli Krystynę od małżeństwa tylko czas, potrzebny do przeprowadzenia formalności, bo żona Arnaulta zgodziła się wkońcu na rozwód, a obecność jej w domu do chwili ulegalizowania jej miłości jest potrzebną, aby bratu umożliwić ożenienie się z Simoną, taki bowiem warunek postawił p. Darcey, to jednak Odetta wyrzeczce się swej misyi i powróci sama. Niech cierpi za swój egoizm Gerard, któremu wymknie się z ręki upragniony posag!

A więc autorowie zrobili jeszcze ustępstwo na korzyść przesądów publiczności—Krystyna i Arnault będą zaślubieni. Jeżeli jednak apoteoza wolnego związku jest tu do pewnego stopnia maskowana, to za to przez usta Krystyny, a szczególnie Odetty, wypowiadają się bardzo wyraźnie pewne idee rewolucyjnego feminizmu, mianowicie żądanie niezależności kobiety, tak zamężnej jak i niezamężnej od wszelkich przepisów obyczajowych, narzuconych jej przez mężczyznę i będących zabytkiem niewoli, które bronią jej rozporządzania swą istotą moralną i fizyczną, czynią

występek z miłości poza małżeństwem i wymagają od kobiety niewinności przed tegoż zawarciem.

Oto są idee, wyrażone w tej sztuce.

Że w żalach Odetty jest dużo słuszności, nie można zaprzeczyć, zwłaszcza w okolicznościach, w których autorowie postawili te panienki. Ale zmieńmy tylko trochę te okoliczności, to zaraz pretensye ich stracą wartość i staną się niesłuszne, przy tych samych cierpieniach, które w samej rzeczy od nich zależnemi nie są.

Niech np. strata majątku przez ojca będzie skutkiem nieszczęścia lub powodów od niego niezależnych, nie zaś hulanki; niech brat pragnie się ożenić nie dla posagu, lecz powodowany szczerem uczuciem, co czasem się zdarza, to natychmiast argumenty autorów na korzyść Krystyny, w przypuszczeniu że mogą usprawiedliwić jej postępowanie, upadają zupełnie. Że zaś powołują się one skądinąd na potrzeby zmysłowe i uczuciowe, któremi natura obdarzyła kobietę, bez względu na warunki, w których życie może ją postawić, przeto konsekwentnie stąd wnioskować musimy, że jakiegokolwiek by były te warunki, dziewczyna w położeniu córek p. de Magny postąpiłaby albo jak Krystyna, a więc uległaby skłonnościom naturalnym, z zapomnieniem o przepisach moralności obyczajowej, albo, jak Odetta, owa zbuntowana „lilia“, dla której znoszenie „niewinności“ jest tak uciążliwe — i byłaby nieszczęśliwą. Innemi słowy, sytuacja ta przedstawia dwa wyjścia — pójść za głosem instynktu, lub posłuchać głosu obowiązku. Autorowie wybrali pierwszą drogę, stosownie do predylekcyj własnych, oddając słuszność Krystynie, ale niczem tej słuszności nie dowiedli. Rzecz ta jest więc w przeprowadzeniu tezy najzupełniej sztuczną i arbitralną, bez żadnego uzasadnienia myśli, którą zawiera i chce przy pomocy sceny rozpowszechniać. Jako utwór dramatyczny, „Le Lys“ jest dziełem dość słabem. Właściwie dwa tylko jego akty środkowe mają pod tym względem wartość, bo pierwszy jest nieco przydługim i nudnym wykładem położenia, a czwarty czemś w rodzaju żywego obrazu. W aktach środkowych są sceny dobrze poprowadzone i zajmujące, zaś scena kulminacyjna badania Krystyny i interwencji Odetty jest nader wymowną i nie pozbawioną dramatyczności obroną praw naturalnych i uczuciowych pokrzywdzonych pańien. Z figur, postacie: pana de Magny, jego syna i parę epizodycznych, mają w sobie dużo prawdziwego charakteru, Krystyna jest nie dość wyraźna, zaś Odetta, choć z pewnej strony trafnie uchwycona, ulega zbyt szybko i radykalnej ewolucyi moralnej, by nie stać się sztuczną i paradoksalną.

W utworze powyższym zauważyliśmy, że cechą jego główną jest tendencyjność w przeprowadzeniu na tle uczuciowem pewnej idei. Zajrzyjmy teraz do takich dzieł, w których starcia ideowe, stanowiąc motyw główny dramatu, lub zajmując w nim miejsce pierwszorzędne, są traktowane same dla siebie. Ze sztuk tego rodzaju spotykamy w produkcyi zeszlórocznej szczególnie dwa wyróżniające się utwory.

Są niemi „L'Emigré“ Pawła Bourget i „Israël“ Henryka Bernsteina. Dzieła te autorów, stojących w dramatycznej literaturze francuskiej, rzec można, na krańcach odwrotnych, tak w dążeniach społecznie ideowych, w pojmowaniu i poszukiwaniu stron życia, jak i w sposobie jego interpretowania, różniących się wreszcie bardzo znacznie wiekiem i rodzajem kultury, mają jednak tę wspólność, że w obu konflikt ideowy odgrywa rolę pierwszorzędną, a nadto oba przedstawiają pewną analogię położenia. Treści „L'Emigré“ (teatr Renaissance), znanej już z powieści tegoż tytułu i autora, szczegółowo powtarzać nie będziemy. Jak w powieści, tak i w dramacie dominuje postać margrabiego, z uwydatnieniem wszystkich cech jego charakteru, dających mu jednocześnie wyższość moralnej siły i piękna i odbierających zarazem zdolność przystosowania się do realnych warunków życia współczesnego. Jego idee różnią się znacznie od zapatrywań i dążeń jego domniemanego syna, który przyjmując rzeczywistość, której odmienić nie jest w stanie, a może i nie pragnie, chce, w istniejących warunkach, stworzyć sobie byt własny, opromieniony zresztą nadzieją szczęścia rodzinnego w podzielanej miłości. Stąd starcie pomiędzy ojcem i synem, obok którego rozgrywa się konflikt ideowy pomiędzy pojęciem osobistego honoru człowieka i szlachcica, pomiędzy sumieniem katolika, a obowiązkiem względem służby i dyscypliny wojskowej i zamiłowaniem obranej karyery i zawodu, oraz konflikt wewnętrzny, uczuciowy w duszach margrabiego i tego, którego dotąd uważał za swego syna, od chwili, gdy odkryli, każdy ze swej strony, tajemnicę, rujnąjącą dotychczasowe podstawy ich życia moralnego i materialnego. Porównyując te dwa typy charakterystyczne, uosabiające dwa prądy ideowe, które, dzieląc szlachtę francuską, a szczególnie dwa ostatnie jej pokolenia, oryentują dążenia każdego z nich w kierunkach odrębnych, niekiedy przeciwnych, zauważymy fenomen szczególny, mianowicie, że pokolenie młodsze, na pozór praktyczniejsze, bo zgadzające się ze stosunkami istniejącymi, w realizmie swym, wynikającym z wyrzeczenia się dawnych ideałów, nie zyskało nowej podstawy, gdy starsze, trzymając się ich niezłomie, zachowało

siły moralne i fizyczne, dające im osobistą żywotność ogromną, na przekór warunkom, z tej właśnie niezłomności wypływającym, które je skazują na zagładę. Autor przeciwstawił tu dwa światy — pierwszy, w osobie margrabiego, uszlachetniony wiekową tradycją honoru, piękny i silny wiarą w swe prawa do panowania, trwa do ostatka na posterunku, wskazanym mu przez przodków, z którymi czuje się ściśle związanym rodową solidarnością, i na nim zginie z chwałą bohaterską pod zalewem współczesności. Drugi, który przedstawia się w postaci Landri'ego, nie mając już, wskutek wkradnięcia się w jego umysł i serce sceptycyzmu, tej siły ducha, by opierać się wzbierającej fali, chce z nią płynąć, ale odziedziczona szlachetność powstrzymuje go, budząc w nim wstręt do mętów i wyziewów, które ta fala niesie. Akcja nieco skomplikowana, wskutek wiążących się tu paru odrębnych wątków dramatycznych, jest przeprowadzoną w tej sztuce konsekwentnie i interesująco i nie wpływa, pomimo swej wadliwości, na osłabienie wrażenia, które sprawia wykład ściągających się idei i walka uczuć i dążeń moralnych bohaterów.

Henryk Bernstein, którego talent dał się poznać, w sposób bardzo charakterystyczny w takich sztukach, jak „La Griffe,” „La Rafale,” „Samson,” zasadzających się na grze instynktów niższego rzędu, uległ widocznie wpływowi Bourgeta, dając w swej sztuce „Israël” (teatr Rejane) utwór czysto ideowy. Widocznym celem tej sztuki jest rehabilitacja synów Izraela od ciężących na nich odwiecznych zarzutów, którym zawdzięczają niechęć, antypatyę lub nienawiść ludów, pośród których los kazał im zamieszkiwać. Że celu tego, jak się domyśleć można, autor nie osiągnął, to już nie jego wina, ale sprawy. W każdym razie przyznać trzeba, że starał się być bezstronnym. Dla doprowadzenia do pożądanego konfliktu moralnego i ideowego, ucieka się autor do dość sztucznego wybiegu: człowiek, który z największym przekonaniem i zapałem zabiera się do zwalczania nienawistnej rasy, sam jest tej rasy synem. Takie jest położenie młodego antysemity księcia de Clare, który, podobnie jak Landri w sztuce Bourgeta, nie jest synem tego, którego nosi nazwisko, lecz Żyda bankiera, który był kochankiem jego matki. Młody książę, nie domyślając się naturalnie swego pochodzenia, zaczyna swą akcję antysemitką od wyzwania na pojedynek tego właśnie bankiera z zamiarem zabicia go. W tym celu w klubie, wobec grupy przyjaciół, traktuje go wyzywająco, a gdy to nie wystarcza — grubiańsko, zrzucając mu z głowy kapelusz uderzeniem laski, i zmusza go tem do przyjęcia wyzwania. Za ten czyn, nie mający

w sobie nic pięknego, większość członków arystokratycznego klubu składa mu powinszowania, jeden tylko wuj księcia strofuje go za to i gani antysemityzm jego otoczenia, starając się wykazać wysokie przymioty rasy żydowskiej i bezpodstawność skierowanych przeciw niej oskarżeń i nienawiści. Na to jednak nikt nie zwraca uwagi, bo wszyscy wiedzą, że ów bankier używa swych wpływów i pieniędzy na zwalczanie katolicyzmu. Ale tymczasem księżna matka, osoba wielkiej pobożności i charakteru (stosunek miłosny do bankiera był jedynym przewinieniem jej życia) dowiaduje się o projektowanym pojedynku jej syna z własnym ojcem. Nic więc dziwnego, że chce za wszelką cenę do tego nie dopuścić. W tym celu za pośrednictwem swego spowiednika, O. de Silvian, sprowadza do siebie dawnego kochanka, którego wszakże do cofnięcia się od pojedynku nakłonić nie może, ale za to młody książę spotyka ze zdumieniem swego przeciwnika w domu matki, dla której ma cześć i przywiązanie bardzo wielkie. Przy wyjaśnieniach, które mu ona daje dla wytłómaczenia tak szczególnej w danych okolicznościach wizyty, rzecz się wydaje. Młody książę, po krótkim wybuchu rozpacz, postanawia się zabić, ale wprzód chce się widzieć z tym, któremu zawdzięcza życie i nieszczęście. Podczas, gdy oczekuje jego przybycia, zjawia się O. de Silvian i w przemówieniu, pełnem przekonującej siły skłania młodego człowieka, by porzucił samobójcze zamiary i, zamiast uciekać od życia, poświęcił je Bogu, wstąpiwszy do klasztoru, gdzie w nowych i wyższych obowiązkach znajdzie otuchę, zapomnienie, a nawet zużytkowanie swych tak wybitnych zdolności i energii duchowych.

Książę, który jest człowiekiem wierzącym i religijnym, daje się dość łatwo przekonać, ale, po chwili, nadchodzi bankier i, przypominając mu, że w żyłach jego płynie krew semicka, która go ciągnie do życia czynnego w ruchu, w świecie, nie zaś w kontemplacyi, śpiewa hymn pochwalny na cześć geniuszu żydowskiego i wytacza przeciw zamiarom swego naturalnego syna cały arsenał materialistycznych argumentów. Te wywody, które są w rzeczy samej tylko pustą frazeologią, młody człowiek odpiesza zwycięsko, ale widocznie czuje się w głębi ducha zachwianym, bo ze słowami: „Wy szkalujecie religię, która jest dla mnie ostatnią pociechą i ratunkiem, sławicie życie, a przynosicie śmierć!“—wychodzi, by, zażywszy gwałtowną truciznę, odebrać sobie życie.

Jeżeli „Israel“ na korzyść sprawy żydowskiej, zamkniętej zresztą w dziwnie ciasnych ramach, nikogo nie przekonał, bo ani rozprawę owego wuja-rezonera, ani słowa bankiera mocy tej nie

mają, a nawet wbrew założeniu i intencyom autora dają zwycięstwo moralne idei chrześcijańskiej, to jest on, jako utwór sceniczny, pomimo swych pewnych nielogiczności w konkluzjach, dziełem zasługującym na wyróżnienie.

Pominąwszy nudne wywody rezonerskie, akcja jest tu żywą i ścisłą, postacie główne dobrze zaznaczone w charakterze, a scena rozstrzygająca pomiędzy matką i synem, nader subtelnie pojęta, ma wysoki nastrój dramatyczny. Nadto, co tu zadziwia, autor, chcąc być bezstronnym, włożył w usta O. de Silvian zdania tak piękne i przekonujące, tak umiał wymownie przedstawić, jak nieocenionem schroniskiem moralnem może być klasztor dla człowieka wierzącego, dla którego życie w zwyczajnych światowych warunkach stało się niemożliwem, że wobec tego, wszystkie argumenty żydowskiego materializmu pozostały bezsilne. To wszystko sprawia, że, bez względu na to, czy autor swój cel ideowy osiągnął lub go chybił, sztuka ma swoją wartość.

O wiele wybitniej wyróżniły się w każdym razie swemi wyższemi zaletami w repertuarze zeszłorocznym dzieła: Pawła Hervieu „Connais-toi“ i Henryka Bataille „Le Scandale“, które zbliżyła do siebie nie tylko współczesność ich wystawienia i współrzędność wartości, ale i analogia położenia dramatycznego i pewne podobieństwo dążności moralnej, pomimo nader różnego poza tem ich charakteru i sposobu traktowania. W obu tych utworach spostrzegamy tę samą myśl przewodnią, że w wypadkach życiowych, dotyczących człowieka w głębi jego istoty, decydują nie nabyte przez wychowanie i kulturę zasady, obowiązujące w warunkach zwykłych, ale instynkt, ta siła w człowieku cywilizowanym, mniej lub więcej okiełznana, ale będąca w gruncie jedyną prawdziwą i naturalną sprężyną jego uczuć i działania. W twórczości dramatycznej Pawła Hervieu, która swym charakterem ścisłej logiki w rozwoju uczuciowym bohaterów i wynikającej stąd akcji przypomina tragedję starożytną, instynkt odgrywa rolę przeznaczenia, prowadzącego do nieuniknionego rozwiązania. Cechy te, szczególnie wybitnie zaznaczone, noszą dzieła jego poprzednie, zwłaszcza „Le Dédale“, „La Course du Flambeau“ i „L'Enigme.“ Te same cechy i dążność znajdujemy również w ostatnim jego utworze „Connais-toi“ (Komedia Francuska), który zawiera przytem surową naukę moralną.

Treść tej sztuki jest nie złożoną, akcja ścisłą, konsekwentną, prosto zmierzającą do celu, bez wszelkich scen dodatkowych, któreby jej rozwój powstrzymywały. Zawarty w niej morał da się streścić w tych słowach: nie sądź, jeżeliś słuszności twych

sądów nie sprawdził na sobie samym. Znaj siebie! Ale kto siebie zna, jeżeli na każdym kroku doświadczenie życia uczy nas, że nie jesteśmy tem, za cośmy się sami uważali? Generał de Sibéran, wdowiec, mający dorosłego syna, ożenił się po raz drugi z kobietą, którą uważa słusznie za wzór uczciwości i szlachetności. Sam, człowiek prawy i bez zarzutu, wyznaje on niezłomne zasady na punkcie moralności i honoru, co sprawia, iż jest w swych sądach niezmiernie surowym, aż do drobiazgowości. W domu jego bawi w gościnie młode małżeństwo, państwo Doncières, jego krewni. Otóż pani Doncières została pewnego razu schwytaną przez męża, gdy wychodziła z mieszkania porucznika Pavail, ordynansowego oficera generała de Sibéran.

O winie pani Doncières niema wątpliwości, bo sama się do niej przyznała, mąż więc jej, mocno tem zdekongertowany, radzi się generała, jako kuzyna i człowieka, doświadczonego w rzeczach honoru, co ma w tak przykrem położeniu począć, bo do żony jest bardzo przywiązany i rozstać mu się z nią trudno. Generał wskazuje mu z początku delikatnie, a gdy ten zdaje się wahać — rozkazująco, że obowiązek honoru nakazuje mu niewierną żonę wypędzić, bić się z jej kochankiem i zmusić go, by się z nią ożenił. Kuzyn uznaje słuszność słów generała, przełamuje więc opór wewnętrzny i postanawia zaraz podać się do rozwodu. Ten zaś ostatni powołuje porucznika Pavail, karci go w ostrych słowach i wymaga na nim, by podpisał podanie do ministra wojny z prośbą o przeniesienie go do Tonkinu, co też ten po chwili wahania podpisuje. Niebawem jednak, zostawszy sam na sam z generałową, porucznik, na jej wyrzuty, wyznaje, że nie on tu jest winien. lecz jego kolega i przyjaciel, syn generała, Jan de Sibéran, jeżeli zaś tego generałowi nie powiedział, to postąpił tak, by nieobecnego na razie przyjaciela nie oskarżać, a następnie by, korzystając ze sposobności, oddalić się od generała, z którym stosunek jest dla niego bardzo przykry, chociaż, jako jego wychowaniec, zawdzięcza mu swe stanowisko i karyerę. Jej wyrzutom wszakże nie mógł się oprzeć, bo nie chciał, by mogła nawet przez chwilę myśleć, że zajął się inną kobietą, gdy wszystkie swe najgłębsze uczucia poświęcił jej wyłącznie w tajemnej i beznadziejnej, ale gorącej miłości. I oto niespodziewane słowa młodego człowieka, wzruszając ją do głębi, odkryły nieznaną jej samej tajemnicę jej serca. Sympatya dla niego, którą uważała za zwykły wynik życzliwości dla domownika, to była miłość, z której sama nie zdawała sobie sprawy! Pocóż zbudziło się w niej to uczucie, które przynieść jej może tylko cierpienie i żal? Bo, po tem odkryciu, po-

rucznik musi się oddalić, muszą się rozstać nazawsze. Po jego wyjściu następuje gwałtowna scena pomiędzy generałem i jego synem Janem, bo niedość, że popełnił czyn tak niegodny, ale oświadcza teraz, iż od obowiązków, które nań w tych warunkach spadają nie cofa się i z panią Doncières się ożeni. Na to jednak, by syn jego ożenił się z „awanturnicą“ generał nie pozwoli, zapominając, co przed chwilą głosił, gdy myślał, że winowajcą jest człowiek mu obcy. Co zrobić, by do tego nie dopuścić? Jest na to sposób pewny, który podaje pani generałowa — pogodzić małżonków. Na to trzebaby jednak, aby generał, który tak stanowczo rzecz rozstrzygnął, zadał kłam własnym słowom i przekonaniom. Tego on uczynić nie może, ale zgadza się, aby rzecz załatwiła żona i to jest pierwszą jego kapitulacją z zasad, w które najświęciej wierzył, z chwilą gdy te stanęły wpoprzek jego widokom i interesom rodzinnym. W scenie następnej, kapitulacja generała stanie się jeszcze zupełniejszą, gdy spotka go cios, dotykający bezpośrednio jego własnych najgłębszych uczuć. Generał zastaje żonę w objęciach porucznika! Rzecz tak się miała: pomimo wyjaśnienia sprawy po powrocie Jana, porucznik Pavail, na żądanie już nie generała, ale pani de Sibéran, która, bez sprzeniewierzenia się mężowi, widywać go obecnie nie może, postanowił wyjechać do Tonkinu i w ostatniej to chwili pożegnania, po wzajemnem wyrzeczeniu się miłości na rzecz obowiązku, usta ich, ulegając pierwszej i niemającej się nigdy powtórzyć słabości, zbliżyły się w pocałunku. Los chciał, że na tę właśnie chwilę wszedł generał. Pomimo zaklęć żony, że jest niewinną, w pierwszym gwałtownem uniesieniu, każe jej swój dom opuścić.

Gdy jednak dotknięta tem do żywego pani de Sibéran, wyrzuca mu, że z jego to winy uczucia jej skierowały się ku innemu, bo ich ocenić ani zrozumieć nie potrafił, i oznajmia, że teraz, czując się zwolnioną od obowiązków, pójdzie za głosem serca, gniew jego przechodzi w żal. Teraz, gdy wie, że życie jej przy nim będzie z jej strony tylko ciężką ofiarą, on tej ofiary żebrze, błaga ją, by została, a na przypomnienie tak niedawno wygłoszonych zasad, powiada: „nie znałem siebie!“

Pani de Sibéran zostaje i całe zajście kończy się na wysłaniu przez generała podania, które porucznik zostawił na jego biurku. Tak więc zasady musiały ustąpić przed instynktem, to jest przywiązaniem generała do żony, który w wypadku, dotyczącym go osobiście, postąpił wprost przeciwnie, niż to radził swemu kuzynowi.

Jednocześnie wprowadzie zaraz tutaj mamy sposobność zauważyć, że instynkt niezawsze zwycięża, jeżeli po stronie pani de Sibéran dzieje się odwrotnie—instynkt ulega porażce w walce z obowiązkiem, który tryumfuje. To sprzeciwia się trochę założeniu sztuki, ale pozwala zarazem stwierdzić tę prawdę realną, że w wyniku tej walki odgrywają też rolę czynniki, które autor pominał, jak charakter osobników. Zapewne, charakter określić też możemy sumą instynktów ujętych w pewną dyscyplinę, ale dlatego właśnie może on wpływać na okiełznanie tych, które się z pod tej dyscypliny wyłamują.

W sztuce Henryka Bataille p. t. „Le Scandale“ (teatr Renaissance), w której także motywem jest wiarołomstwo, a czynnikiem rozstrzygającym — instynkt, żadnej wyraźnej i rozmyślnej nauki moralnej niema. Jest to właściwie studjum psychologiczne, na podstawie obserwacji uczuć, a właściwie—badania ich za pomocą promieni X, gdyż te uczucia i ich odcienie należą do kategorii zwykle najtajniejszych i najgłębiej ukrytych.

P. Bataille, który celuje w ukazywaniu takich właśnie najtajniejszych uczuć, na które składają się często bardzo różnorodne i prawie nieuchwytnie wzruszenia, spowodowane czysto nowożytnem przeculeniem systemów nerwowych, to też postawił sobie tutaj za wyłączone zadanie.

Podobna w tem do tych istot skomplikowanych i fantastycznych akcja tej sztuki jest niejednorodną, rozwleczoneą i poplątaną, posiada zaś aż dwa momenty krytyczne, które jej nie rozstrzygają i kończy się bez właściwego rozwiązania. To wszakże nie zmniejsza wartości tego utworu, spoczywającej gdzieindziej. Zresztą życie rzeczywiste nie składa się też ze ściśle konsekwentnych sytuacji, wiążących się z sobą w jeden solidny gmach kompozycji, jaki przedstawiają sztuki dramatyczne, zbudowane prawidłowo.

A oto wątek główny, na którym rozwija się ten dramat uczuciowy. Żona bogatego przemysłowca, pani Férioul, pociągnięta dość mimowolnie, zostaje kochanką pewnego awanturnika, Rumuna Artanezzo, ale spostrzegłszy się wkrótce, że on ją chce wyzyskać, zrywa ten stosunek i wraca do domu, wraz z dziećmi, z miejsca kąpielowego, gdzie go poznała. Ale i tu nie ma spokoju, bo drży nieustannie z obawy, że były jej kochanek, będący w posiadaniu jej listów i pierścionka, który od niej wyłudził, ją skompromituje.

Ta jej obawa staje się szczególnie uzasadnioną, gdy jednocześnie z listem z pogrózkami i żądaniem poręczenia od jubilera, który pożyczył Rumunowi pieniędzy na zastaw owego pierścion-

ka, ten zgłasza się osobiście do jej męża. Podczas tej wizyty, po której spodziewać się może swej zguby, nieszczęśliwa przeżywa niesłychane tortury moralne.

Ale Artanezzo jej nie zdradził. Znalazł jakiś pretekst interesu do jej męża tylko po to, aby się z nią zobaczyć i zapewnić, że w próbie wyłudzenia ze strony jubilera on żadnego udziału nie ma, na dowód czego zwraca jej listy, choć żał mu bardzo z niemi się rozstawać, bo są one dla niego nieocenioną pamiątką jedynej w jego smutnem życiu prawdziwej miłości.

Pani Férioul jest tem mocno wzruszoną, bo nie spodziewała się po tym człowieku takiej delikatności uczuć. Niestety na tem kłopoty jej się nie kończą, bo jubiler, licząc zawsze na korzyść dla siebie z groźby skandalu, zaskarżył Artanezza do sądu o oszustwo, a panią Férioul powołał na świadka, jako właścicielkę pierścionka. Idąc za radą poufnych jedzie ona do Paryża (państwo Férioul mieszkają na prowincyi), by, stanawszy w tej sprawie przed sądem, uwolnić się na przyszłość od możliwych dalszych konsekwencyj.

Ale, nim to nastąpiło, mąż, dowiedziawszy się prawdy z boku, zwołał wszystkich domowników, aby publicznie wobec nich występna żonę napiętnować i wypędzić, w ostatniej jednak chwili cofa się, zrzucając powód tak niezwyklej mobilizacyi na małego synka, którego jakoby wydalono ze szkoły. Po wyjeździe żony, p. Férioul postanawia udawać, że o niczem nie wie, i postanowienie to uzasadnia w rozmowie z matką. Zmusi go to wprawdzie do zerwania wszelkich stosunków towarzyskich, do usunięcia się z urzędu i wyrzeczenia kandydatury poselskiej, ale czyż dla tych względów światowych warto unieszczęśliwić dwoje serc i dzieciom odebrać matkę? I rzecz kończy się na przebaczeniu wyczerpanej nerwowo tak wstrząsającemi wzruszeniami kobiecie, która, po powrocie, wyczytała w oczach męża, że wie o wszystkim.

Ta umiejętność odkrycia stanów duszy obojga małżonków—u niego najpierw przecucie, podejrzenie, później pewność przestępstwa żony i wynikający stąd gniew, nad którym bierze górę litość nad nią, nad dziećmi, a i nad sobą samym; u niej ten nieustanny nerwowy niepokój, doprowadzający ją prawie do obłądu—oto wysoki artyzm, który z tej sztuki czyni dzieło prawdziwe.

Głośna reklama procesu i skandalu uprzedziła zawczasu wystawienie na mocy wyroku sądowego, wbrew opozycyi dyrektora Komedyi Francuskiej, na scenie tego teatru słynnej z tego powodu sztuki Oktawiusza Mirbeau i T. Nathansona p. t. „Le Foyer.“ Wskutek takiego rozbudzenia ciekawości, spodziewano się po tej

sztuce daleko więcej, przynajmniej w stronę skandalu, aniżeli ona rzeczywiście daje, choć na tym ostatnim punkcie została podobno okrojona. „Le Foyer“ jest w rzeczy samej zjadliwą satyrą na świat wysokiej inteligencji francuskiej i tendencyjną napaścią na dobroczynność prywatną o charakterze klerykalnym. Jednocześnie znajdują tu wyraz idee, głoszone przez socyalistów przeciw zasadzie miłosierdzia wogóle, a wszystko razem przedstawia się z pieprzną zaprawą grubej zmysłowości. Po za tem sztuka ta jest dość zręcznie poprowadzoną i interesującą, choć w gruncie mało oryginalną tak w typach, jak i w sytuacjach.

Baron Courtin senator, członek Akademii umiejętności, należący do wysokich sfer towarzyskich, jest zarazem kuratorem z ramienia Akademii dobroczynnego zakładu wychowawczego dla dziewcząt. W zakładzie tym, o którym prasa nieprzyjazna pisze, że dzieją się w nim rzeczy bardzo szczególne, trafił się smutny wypadek, który, gdy dostanie się do dzienników, stanowić będzie straszną broń przeciw tej instytucyi, pozostającej pod patronatem Akademii i prowadzonej po katolicku — dziewczynka, którą zamknięto za karę w szafie, zadusiła się! Dla dania satysfakcyi opinii publicznej i możliwego uniknięcia wmięszania się władz, baron Courtin, za namową jałmużnika zakładu księdza Laroze, postanawia oddalić jego kierowniczkę pannę Raumbert. Ta jednak stawia za warunek swego ustąpienia uregulowanie rachunków i tu rozpoczyna się położenie dramatyczne, w kasie bowiem zakładu jest deficyt na 300 tysięcy franków, które baron obrócił na swój użytek, tej zaś sumy, którą trzeba zwrócić natychmiast, nie posiada. Jeżeli jej nie zwróci, będzie skompromitowany, shańbiony i zgubiony. Sumę tę pożyczycyby mu mógł jeden tylko bankier Biron, ale ten odmawia. Jednakże na Birona jest jeden sposób — ostatnia ucieczka barona Courtin — na prośby baronowej on nie odmówi. Niestety pani Teresa Courtin, która do niedawna była kochanką Birona, dała mu właśnie dymisyę, by wziąć sobie kochanka wedle skłonności serca, młodego, ale niemającego p. d'Auberval, nie może więc ani widzieć się z bankierem, ani tembardziej nic od niego żądać. Na rozpaczliwe wszakże nalegania męża, pani Teresa idzie do Birona i pieniądze otrzymuje, ale na jakich warunkach? Oto musi zostać z powrotem jego metresa, z prawem wszakże zatrzymania p. d'Auberval w roli kochanka od serca, zakład zaś „Le Foyer“, nie tracąc na pozór swego charakteru filantropijnego, z baronem Courtin na czele, będzie nadal eksploatowany przez bankiera, za pośrednictwem jego ludzi zaufanych, w taki sposób, by przyniósł odpowiedni procent od włożonego

weń kapitału, który da się wyciągnąć z pracy dziewcząt. Nadto Biron bierze na siebie uciszenie prasy, a groźba procesu z powodu uduszonej dziewczynki znika na skutek układu, który następuje pomiędzy baronem a rządem: wzaniani za cofnięcie przez pierwszego swej niewygodnej dla rządu interpelacyi w senacie, sprawa zostanie umorzona.

Tak więc ostatecznie wszyscy są zadowoleni w tej najlepszej na świecie Rzeczypospolitej!

Jak widzimy satyra, przedstawiona w tej formie, wygląda tu dosyć na paszkwil, zwłaszcza, że dotyczy sfer, których moralność nie była dotąd kwestyonowaną, i które pod tym względem stoją niewątpliwie we Francyi najwyżej. Nie można się też dziwić, że dyrektor Komedyi Francuskiej, p. Juliusz Claretie, będąc sam akademikiem, sztuki, rzucającej pośrednio na Akademię taką potwarz, przyjąć się wzdragają.

Krytykę świata politycznego dał po raz drugi p. Emil Fabre, w sztuce p. t. „Les Vainqueurs,” ścieśniając tym razem analogiczny temat nieco więcej, niż to uczynił poprzednio w „La Vie publique,” gdzie stara się dać ogólniejszy zarys „roboty“ wyborczej. Tutaj wpływy rozkładowe polityki w obecnym ustroju parlamentarnym Francyi ukazuje autor w życiu i charakterze jednego z takich polityków zawodowych, który, za przykładem innych, pozyskane na tem polu środki obrócił na korzyść swych widoków osobistych. Widzimy tu, na podanym przykładzie, jakich targów z sumieniem, jakich moralnych abdykacyj, a co za tem idzie—ile cierpień i poświęceń własnych serdecznych uczuć, ile bólów i klęsk nawet, wymaga to pozornie świetne zwycięstwo politycznego karyerowicza, otrzymane kosztem sprzeniewierzenia się najpierwszym i najświętszym obowiązkom względem kraju. Takim, godnym pożałowania zwycięzcą jest Piotr Daygrand, który z najskromniejszych początków doszedł do poważnego stanowiska przywódcy wpływowej partyi politycznej w parlamencie. Szczytem jego dążeń jest zostać ministrem. Gdy go poznajemy, znajduje się on w przededniu osiągnięcia swoich zamiarów, wywrócenie bowiem istniejącego gabinetu zależy od interpelacyi, którą ma wnieść nazajutrz, w przyszłej zaś kombinacyi ministeryalnej jemu przypaść musi pierwsze miejsce.

Do tego wszakże istnieje przeszkoda, którą koniecznie wprzód usunąć trzeba, a jest nią rezultat jakiejś sprawy niewyraźnej, do której był niegdyś wmięszany jako adwokat, czego obecne poruszenie, kompromitujące go zbyt głośno, odebrałoby mu możność zostania ministrem. Jest na to jeden tylko środek -- zatkać usta

dawnemu wspólnikowi, grożącemu obecnie szantażem, sumą 500 tysięcy franków, której ten żąda wzamian za zrzeczenie się swych pretensyj, a właściwie poprostu za milczenie. Pieniądzy tych chce mu użyczyć bankier Leprieur, rozumie się w obliczeniu, że mu się to sowiec opłaci, gdy Daygrand zostanie ministrem. Tymczasem jednak syn jego przychodzi go ostrzedz, że nieprzyjazny mu dziennik, prowadzący kampanię przeciw niemu, ogłosił oszczerczą wiadomość, jakoby pani Daygrand była kochanką Leprieura—tu więc sytuacja zaczyna przypominać tę, którą widzieliśmy w „Le Foyer.“ Daygrand wszakże na takie oszczerstwo—zwykła to broń w rękach rozpolitykowanej demokracji—od którego żaden człowiek stający na widowni nie jest wolnym, zważać nie będzie. Co najwyżej poszle syna, by wyzwiał redaktora owego dziennika. Tymczasem pani Daygrand, uprzedzając życzenia męża, przynosi mu potrzebną sumę od Leprieura, czem przekonany, że w oskarżeniu rzuconem na jego żonę jest coś prawdy, Daygrand czuje się po raz pierwszy w życiu zachwianym, chce się cofnąć i pieniędzy nie przyjąć. Ale to trwa krótką chwilę. Parę słów perswazyi jego politycznych przyjaciół, którym na tem zależy, wystarcza, by go przekonać. Daygrand pieniądze bierze, gabinet wyraca i zostaje ministrem, ale w chwili właśnie gdy przyjmuje powinszowanie swego tryumfu, telefon powiadamia go o śmierci syna, który zginął w pojedynku z redaktorem.

I oto czem ów tryumf został okupiony! Prócz jednego postąpienia pani Daygrand, dobrowolnie się zdradzającej, które jest nieprawdopodobnem, wszystko tu jest wzięte z życia i usprawiedliwione nie za pomocą rezonowania, ani sztucznej intrygi, ale charakterem działających postaci, zaobserwowanych i naszkicowanych nader żywo i prawdziwie. Rozwój akcji odbywa się w tej sztuce bardzo ściśle i logicznie, a w konkluzyi wyciągnąć z niej można wnioski ogólne, potępiające ustrój polityczny, który stanowiska przewodniczące w narodzie pozwala z największą dla tegoż szkodą zdobywać przedewszystkiem jednostkom najniesumienniejszym, widzącym wyłącznie w służbie publicznej rodzaj zyskownego monopolu dla siebie.

Do sztuk charakteryzujących w rysach satyrycznych dzisiejsze stosunki, panujące w stolicy Francyi, należy jeszcze komedia Jerzego Thurnera, p. t. „Passe-Partout“ (teatr Gymnase), której treść jest osnuta na tle zepsutych, równie jak polityczne, obyczajów świata dziennikarskiego. Rzecz ta, bardzo żywa, pełna werwy i humoru, w kombinacjach intrygi nieco wodewilowej, w połączeniu z pewnym powierzchownym sentymentalizmem, o cha-

rakterze nieco przestarzałym, daje atoli obserwację ludzi i życia w karykaturze nader trafnie uchwyconej.

Charakterystykę świata przemysłowego i demoralizacji towarzysztwa mieszczańskiego przedstawia znowu komedia Maurycego Donnay „La Patronne“ (teatr Vaudeville), w której autor wskazuje na niebezpieczeństwo wpływów zepsutego otoczenia na charakter z natury słaby i niczem nieprzygotowany do stawienia im oporu. Utwór ten jest nader urozmaicony i interesujący dzięki świetnym zaletom talentu autora „Amants,“ „Le Retour de Jérusalem,“ „Paraitre“ i t. p.

Zręczne sylwety postaci ze świata kosmopolitycznego przedstawia w nader fantastycznej karykaturze sztuka Abła Hermant „Trains de luxe“ (teatr Réjane), osnuta, jak i utwory jego poprzednie: „Les Transatlantiques“ i „Chaîne anglaise,“ na zajęściach mocno nieprawdopodobnych, ale zabawnych, wesołych, a przede wszystkim bardzo drastycznych.

W „La Furie“ (Komedia Francuska) Juliusz Bois ubiera w koturny starożytne, ze szczególną dbałością o archeologiczną dokładność materialnych akcesoryów, ultra-nowożytne idee antyklerykalne i socjalistyczne, zaś Saint-Georges de Bouhélier stara się dość niefortunnie w swej „Tragedie Royale“ (teatr Odeon) zamknąć w ramach tragedji klasycznej myśl nowożytną, ubraną w formy romantyczne.

Piotr Berton daje w komedji „La Rencontre“ (Komedia Francuska) dramat uczuciowy, w którym widać słabe odbicie znanych już sytuacji dramatycznych i konfliktów moralnych.

Wreszcie wymienić tu wypada jeszcze dzieła poetów: „La Route d'Emeraude,“ dramat wierszem Jana Richepin, podług powieści Eugeniusza Demolder (teatr Vaudeville); „Beethoven“ — rodzaj apoteozy genialnego muzyka w formie dramatycznej przez René Fauchois (teatr Odeon); „Le Bon Roi Dagobert“ — przeróbka legendy historycznej w sentymentalnej karykaturze, przez Andrzeja Rivoire (Komedia Francuska) i „La Mort de Pan“ — dziełko pięknego polotu lirycznego przez Aleksandra Arnoux (teatr Odeon). Oto niemal wszystko, co, wśród nowych utworów dramatycznych, które w ciągu ostatniego roku teatralnego przeszły przez główne sceny paryskie, zasługuje na pewną uwagę.

PIŚMIENICTWO.

K. OSTASZEWSKI-BARAŃSKI. *Panslawista polski—Adam hr. Gurowski*. Lwów, 1909. Nakładem wydawnictwa „Dziennika polskiego.“

Broszura K. Ostaszewskiego-Barańskiego dotyka tematu ciekawego i ważnego. Osobistość Adama hr. Gurowskiego, jego karyera polityczna i rola, jaką odegrał w r. 1831 oraz na Emigracji, wreszcie podjęta przezeń w publicystyce akcja panrosyjska, mogłaby być przedmiotem osobnego studium o głębszem podłożu ideowem. Autor dziełka, o którym mowa, zadania tego nie wykonał. Nie jest to, właściwie mówiąc, ani biografia, ani nawet oryginalny szkic publicystyczny o panslawizmie. Krótka, na encyklopedycznej wzmiance oparta biografia Gurowskiego, wypis z jego broszury p. t.: „Die letzten Ereignisse in den drei Theilen des alten Polen“ (1846 r.), kilka uwag historyczno-politycznych autora,—stanowi treść broszury. Nie zajmowałibyśmy przeto uwagi czytelnika rozprawką p. B., gdyby nie poruszony przezeń temat, jak to wyżej zaznaczyliśmy, istotnie ważny i ciekawy.

Adam hr. Gurowski jest postacią w swoim rodzaju typową. Wychodził z rodu o tradycjach jaknajhaniebniejszych względem kraju. Trzej bracia Gurowscy, synowie Melchiora, żyjący w drugiej połowie XVIII stulecia, byli to ludzie zdolni do wszelkich kompromisów z sumieniem, zdolni do każdej sprawy złej i szkodliwej dla Ojczyzny, o ile własny w tem widzieli interes; ludzie trzymający się klamki ambasadorów cudzoziemskich w Warszawie, co przynosiło im wcale pokaźne dochody. O Gustawie Rafale, ostatnim kasztelanie poznańskim, mówiono, że „patryotą nie był, lgnął do ludzi nikizemnych, był jednym z najobojętniejszych pod względem narodowym ludzi swej epoki.“ Należał do Delegacji z 1773 r., służył wojskowo pod Maurycym saskim, uwielbiał Maryę Teresę, od króla pruskiego otrzymał tytuł hrabiowski!

Umiął zatem wszędzie pozyskiwać przyjaciół. Roch Władysław Gurowski, brat poprzedniego, był najwybitniejszym przedstawicielem rodu, karyerowicz w wielkim stylu, wciskał się do wszystkich najbardziej śliskich a najzyskowniejszych dla siebie robót politycznych Familii; posługując na Sejmie konfederackim w Radomiu 1766 r., występował przeciw Sołtykowi i głosował za Delegacją. Był zdecydowanym poplecznikiem wszystkich mocarstw rozbiorowych, a przeciwnikiem reform.

W r. 1781 został w. marszałkiem litewskim, w latach 1785—87 pełnił zastępczo urząd marszałka wielk. koron. w Warszawie; na tem stanowisku wykazał wielką energię i sprężystość z rzetelnym dla stolicy pożytkiem. Trzeci syn Melchiora, Aleksander, ojciec Adama, był przeciwnikiem konfederacji barskiej, należał również do Delegacji 1773 r., niczem wszakże wybitniejszym się nie odznaczył.

Z taką tradycją rodową, wśród atmosfery przenikniętej serwilizmem i cudzoziemczyzną, wzrastał Adam hr. Gurowski. Lata jego młodości (ur. w 1805 r.) mało są znane; kształcił się w Niemczech, przebywał po ukończeniu studyów czas jakiś w Poznańskiem, następnie w Królestwie, gdzie poświęcił się rolnictwu.

W czasie powstania 1831 r. występował, wbrew swym tradycjom rodzinnym, jako jaskrawy zwolennik rewolucyi ludowej i teroru, jednocześnie wszakże, jak twierdzi Barzykowski, był szpiegiem, „poduszczał na klubie, a rankami i wieczorem wślizgiwał się do Zamku, aby uwięzionym generałom rosyjskim doniesienia czynić.“ Bohaterem był w słowach, w boju tchórzem nikczemnym; pałasza swego „nigdy ani ku obronie Ojczyzny, ani honoru użyć nie umiał.“ W nocy dn. 19 lutego 1831 r. po bitwie Grochowskiej, w której brał udział, jako ochotnik pierwszego pułku strzelców pieszych, uciekł Gurowski chyłkiem z szeregów najpierw do Warszawy, następnie do Kozłowa, gdzie się u ekonoma ukrywał. Gdy pierwsze dni niebezpieczeństwa minęły, zwrócił się Gurowski do Gustawa Małachowskiego, ministra spraw zagranicznych, z prośbą o paszport zagranicę. Małachowski, zadowolony z możności pozbycia się w ten sposób jednego z najczcwieńszych i najszkodliwszych warcholów, dał mu paszport, trzy tysiące złp. na drogę i kopertę zapieczętowaną lecz próżną, którą Gurowski, jako kuryer, miał złożyć w misyi polskiej w Paryżu. Jednocześnie uprzedził Małachowski przedstawicielstwo nasze w stolicy Francyi, by miało się na baczności.

Na emigracji rozwinął hr. Adam działalność hałaśliwą, pełną najgwałtowniejszych wystąpień, oskarżeń, ciskanych na prawo

i na lewo, wicherzeń i szkalowań. „Gurowski był prawdziwie potworą w emigracyi,“ pisze o nim Domejko. Istotnie ten jaskrawy krzykacz z obozu demokratycznego, hrabia i demagog, „wynalazca maszyny do wieszania arystokratów“ — jak go nazywa Słowacki — był jednym z najjaskrawszych przedstawicieli pewnego odłamku naszej emigracyi polistopadowej, pełnego „przekleństw i kłamstwa, niewczesnych zamiarów, zapóźnionych żalów, potępieńczych swarów.“

Jeden z założycieli Towarzystwa Demokratycznego, Adam Gurowski, pierwszy sprzeniewierzył się, i to w sposób haniebny, nie tylko idei narodowej wychodźstwa polskiego, lecz wprost już najelementarniejszym pojęciom polskości.

Ku zdumieniu i przerażeniu rodaków, ten „Marat polski,“ demagog zajadły, który żądał głośnego wywieszenia zasad rewolucyjnych wobec Europy, publicznie wyparł się swej narodowości, plwał w swych oświadczeniach na Polskę, jej ideały i społeczeństwo, usprawiedliwiał jej upadek, a wielkość i sławę wrogów wynosił. Za staraniem siostry, żony Frederiksa, wysokiego urzędnika w Petersburgu, otrzymał pożądaną amnestyę. Wyjeżdżając do Rosyi, miał się cynicznie wyrazić do znajomych, którzy go zapytawali, co się stało z jego demokracją i Towarzystwem Demokratycznym, które założył: „wepchnąłem was w błoto, kącicie się w niem teraz.“ Niedawno ogłoszone materiały do życiorysu Paskiewicza stwierdzają, że Gurowski działał na emigracyi w porozumieniu z namiestnikiem warszawskim. Po przyjeździe z Francyi otrzymał posadę w rządzie gubernialnym w Połocku, sprzeniewierzywszy jakąś znaczną sumę, uciekł do Anglii, gdzie poślubił podobno córkę jakiegoś lorda. Wyjechał następnie do Ameryki północnej, pracował w biurze ministeryum spraw zagranicznych, wydalony za jakąś niedyskrecyę, pozostał jednak w Ameryce. Zmarł w Waszyngtonie w 1866 r. Publicystą był zdolnym i wykształconym. Pisywał dużo i w kilku językach: polskim, rosyjskim, francuskim, niemieckim i angielskim. Oprócz licznych prac publicystycznych pozostawił mało u nas znane pamiętniki, wydane po angielsku.

Broszura p. Barańskiego, pisana w chwili „gdy na porządku dziennym stoi kwestya neo-slawizmu,“ miała na celu przypomnieć „pierwszego (!?) panslawistę polskiego,“ Adama Gurowskiego. Pozostawiając na stronie kwestyę, czy i o ile zyska idea neo-slawizmu na przypomnieniu „programu“ Gurowskiego, oceniamy szlachetne niewątpliwie pobudki, jakie skłoniły autora omawianej rozprawki do przypomnienia poglądów Gurowskiego na politykę rzą-

du pruskiego. Wszakże, zaznaczamy to najkategoryczniej, podanie „programu“ Gurowskiego krytyce ścisłej a obiektywnej i rozważenie tegoż w całokształcie działalności publicznej twórcy, da jedynie możność zrozumienia i sprawiedliwej oceny tego w swoim rodzaju niezwyklego człowieka. Bez przyłożenia należytej miary do pomysłów politycznych Gurowskiego, bez dostatecznego uwzględnienia pobudek kierowniczych w jego życiu publicznem, postać „panslawisty“ niesłusznie mogłaby być umieszczona w szeregu szlachetnych działaczy słowiańskich. Gurowski jest okazem *moral insanity* w naszej polityce narodowej, tę stronę jego charakteru należało silnie podkreślić w broszurze, przypomnieniu „potwory emigracyi“ poświęconej.

H. M.

ADAM SZELAĞOWSKI. *Z dziejów współzawodnictwa Anglii i Niemiec, Rosyi i Polski*. Lwów 1910. Nakładem Towarzystwa Wydawniczego, str. 316.

Pod tym obiecującym tytułem ukazała się monografia prof. Szelağowskiego, zawierająca sporo danych archiwalnych o stosunkach handlowych Gdańska z Anglią, a więc Polski via Gdańsk z Anglią oraz o zatargu Hanzy z Anglią i o ważnem stanowisku w danym sporze Rzeczypospolitej polskiej. Autor korzystał z rękopisów Biblioteki Narodowej w Paryżu, gdzie znalazł sporo materiału do dziejów handlu Rzeczypospolitej z Zachodem, z materyału rękopiśmiennego w British Muzeum w Londynie i archiwum miejskiego Gdańska oraz z królewskiego archiwum w Simankas. Książka więc prof. Szelağowskiego, jako zawierająca nowe fakty, bezwarunkowo jest cennym nabytkiem dla naszej literatury historycznej.

Załowac jednak należy, że autor nie uwzględnił bogatej literatury niemieckiej i angielskiej oraz monografij rosyjskich o rozwoju gospodarczym tych krajów, których współzawodnictwem w XVI i XVII stuleciu zajmuje się. Bez związku z całokształtem stosunków gospodarczych Polski, Niemiec, Anglii i Rosyi fakty, podawane przez autora, ilustrujące ich współzawodnictwo, wydawać się muszą czemś przypadkowym. P. Szelağowski powiada, że w pracach swych starał się zawsze na pierwszy plan wysunąć czynniki geograficzne i gospodarcze, jednak pomija w swej książce tak ważny czynnik atrakcyi dla handlu zachodnio-europejskich narodów z Moskwą, jak zawojowanie Syberyi, zwiększający

w kilkakroć handel drogiemi futrami Rosyi i przemawiający do wyobraźni ludów europejskich wieściami o nowej egzotycznej krajinie. Jeżeli w końcu XVI i na początku XVII w. Polska w handlu z Zachodem była krajem o bilansie handlowym czynnym i miała bilans bierny ze Wschodem tureckim, Rosya, mająca bilans bierny w handlu z Zachodem, czerpała nań siły gospodarcze z czynnego bilansu w handlu azyatyckim. Podbojów politycznych w Europie na Polsce dokonała Rosya przez podboje w Azji oraz siły gospodarcze, jakich one dostarczały.

Czynnik geograficzny uwzględnił autor, omawiając handel polski. „Zdawna łączyły Polskę ze Wschodem i Zachodem liczne drogi handlowe. Nie poprzestawała na Prusach. Szły do Polski towary także z Włoch, Węgier, Moskwy i Turcyi, jak bławatne, srebro, złotogłów, wino, konie, safiany i futra. Jeżeli jednak od połowy XVI w. Prusy dla Polski, zwłaszcza dla korony, nabierają szczególniejszego znaczenia, a handel pruski, zwłaszcza gdański, przeważa nad handlem środkowo-ładowym, to dzieje się to, zdaniem autora, wskutek właściwości geograficznej Polski, a mianowicie, spławu Wisły. On to—powiada autor—wytworzył węzeł ekonomiczny między Polską a Prusami. On to podrywał nici, wiążące Prusy z Hanzą, i skierowywał je na drogę uzależnienia od Polski nie tylko handlowego, ale i politycznego, a pod koniec także narodowego“ (str. 34).

O rozmiarach tego spławu i znaczeniu jego dla Rzplitej przekonywa nas relacya włoska z drugiej połowy XVI w. (około 1583 r.). Już wtedy Wisła była spławną od samego Krakowa do Gdańska, a równocześnie miasta takie, jak Sącz, Opatowiec, Sandomierz, Kazimierz, służyły za porty rzeczne; istotnie, do dziś dnia świadczą o tem zabytki architektoniczne, jak śpichrze pod Kazimierzem, rozsiane w wyż wymienionych punktach. Na ten rozwój spławu wiślanego wpływały liczne warunki, przedewszystkiem sama natura kraju: właściwości jego sieci hydrograficznej. Warunki te starannie rozważa autor.

Nie ulega wątpliwości, że i zachodnie województwa korzystały ze spławu wiślanego. Co do ziem, na prawym brzegu Wisły położonych, nie wyłączając województw ruskich, to Wisła była dla nich jedynem wyjściem do morza, a Kazimierz w lubelskiem w XVII w. słusznie nosił nazwę portu ruskiego.

„Cała ta sieć wodna zwracała handel Polski ku Bałtykowi.“

Dwa miasta, nad ujściem Wisły położone, były jakby kluczem tej rzeki i zarazem końcami spławu. Były to Elbląg i Gdańsk. Jedno nad lewym, czyli t. zw. Leniwką, która wpadała do zatoki

Gdańskiej, drugie nad prawem ramieniem Wisły, zwanem Wisłą Elbląską, która miała swój odpływ do zatoki Świeżej.

Zdawałoby się, że oba te miasta w równej mierze powinny być korzystać ze swego położenia przy ujściu Wisły. Tak jednak nie było z wielu przyczyn. Do najważniejszych należy zaliczyć samą naturę ujścia — nierównomierny stosunek ilości wód w obydwóch. Od niego zaś zależał dostęp statków bezpośredni z morza do portu. Stosunek ten w różnych wiekach przedstawiał się niejednakowo. Na zmienności tego czynnika opierała się rywalizacja handlowa obu miast, tak stara, jak dawno sięga osadnictwo.

Był czas, kiedy ramię elbląskie obfitowało w wodę tam, gdzie Wisła Nogatem łączyła się z zatoką Świeżą. Wtedy i handel kwitł nad zatoką. Starożytne Truso nad rzeką Elblązką, przy ujściu z jeziora Trusor położone, sięga swemi wspomnieniami w okres Wikingów i panowania handlu skandynawskiego na Bałtyku. Ale świetność ta trwała jeszcze do początku XIII w. Za ubytkiem wody w Nogacie, także i handel kwitnący Elblągą podupadł.

W XV i XVI stuleciu natura sama przechyliła szalę zwycięstwa na korzyść Gdańska.

Wisła Gdańska, czyli Leniwka, stała się dostępną dla największych okrętów, podczas gdy pod koniec XVI w. większe statki musiały być wyładowywane w zatoce, aby módtz na barkach dowozić towary do Elbląga. Równocześnie i Gdańsk i Elbląg musiały staczać walki z Nogatem, który stopniowo wykształcał się w pierwszorzędne ramię Wisły i zabierał wodę prawemu i lewemu ramieniu Bry. Hydrostatyczna przewaga Elbląga nad Gdańskiem nie była jednak tak stanowczą i nieusuwalną, ujście Elbląga mogło być za pomocą robót hydrostatycznych pogłębione.

Nawet z książki samego p. Szelągowskiego widać, jak za czasów Batorego chwiała się przewaga między Elblągiem i Gdańskiem. Na wielkiej arenie handlu europejskiego toczyła się walka między Hanzą a Anglią. Otóż Elbląg sprzymierzył się z Anglią, Gdańsk przez długi czas pozostawał lojalnym członkiem Hanzy.

Przedstawienie wpływu walki Anglii i Hanzy na miasta pruskie: Elbląg i Gdańsk i na ich stosunek do Rzeczypospolitej stanowi główną załugę książki p. Szelągowskiego. Podczas tej walki Gdańsk wyodrębnia się z Rzeszy niemieckiej i nie spadają nań represalie angielskie, jakie doświadczały miasta niemieckie. P. Szelągowski przytacza z *Hanseatica* charakterystyczny list handlowy

Elżbiety do Gdańska 23 stycznia 1598 r.: „Chociaż bowiem—pisze królowa—rozkazaliśmy opuścić granice naszego państwa Hanzeatom, którzy tak źle się nam odwdzięczyli, nie odebraliśmy poprzednich swobód poddanym polskim, po których lepszych rzeczy się spodziewany...”

Odtąd Gdańsk nietylko oponuje przeciw mandatom i środkom represyjnym przeciw Anglikom w Rzeszy, ale nawet nie bierze udziału w zjazdach, na których obrady o tem były prowadzone.

„Tu — słusznie zaznacza p. Sz. — wyraził się już rozłam pomiędzy miastami niemieckimi a miastami pruskimi, które napozór znajdowały się pod wspólną kopułą związku hanzeatyckiego, gdy w gruncie rzeczy interesy ich podzieliły się już wedle sfery przynależności państwowej—jednych do Rzeszy, drugich do Prus, jako części Rzplitej“ (171 str.).

P. Sz. stwierdza, że wyodrębnienie się z Hanzy Gdańska wywołało znaczny rozkwit jego. Autor konstatuje danemi statystycznymi upadek handlu Gdańska w czasie wojny szwedzkiej. „Gdy w latach 10 przed wojną liczba okrętów wynosiła przeciętnie 1200 rocznie (bywało i po 1867, jak w r. 1718), w pierwszym roku wybuchu wojny liczba ta spadła do 807, w następnym (1627) aż do 150, w trzecim do 172.“ Brakuje danych u autora co do stanu handlu zbożowego w Gdańsku po zawarciu rozejmu altwarskiego. Twierdzenie autora o upadku handlu gdańskiego, obciążonego cłami pobieranymi od okrętów przychodzących i wracających, prawdopodobnie jest słuszne, ale to nie owe cła fiskalne odegrały rolę decydującą, lecz to, że wojny za Jana Kazimierza, które podkopały siły produkcyjne Rzplitej, musiały znaleźć swój wyraz w zmniejszeniu handlu zewnętrznego Polski, a więc i głównego ogniska tegoż handlu — Gdańska.

W XVII w. Rosya występuje już jako państwo wywożące zboże. W r. 1624 i 1625 wywoziła jeszcze bardzo niewiele, gdyż 3 tysiące ćwierci rocznie. Autor powołuje się na opinię współczesnych, mianowicie Holendra, Nykerka, który utrzymywał, że Rosya może dostarczyć Niderlandom przynajmniej 20,000 łasztów zboża. Zbyt małe i zbyt niepewne, oparte na szacowaniu, dane o handlu zbożowym Rosyi przytacza autor, abyśmy mogli przyjść do wniosku, że Moskwa była w XVII w. poważnym konkurentem w handlu zbożowym Polski. Wiemy, że południe Rosyi, gdzie się rozrosła dziś eksportowa produkcya zbożowa, było słabo zaludnione, nie miało odpowiednich komunikacyj z Narwią i Archangielskiem, gospodarka folwarczna w centralnej i północnej Rosyi była bardzo mało rozpowszechnioną. Rosya w XVII w. jest po-

ważnym konkurentem Rzplitej w wywozie lasu i produktów drzewnych. O upadku przemysłu leśnego podaje też dane p. Sz. „Handel drzewem podpadł z powodu wyniszczenia lasów w Koronie. Coraz dalej w głąb Rzplitej musieli się zapuszczać kupcy gdańscy, ażeby sprowadzać drzewo i popioły. W r. 1586 spotykamy ich na Ukrainie w Owruczyźnie, w pierwszym dziesiątku XVII w. na Pokuciu, w czwartym (1638—1640) kupcy gdańscy palą lasy kaniowskie.“

W XVII w., z inicjatywy gdańszczan, podnosi się sprawa budowy kanału dla połączenia Dniepru z Wisłą.

W handlu jednak leśnym nie konkurencja rosyjska, ale upadek sił produkcyjnych Rzplitej, pewne wyczerpanie tymczasowe jej bogactw naturalnych, były czynnikiem decydującym.

Gdy obecnie warunki handlu zewnętrznego decydują w znacznej mierze o rozwoju sił produkcyjnych, w XVII i XVIII w. były one czynnikiem drugorzędym, pochodnym. O tem, zdaje się, zapomina autor.

Jakkolwiek p. Sz. nie wyczerpał zajmującego tematu współzawodnictwa Anglii, Niemiec, Rosyi i Polski w XVI i XVII w., lecz samo poruszenie tego tematu i zebranie pewnej ilości danych, jest już zasługą.

Książkę szpeci naiwna przedmowa, w której autor próbuje zwrócić pracę historyczną z dziejów porozbiorowych na przedrozbiorowe, gdyż uprawa pierwszych wiedzie do dyletantyzmu.

Książka jednak p. Szelałowskiego służy najlepszym dowodem, że i uprawa dziejów przedrozbiorowych nie wyłącza dyletantyzmu.

WŁ. STUDNICKI.

Z. PAUL DUBOIS: *Irlandya współczesna i kwestya irlandzka*. Z oryginału francuskiego streściła Stanisława Studnicka. Z przedmową Władysława Studnickiego. Wydawnictwo „Biblioteki Dziel Wyborowych.“

Dzieło Z. Paul Dubois „D'Irlande contemporaine et la question irlandaise“ wydane zostało w Paryżu w roku 1907. Rzecz dziwna, że kwestyą irlandzką zupełnie się u nas dotychczas nie zajmowano, choć historia niesamodzielnego politycznie narodu powinnyaby nas interesować.

Irlandya—ta kraina nędzy, głodu, emigracji, z wymierającą i wyrodnającą wskutek okropnej niedoli ludnością, ta nieszczęśli-

wa wyspa, której historia jest jednym pasmem klęsk — przedstawia jaskrawy dowód, jak dalece przemoc zniszczyć może wszystko w kraju podbitym.

Warunki naturalne zapowiadały Irlandyi piękną przyszłość. Handel tego kraju mógłby, zdaje się, ołdychać pełną pierśią dzięki falom omywającego go oceanu. Wymarzonym jest jego położenie na krańcowym zachodzie Europy, które czyniło go naturalnym pośrednikiem pomiędzy starym a nowym światem. Łatwość komunikacyi wodnej i sąsiedztwo z najbardziej ucywilizowanymi narodami świata, Anglikami i Francuzami, powinnyby były wpłynąć na rozpalenie w Irlandyi ogniska wysokiej kultury. Łagodny klimat i urodzajna gleba, mogłyby z Zielonej wyspy stworzyć śpichlerz europejski. Obfitość bogactw mineralnych—węgla i żelaza, tych podstaw współczesnego przemysłu, przy wielkiej ilości rzek i wodospadów, dostarczających siły taniej, wróżyła krajowi świetny rozwój.

Jedyną przyczyną, która w niwecz obróciła wszystkie te szczęśliwe warunki, był straszny ucisk, któremu uległa Irlandya. Anglia stała się murem wysokim, zasłaniającym zupełnie słońce od „siostrzanej wyspy.“ Dla siebie zagarnęła wszystkie dobre strony dogodnego położenia, pozostawiając swej sąsiadce same niedogodności.

Już w pierwszych wiekach po narodzeniu Chrystusa posiadała Irlandya swoją własną swoistą i wysoko stojącą cywilizacyę celtycką. Ciosem dla niej staje się najazd Anglosasów, którzy usadawiają się na wschodnim brzegu Irlandyi, a potem w ciągu wieków podbijają całą wyspę.

Ogniem i mieczem zniszczywszy kraj, odebrawszy tuziemcom całą ziemię, wzięli się Anglicy od końca wieku XVII do legalnego zgniecenia Irlandczyków za pomocą ustaw represyjnych. Zakazano wówczas wszelkich religijnych praktyk publicznych, procesyj, pielgrzymek, usunięto krzyże i dzwony. Wygnano biskupów i zakonników katolickich pod grozą wyroku śmierci na powracających. Pozbawiono katolików wszelkich praw politycznych, usunięto ich z urzędów publicznych, z zawodów wyzwolonych. Zakazano kupna gruntów i dzierżawienia ich na przeciąg czasu dłuższy nad lat 30, zakazano trzymania powyżej nad parę koni i to nie droższych od 5 f. st. W handlu i przemyśle nie wolno katolikom irlandzkim mieć więcej, niż dwóch uczniów. Pod karą więzienia, a nawet śmierci, nie wolno im uczyć dzieci, być opiekunami, choćby dzieci własnych, nie wolno wysyłać dzieci na naukę zagranicę. Zakazano się żenić z protestantkami, dziedziczyć po nich. Tylko

protestanci mają prawo tworzenia majoratów, katolicy muszą dzielić fundusz między dziećmi na części równe i t. d.

Nie tyle fanatyzm religijny grał tu rolę—powiada pisarz angielski Lecky—ile chęć zniszczenia materialnie Irlandyi, by wzbogacić się jej kosztem.

Naród podległy nie ma żadnych widoków powodzenia w walce ekonomicznej z narodem panującym, który ma po swojej stronie siłę.

Rolnictwo irlandzkie podcięła Anglia odrazu, sprowadziwszy ludność miejscową na poziom dzierżawców, opłacających wysokie czynsze właścicielom ziemi, landlordom. Kwestya agrarna stała się ziejącą raną Irlandyi, przyczyną jej głodów i nędzy. W kraju, gdzie ludzie nie mają co jeść, olbrzymie urodzajne obszary zamienione są na pastwiska landlordów.

Zabiła również Anglia przemysł i handel irlandzki. Kwitł on za czasów Jakóba I i Karola I; w XVII, a nawet jeszcze w XVIII stuleciu Irlandya przewyższała Anglię rozwojem przemysłowym. Tkacze angielscy podają do Wilhelma III petycję, popartą przez Izbę gmin, o stłumienie rozwoju przemysłu wełnianego w Irlandyi, na co król ten odpowiada: „zrobię w tej mierze wszystko, co będzie zależało odemnie.“ W r. 1663 usunięto Irlandyę od handlu kolonialnego, zabroniono potem przywozić do Anglii bydło, mięso, masło, zakazano dalej przywozu tkanin wełnianych i wełny surowej. Skrępowano przemysł lniany przez ustanowienie 25% cła wwozowego. Zakazano również fabrykacyi żagli, przywozu wyrobów szklanych, trumien, kapeluszy, prochu i t. p. Unia celna rujnuje Irlandyę, a wprowadzenie wolnego handlu dokończa zniszczenia jej przemysłu.

Z uciskiem ekonomicznym idzie w parze ucisk polityczny. Rozwój swobód konstytucyjnych w Anglii nie chroni bynajmniej Irlandyi od najrozmaitszych skrępowań. Najbardziej wolnościowe instytucje wyradzają się na gruncie irlandzkim i stają się nawet narzędziem do tem większego gnębienia żywiołu miejscowego. Z 90% praw, uchwalonych w parlamencie westminsterskim, Irlandya nie korzysta, dla niej kuja się prawa specjalne, „które nie utrzymałyby się w Anglii 6 miesięcy.“

Konstytucya nie przeszkodziła usunąć irlandzkie sądy wojenne z pod ogólnych przepisów prawnych. Nietykalność osobista stała się w Anglii zasadą niewzruszoną, a jednak landlordowie irlandzcy otrzymali w r. 1817 prawo w okręgach dotkniętych zaburzeniami sądzić i skazywać bezapelacyjnie za banicyę do 7 lat ludzi „bez zajęcia lub nieporządných,“ a więc każdego, posiadają-

cego broń lub spotkanego po godz. 9-ej w szynkowni. Aresztowanie i więzienie osób podejrzanych politycznie godziło się z prawami liberalnymi za czasów Parnella. Pomimo, że Anglicy tak cenią nietykalność swego ogniska domowego, swoją drogą jednak prawo z r. 1882 pozwala na rewizye nocne w okręgach „niespokojnych“ i aresztowanie osób, nocujących nie we własnem mieszkaniu. Instytucya sądów przysięgłych stała się w Irlandyi źródłem najniesprawiedliwszych wyroków, gdyż żywiół miejscowy jest stale usuwany ze spisów przysięgłych, tak, że Irlandczyków sądzą ich przeciwnicy polityczni.

W tych okropnych warunkach doszła Irlandya do ostatecznych granic nędzy. Emigracya wzrasta do rozmiarów kolosalnych. Liczba ludności w ostatnim 50-leciu zmniejszyła się z 8 milionów do 4½. Wskutek nędzy i alkoholizmu występuje pewne zwyrodnienie ludności. Wyraża się to w nienormalnie małym procencie urodzeń (13 na 100) i we wzroście chorób umysłowych.

Pomimo wszystko jednak nie dał się złamać duch narodu irlandzkiego, który nie zaprzestawał walki z Anglią. Szereg powstań, krwawe rozruchy rolne, zamachy terrorystyczne, zapełniają historję Irlandyi. Nawet na gruncie parlamentu angielskiego starają się Irlandczycy szkodzić Anglii, co wywołuje wśród Anglików chęć wyrzucenia ich z parlamentu, choćby za cenę autonomii Irlandyi.

W ostatnich czasach nastąpił wreszcie zwrot w stosunku Anglii do Irlandyi. Pierwszy krok na drodze reform został zrobiony w 1881 r. Klęska rolna lat poprzednich, masowe bunty włóścian pod sztandarem Zand Zigi, szalona agitacya, poniekąd nawet anarchistyczna, jej członków, sprowadzają prócz represyi wielką reformę agrarną Gladstone'a. Polega ona na wykupie gruntów landlordów przez dzierżawców przy udziale skarbu państwa. Jeśli dotychczasowe tempo wykupywania utrzyma się nadal, za lat 10 cała ziemia powróci w ręce Irlandczyków. Pomimo okresu reform, jaki potem nastąpił, angielska Izba gmin odrzuca w r. 1886 proponowany przez Gladstone'a Home Rule, to samo czyni Izba lordów w roku 1893. W każdym razie jednak nastąpił przełom w dotychczasowym systemie Anglików wobec Irlandyi i rozpoczęła się jego stopniowa likwidacya.

Książka Paul Dubois daje bardzo dużo ciekawego materiału. Jedno jej tylko można zarzucić: zbytnią chaotyczność niekiedy w sposobie wykładu. Zwłaszcza daje się to zauważyć we wstępie historycznym. Streszczenie polskie dokonane jest umiejęt-

nie, pod względem językowym wszakże zdarzają się tu i owdzie usterki.

WACŁAW DUNIN.

STANISŁAW KOZICKI: *Syndykaty rolnicze we Francji*. Wydawnictwo Centralnego Towarzystwa Rolniczego w Królestwie Polskiem № 3. Warszawa. Skład główny w księgarni E. Wende i s-ka, 1909.

Okres obecny znamionuje u nas silny ruch na polu zrzeszania się społecznego, szerzący się z wielką szybkością i wśród ludności wiejskiej. Ponieważ jest to jednak ruch młody, potrzebuje więc szukać wzorów dla swej pracy i organizacyi w innych krajach, które osiągnęły już pod tym względem większe rezultaty.

Najodpowiedniejszymi do takiego studyowania są stosunki francuskie, jako względnie więcej od innych do naszych zbliżone. Francya, choć jest krajem bardziej od nas przemysłowym, ale w każdym razie przewaga przemysłu nad rolnictwem nie jest w niej tak znaczną, jak w Anglii lub nawet w Niemczech. Prawie połowa ludności żyje tam bezpośrednio z rolnictwa, spełnia więc ona poważne zadanie w gospodarce narodowej. Z drugiej strony Francya jest także krajem drobnych rolników. Gospodarstwa małe poniżej 40 hektarów stanowią tam 97% ogółu i zajmują 55% całej przestrzeni. Ta ostatnia cyfra jest bardzo zbliżona do naszej, gdyż u nas gospodarstwa włościańskie zajmują 52% przestrzeni ogólnej.

Rozwój organizacyj rolniczych we Francji, zwanych syndykatami, bardzo przypomina historję naszych związków. Stowarzyszenia rolnicze we Francji powstały znacznie dawniej, niż u nas. Pierwsze nasze stowarzyszenie zawiązało się za czasów Księstwa Warszawskiego, we Francji zaś związki rolnicze istniały już w połowie XVIII wieku. Z początku tak samo, jak i u nas, należeli do nich więksi tylko właściciele, szerokie zaś masy drobnych rolników mało się niemi interesowały. Dopiero od r. 1883, gdy położenie rolnictwa znacznie się pogorszyło wskutek napływu zboża amerykańskiego, potrzebę zrzeszania się zaczęli odczuwać i drobni posiadacze ziemi. W chwili obecnej ilość syndykatów przekroczyła już 4,000, a ilość członków 700 tys.

Pierwsze syndykaty zaczęły swą działalność od zakupu nawozów sztucznych na wspólny rachunek członków. Dobre rezultaty, osiągnięte w ten sposób, zachęciły je do rozszerzenia swej

działalności i na inne przedmioty, potrzebne w gospodarstwie rolnem. W sprawie kooperatyw spożywczych, które się u nas szybko zaczynają rozwijać, wystawiono we Francyi zasadę niewzruszoną, iż syndykaty nie mogą się zajmować handlem detalicznym, gdyż do tego powinny być zakładane specjalne sklepiki na zasadach współdzielczych.

Wspólna sprzedaż wytworów rolniczych rozwinęła się znacznie słabiej. Przyczyną tego jest, że podobne organizacje wymagają znacznego już wyrobienia rolników, którzy muszą być wyprobowanej uczciwości, posiadać dobry i jednorodny towar, odznaczać się ścisłą akuratnością i t. p. Syndykaty francuskie zdolały nawiązać stosunki z dużymi odbiorcami, więc ze stowarzyszeniami spożywcze w miastach, z intendenturą i t. p.

Wielkie zasługi położyły syndykaty francuskie na polu rozpowszechnienia ulepszonych maszyn i narzędzi rolniczych. Zastosowały one do użycia maszyn zasadę współdzielczości. Maszyny są nabywane na wspólny koszt i dawane do użytkowania członków w pewnej określonej kolei.

Na polu hodowli inwentarza syndykaty francuskie nie mogą się pochlubić pracą bardzo wydatną. Pod tym względem stowarzyszenia duńskie, a nawet niemieckie, zrobiły o wiele więcej. Związki hodowlane, prowadzące rejestrację i przyczyniające się bardzo do ulepszenia rasy bydła, we Francyi są dopiero w zaczątku.

Pomimo, iż rząd we Francyi zajmuje się dość energicznie sprawą wykształcenia rolniczego, syndykaty ze swej strony bynajmniej tej dziedziny nie zaniedbują i wiele w niej zdziałały. Zasluguje na baczną uwagę naszą agitacja syndykatów za wprowadzeniem nauki rolnictwa do tak zwanych wolnych, nie rządowych szkół ludowych, których we Francyi jest sporo. Agitacja ta uwieńczyła się zupełnem powodzeniem i dała wyśmienite rezultaty. Jest to najłatwiejszy i najtańszy sposób szerzenia oświaty rolniczej i powinienby wobec tego znaleźć u nas najszersze zastosowanie.

Pod względem stowarzyszeń kredytowych w rolnictwie jesteśmy, o ile włączymy tu Poznańskie i Galicyę, dalej posunięci od Francuzów. We Francyi panuje ogólnie wielka zamożność, mniejsza zatem jest liczba potrzebujących pożyczki i mniejsze znaczenie mają organizacje tego rodzaju.

Bardzo świeżej daty są we Francyi urządzenia ubezpieczeniowe.

Ruch zawodowy robotników rolnych rozwinął się dopiero od r. 1891, poprzednio zaś tak samo, jak i u nas, przedstawiali oni żywioł zupełnie nieorganizowany. Rozbudzili tę kwestyę socjaliści, którym udało się zorganizować robotników leśnych i pracujących w winnicach. Dopiero później wzięły się do tej roboty syndykaty rolne, którym socjaliści wypowiedzieli walkę. Stowarzyszenia rolnicze we Francji zakładają syndykaty mieszane, do których należą zarówno pracodawcy, jak i robotnicy i wzajemnie regulują ceny i warunki pracy.

Syndykaty francuskie wreszcie organizują pomoc wzajemną, sądy rozjemcze i polubowne, zajmują się urządzaniem wspólnych zabaw i rozwojem życia zbiorowego wśród rolników.

Praca syndykatów francuskich w ciągu 25-lecia ich istnienia przedstawia się bardzo pokaźnie. Uspołeczniły one już całe pokolenie rolników. „Dusza ludności wiejskiej we Francji, nowa jej umysłowość wyrabia się w syndykatach”—pisze słusznie jeden z działaczy francuskich.

Możliwość podobnej pracy otworzyła się teraz i przed nami w Królestwie. To też książka p. Kozickiego ukazuje się bardzo na czasie. Przedmiot w niej ujęty jest jasno i przedstawiony treściwie.

W. D.

Polityka blizkiej przyszłości, przez d-ra J. Polaka, prezesa polskiego stowarzyszenia przyjaciół pokoju. Warszawa, w drukarni synów St. Niemiry, plac Warecki № 4.

Rozprawę swoją zaczyna autor niemal od początku świata, wdając się w zupełnie zbyteczne rozstrząsania o ograniczoności myśli ludzkiej, o pojęciu Boga i istocie człowieka i t. p. Nie wiele też wspólnego z naukowością ma przedstawiona na kilku stronach socyologia, traktująca o powstaniu społeczeństw, a później narodów i państw. Wreszcie „polityka” autora, będąca zbiorem pobożnych życzeń, nie odpowiada zupełnie dzisiejszym realnym warunkom. Żyje on w świecie oderwanych zasad, będących w krańcowej sprzeczności z rzeczywistością, to też woli na nią zamykać oczy. Jak wszyscy doktrynerzy, lubuje się we wszelkiego rodzaju deklaracjach. Wewnętrzne stosunki w państwach normuje jeszcze na podstawie „deklaracji praw człowieka” z rewolucji francuskiej. Z nowożytnymi kwestyami walki klasowej i walki narodowej wewnątrz jednego organizmu państwowego za-

łatwia się szybko. Uważa, że socjalizm osiągnął już wszystko, co mógł zrobić i wobec tego rola jego jest skończona. Co do ucisku jednej narodowości przez drugą zadawalnia się zarzuceniem głupoty uciskającym i pociesza się nadzieją, że takie państwa długo istnieć nie mogą. Nie chce słyszeć rozlegającego się głośno i brutalnie w stosunkach międzynarodowych hasła „siły przed prawem“, ucho autora chwytą tylko niedosłyszalne dla innych szmery budzącego się jakoby w polityce sumienia. Zwłaszcza nam, Polakom, w tych warunkach, w jakich żyjemy, trudno jest pogodzić się z różowym optymizmem d-ra Polaka, który jest zdania, że wszystko już zwiastuje blizki czas powszechnego pokoju. Deklaracya praw narodów, z którymi autor występuje, niestety, nie rozstrzyga tej sprawy.

W. D.

ALEKSANDER KRAUSHAR. *Wolność druku i dziennikarstwo warszawskie w czasach listopadowych (1830—1831)*. (Miscellanea historyczne XL). Warszawa, 1909. Str. 69.

Aleksander Kraushar w pracy swej pod powyższym tytułem dał wiązanekę ciekawych dokumentów, pochodzących z akt Rządu Narodowego za dyktatury Chłopickiego. Dotyczą one działalności Wydziału oddziaływania na opinię publiczną. Chłopicki dn. 21 grudnia własnoręcznie nakreślił zasady, które ten Wydział ma się kierować. Zasady te w rozwinięciu zostały przyjęte przez Radę Najwyższą dn. 27 grudnia; powołani zostali Gustaw Małachowski, Chłędowski i Wężyk do opracowania projektu, zawierającego środki, celem prostowania opinii w kraju i za granicą.

Środki, proponowane przez Wężyka, nie wydały się Radzie Najwyższej skutecznymi, wobec tego uznała za stosowne na razie jedynie ustanowienie przy Radzie Najwyższej Wydziału z Chłędowskim na czele, będącego pod kierunkiem sekcji dyplomatycznej dla informowania gazet francuskich, angielskich i niemieckich w sprawach polskich, co się zaś tyczy gazet krajowych, postanowiono wybrać jedną, która tyłkoby umieszczała wiadomości urzędowe. „Chcąc działać na opinię—mówiła Rada Najwyższa—należy unikać podejrzeń, że artykuły w dziennikach są oficjalne, Wężyk powinien pisać artykuły, prostujące mylne mniemania, ale to tylko, jako osoba zupełnie prywatna.“

Zarządzenia te wkrótce okazały się niewystarczającami, szczególnie kiedy wystąpiła „Nowa Polska“ z ostrą krytyką ca-

tego postępowania ówczesnego Rządu. Wojownicza postawa skrajnej prasy, domagającej się energicznych zarządzeń obronnych i zaczepnych, oraz usunięcia od steru rządu ludzi niedołężnych, utrudniała dyktatorowi w wysokim stopniu wszczęte podówczas z Petersburgiem rokowania. Wobec tego zażądał on od Rady Najwyższej opracowania projektu ukrócenia nadużyć słowa drukowanego. Rada skierowała tę odezwę do Komisji wyznań i oświecenia, dodając, aby ta opracowała jedynie projekt ukrócenia nadużyć, ale bynajmniej nie ścieśniania wolności druku. Upadek dyktatury, a w krótkim czasie potem rozpoczęcie kroków wojennych, skierowały gdzieindziej uwagę sfer rządowych, przytem większość publicystów z obozu radykalnego wyruszyła na plac boju i „Nowa Polska“ zapowiadała uroczyście, że odtąd opozycja jej będzie zawieszona.

Wojna i konieczność przestrzegania zupełnej tajemnicy obrotów wojennych, zmusiła Rząd do położenia tamy wielomówności dziennikarskiej. Zabroniono pismom podawać jakiegokolwiek wiadomości dyplomatyczne i wojenne z wyjątkiem tych, które udzielone zostaną przez kancelaryę rządową, dokąd zgłaszać się mogą redakcyje po ich otrzymaniu. Wkrótce jednak artykuł Mochnackiego w „Nowej Polsce“ p. t. „Nowa własność języka polskiego“ wywołał burzę, dzięki wystąpieniu w Sejmie posła Leduchowskiego. Redaktora pociągnięto do odpowiedzialności sądowej, sąd jednak go uniewinnił. Stało się to hasłem do ostrej kampanii dziennikarskiej, prowadzonej przez „Nową Polskę“ przeciw Sejmowi, wodzom i systemowi prowadzenia wojny, często jednak przekraczano w tem wszelką miarę, tak że inne pisma, jak „Kuryer Polski“, „Merkury“, „Dziennik powszechny“ uznały konieczność zaprowadzenia pewnych ograniczeń wolności słowa. Sejm, o który sprawa się oparła, zalecił Rządowi Narodowemu, aby ten, korzystając z prawa zawieszania praw własności i wolności w miejscach w stanie wojny ogłoszonych, użył swej władzy na ograniczenie wolności druku w przedmiotach wojennych, nadto aby przedstawił projekt do prawa, karzącego nadużycie druku w ogólności. Zdaje się, że projektowaną ograniczenie wolności druku nie doszło do skutku, tembardziej, że w samym Rządzie znajdował się bezwzględny obrońca wolności, W. Niemojewski, który bronił oskarżonych redaktorów. Sprawy o nadużycia słowa drukowanego kończyły się przeważnie na doraźnej admonicyi, z wyjątkiem tylko jednego wypadku, kiedy gubernator Warszawy, generał Krukowiecki, kazał autora artykułu w „Gazecie Polskiej“, wymierzonego przeciw ks. Czartoryskiemu aresztować i odesłać

na żołnierza do 5 pułku strzelców pieszych. Nie chcąc na przyszłość w podobny sposób załatwiać procesów prasowych, Rząd Narodowy przesłał do rozpatrzenia Komisyom rządowym: spraw wewnętrznych i sprawiedliwości swój projekt utworzenia specjalnego sądu przysięgłych dla przestępstw prasowych.

Najbardziej domagał się ścieśnienia wolności słowa Wódz Naczelny, generał Skrzynecki i to nietylko w rzeczach wojskowych, ale nawet w sprawach, nie podlegających zgoda jego kompetencji. Zdarzyło się to właśnie z powodu polemiki dziennikarskiej, jaka się wywiązała po wykonaniu wyroku śmierci na obywatelu ziemi Mazowieckiej, Rafale Cichockim, skazanym na śmierć za dostarczanie dobrowolnie armii nieprzyjacielskiej żywności, co nawiasem mówiąc, jak stwierdza generał Prądzyński w swych „Pamiętnikach,” nie należało do rzadkich wyjątków. Otóż generał Skrzynecki dopatrzył się w artykule, umieszczonym w „Gazecie Polskiej,” a napisanym przez Tadeusza Ujazdowskiego, szerzenia nienawiści do klas zamożniejszych i żądał surowego ukarania autora. Rząd Narodowy jednak, nie chcąc rozmarywać tej sprawy przed kratkami sądowemi, nakazał tylko redaktorowi „Gazety Polskiej” umieścić inny artykuł, zbijający wywody poprzedniego.

Sprawa wolności druku stała się raz jeszcze przedmiotem obrad sejmowych na posiedzeniu z dn. 4 czerwca, kiedy poseł Jędrzejowski wystąpił przeciw Lelewelowi za mowę jego, wydrukowaną w „Gazecie Polskiej” i domagał się powściągnięcia prasy. Dyskusya nie dała jednak żadnych pozytywnych rezultatów, stwierdzono tylko, wobec braku odpowiednich norm w kodeksie karnym, konieczność opracowania tej kwestyi i zaprowadzenia sądów przysięgłych do przestępstw prasowych.

W miarę rozwijających się wypadków i niepomyślnych wyników wojny, ton prasy warszawskiej stawał się coraz ostrzejszy; znajdowały w niej odbicie walki, toczące się w samem łonie Sejmu o zmianę Rządu, uderzano z łamów dziennikarskich gwałtownie przeciw osobom, stojącym na czele Rządu i wojska. Niefortunna wyprawa łsobycka, aresztowania generałów i osób prywatnych, oskarżonych o spisek, dokonane z rozkazu Skrzyneckiego w końcu czerwca, dostarczyły opozycyjnym dziennikom, jak „Polak Sumienny,” „Nowa Polska” i „Kuryer Polski,” sporo materiału do ostrych wystąpień przeciw Skrzyneckiemu i Rządowi Narodowemu.

Skrzynecki ponowił żądanie powściągnięcia dziennikarstwa stołecznego. Rząd Narodowy przyznał się do niemożności uczynienia tego ze względu na zawarowaną prawami kardynalnemi

wolność druku, przyczem objaśniał, że krępując temi ograniczeniami prasę, mógłby się pozbawić tej moralnej pomocy, jakiej doznawał od niej przez krzepienie wytrwałości, pobudzanie zapału i ofiarności w społeczeństwie. Tych sprzeczności Rząd Narodowy nie umiał, nie był w stanie pogodzić, pozostawała mu jedynie droga perswazyi w stosunku do oskarżonych redaktorów. Z upadkiem po nocy 15 sierpnia Rządu Narodowego kończy się też działalność Wydziału dla kierowania opinią publiczną.

Należy się wdzięczność p. Krausharowi za wydobycie z archiwów tych bądź co bądź ciekawych dokumentów, wyświetlających rolę i stanowisko prasy w powstaniu 1831 roku, przedmiotu, zasługującego na specjalną monografię.

J. I.

KANTAK JULIUSZ KAMIL, KS.: *Geschichte des Bernardiner Klosters zu Bromberg*. Poznań, 1909.

Zachęcony przez ks. biskupa Likowskiego, świątłego kierownika archidiecezyi gnieźnieńskiej, wybrał ks. Kantak, jako temat do pracy doktorskiej, „Historję Klasztoru Bernardynów w Bydgoszczy,” w ten sposób powstała rozprawa, która ma rozpocząć cykl szeroko-planowanych prac uczonego kapłana. Ks. Kantak wychodzi ze słusznej zasady, że opracowanie historii Bernardynów, jako zakonników, którzy pochodzili z ludu lub sfer zbliżonych do niego, którzy obracali się stale wśród ludowych i mieszczańskich klas, może dostarczyć ważnego materiału do dziejów kultury duchowej i materialnej niższych warstw naszego społeczeństwa. To też ks. Kantak nie myśli ograniczyć się do badań nad dziejami bydgoskich Bernardynów, lecz na dalszym planie postawił monografię kustody poznańskiej i warszawskiej, wreszcie dzieje całej Wielkopolskiej prowincyi Bernardynów.

Istnienie kroniki klasztoru Bernardynów w Bydgoszczy, wydanej niedawno przez księdza Kantaka, wreszcie bogactwo materiałów archiwalnych, przechowywanych w zbiorach diecezjalnych włocławskich i gnieźnieńskich, ułatwiło autorowi zadanie. Podmałowując w miarę sił tło historyczne, przedstawił nam ksiądz Kantak założenie klasztoru bydgoskiego, które nastąpiło w roku 1480. Klasztor bydgoski był więc 20-tym klasztorem Bernardynów otworzonym w Polsce pomiędzy latami 1453—1480. Pierwsze lata płyną Bernardynom bydgoskim w pomyślności, jałmużna splywa obfitym strumieniem, i w ciągu lat wykończają zakonnicy

budowę kościoła i okazałego klasztoru. Brac zakonna staje się coraz liczniejsza i w jej gronie znajdują się wybitni i wykształceni kaznodzieje, na których czele postawić należy Cherubina Pictoris, Węgra, wychowanego w krakowskim uniwersytecie 1496—1498. Okres reformacyi nie odbija się źle na losach klasztoru, Bernardyni w dalszym ciągu cieszą się wpływami dzięki dobrym kaznodziejom; ofiar i darów wpływa tyle, że klasztor aż zaczyna tracić charakter żebrzącego zgromadzenia. Przepych rozwielmożnia się wśród braci; w pierwszej połowie wieku XVII klasztor zyskał sobie nawet sławę posiadania najmniejszych łóżek w Wielkopolsce. Ale już od roku 1613 zaczyna się wśród Bernardynów ruch ku reformie: zakonnicy zrzekają się przedewszystkiem stałych rent, jako sprzeciwiających się ich regule, przepych zostaje usunięty, mnisi znów zaczynają żyć z jałmużny. Obostreżenie regulaminu nie całej braci wydało się możliwem do zniesienia; w r. 1623 tylko 22 zakonników godzi się pozostać w Bydgoszczy, reszta usuwa się do innych klasztorów. Ale ci, którzy pozostali, starają się spełniać swe obowiązki sumiennie i przy pomocy szeregu bractw wywierają wpływ na wiernych.

Nieszczęścia całego kraju odbijają się oczywiście i na Bernardynach bydgoskich, więc też najazd szwedzki 1655 r. sprowadza za sobą ruinę klasztoru. Za Sobieskiego klasztor odżywał powoli, nawet przez czas dłuższy odbywali w nim studia filozoficzne ci świeżo przyjęci mnisi, którzy otrzymać mieli święcenia kapłańskie. Studentom bernardyńskim wykładano metafizykę, logikę, fizykę i kosmologię. Nowy okres nieszczęść klasztoru rozpoczęło najście Karola XII w roku 1702. Szwedzi splądrowali klasztor, bracia rozbiegli się po okolicy, na dopełnienie nieszczęść przyszła zaraza morowa. Ale i te ciosy nie były śmiertelne: klasztor przeżył je tak, jak później przeżył rządy pruskie i wojny napoleńskie. Za czasów Księstwa Warszawskiego widzimy jeszcze Bernardynów bydgoskich opiekujących się rannymi jeńcami wojennymi. Ale dni klasztoru były już policzone: w r. 1822 liczy klasztor już tylko 3 zakonników, w roku 1829 klasztor przestał istnieć na zawsze. Całą więc trzechset pięćdziesięcioletnią historię klasztoru odsłania przed nami ks. Kantak w swem ciekawem dziełku; jednego tylko żałować może czytelnik: autor za mało zwrócił uwagi na kulturalne dzieje zakonu; a przecież materiału źródłowego nie zabrakłoby ks. Kantakowi. Należałoby wyczytać się w społeczne pamiątki, których już w wieku XVII i XVIII nie brakło, przestudyować księgi konsystorskich sądów, a możebyśmy się naprawdę zapoznali z bydgoskimi zakonnikami,

z ich życiem wewnętrznem, z ich przymiotami i wadami, z ich kulturą umysłową i obyczajową, z ich stosunkiem do ludu. Takie pogłębienie dodałoby więcej jeszcze wartości cennej pracy uczonego kapłana.

I. B.

GIEDROYĆ FR., D-R: *Wodociągi i kanały miejskie*. Warszawa, 1910.

Długi szereg prac z dziejów higieny i medycyny zawdzięcza literatura polska d-r. Giedroyciowi. Obecnie uczony lekarz-historyk zwiększył swój literacki dorobek monografią, poświęconą polskim wodociągom i kanałom. Jest to owoc długich i mozolnych badań archiwalnych. Autor zgromadził w swem wydawnictwie dokumenty, dotyczące się wodociągów w 36 miastach Rzeczypospolitej. Już ta sama ilość miast posiadających wodociągi świadczy wymownie o rozwoju kultury polskiej, autor jednak przypuszcza, że w wieku XVI było w Polsce jeszcze więcej miast, posiadających te najniezbędniejsze urządzenia higieniczne. Kraków wybudował wodociąg już w końcu w. XIV-go, w wieku XV-ym budują wodociągi: Lwów, Lublin, Krośno, Pilzno, Nowy Sącz. W wieku XIV, XV i XVI istnieje nawet w Polsce szereg specjalistów od robót wodociągowych. Co się tyczy kanałów, to te po miastach polskich mniej były rozpowszechnione. D-r. Gedroyciowi udało się więc wysledzić urządzenia kanalizacyjne jedynie w miastach: Kazimierzu, Poznaniu, Krakowie, Wilnie, Lublinie, Płocku, Lwowie i Warszawie. Najstarsza wzmianka o urządzeniu kanalizacji w Krakowie przypada już na rok 1338. I pod tym względem więc stolica Piastowska przodowała miastom polskim. Oto są w najogólniejszych zarysach wyniki cennej pracy d-ra Giedroycia. Co się tyczy samego układu monografii, to niezupełnie się z nim można zgodzić. Gdyby szanowny autor we wstępie zgromadził razem wyniki swych badań, zaś tekst odnalezionych dokumentów umieścił w jednym dodatku na końcu dzieła, całość stałaby się dostępniejszą dla czytelników.

I. B.

Kronika miesięczna.

Ostatni akord smutnego roku. — Szkoła nauk politycznych i uzasadnienie jej potrzeby.—Uroczystości i zjazd lwowski.—Myśli d-ra Balickiego o wychowaniu narodowem.

Rok dobiega końca. Gdybyśmy skorzystali z tego momentu, w którym data kalendarzowa przesuwa się z uderzeniem zegara i zwiastuje narodziny nowego dnia, gdybyśmy w momencie tym podsumowali wszystkie pozycje naszego życia zbiorowego i wprowadzili je do bilansu—bilans ten wypadłby niepomyślnie, a rachunek strat przewyższyłby w nim znacznie skromne zyski. Nie dotykając już spraw innych, szczególnie czarno wyglądałyby w tem zestawieniu rocznem konjunktury polityczne, znamionujące kurs przeciwpolski w państwach rosyjskiem i pruskiem. Żadnych złudzeń, żadnych nadziei na jutro. Powiedziano nam to aż nadto wyraźnie, a fakt za faktem dowodził, że istotnie na żadną zmianę stosunków liczyć nie można. Świadomość tego wywołała w całym społeczeństwie przygnębienie i rozgoryczenie wielkie. Ostatnią kroplą wreszcie w tym kielichu trosk, zawodów, upokorzeń i bólów, które podawał nam rok 1909, jest projekt ministeryalny samorządu miejskiego w Królestwie Polskiem.

Świeżo właśnie ukończyła w Petersburgu obrady komisya, powołana do oceny tego projektu. Prace tej komisji posiadały wyraźną tendencję ograniczenia wszystkiego, co nawet według pierwotnej, ministeryalnej redakcyi, mogło gwarantować przyszłym radom miejskim w Królestwie Polskiem ich charakter *polski*. W ten sposób projekt, o ile wejdzie w życie w tej postaci, nie może być uważany przez społeczeństwo polskie inaczej, jak za nowy cios, wymierzony przeciw niemu, jedyne bowiem ustępstwo, jakie zrobiono Polakom w tym samorządzie, polega na tem, że

radcowie-Polacy będą mieli prawo przemawiać na posiedzeniach rad miejskich po polsku i otrzymywać od zarządów miejskich odpowiedzi po polsku, jeżeli w tym języku zwrócą się do nich. Natomiast cała manipulacja biurowa organów samorządu, oraz korespondencya zarządów miast, nie tylko z władzami rządowymi, ale i z innymi organami samorządu, ma się odbywać po rosyjsku, „z możliwością przekładu na język polski,“ co, jak słusznie określił *Głos Warszawski*, znaczy, że „jeżeli zarządy miast zechcą mieć przyjemność oglądania w aktach języka polskiego, to mogą podnieść budżet swych wydatków, pomnożyć personel urzędniczy i przerabiać wszystko po raz drugi po polsku.“

Przyjrzyjmy się jednak projektowi bliżej, w ważniejszych przynajmniej jego punktach.

Organami samorządu miejskiego w Królestwie Polskiem mają być:

1) *Rady miejskie*, złożone z radnych, wybieranych na lat 4, w liczbie od 30 do 160, zależnie od cyfry ogólnej ludności obu płci; miasteczka o ludności mniej niż 10,000 będą miały 30 przedstawicieli, liczące więcej niż 10,000—40 i t. d. o 10 radnych więcej na każde 10,000 aż do 100,000 ludności. W miastach z ludnością od 100,000—500,000 radnych będzie 120, w miastach zaś, posiadających więcej niż $\frac{1}{2}$ miliona ludności—160. Rada mieć będzie swego prezesa, wybranego w m-cu styczniu z grona radnych na jeden rok. Prezes ów pełnić będzie obowiązki honorowo i niewolno mu brać udziału w żadnej gałęzi zarządu miejskiego. Rada ma prawo wybrać nadto wiceprezesów w liczbie, jaką uzna za stosowną. Żydzi nie mogą być kandydatami na te godności. Radni *nie pobierają żadnego wynagrodzenia* i z chwilą objęcia urzędów składają uroczyste ślubowania według form, przez ustawę wskazanych.

Rady miejskie obradują w zakresie swego orzecznictwa nad wnioskami gubernatora, ministra spraw wewnętrznych, zarządu miejskiego, prezesa Rady, radnych, oraz rozstrzygają prośby i skargi osób prywatnych.

2) *Zarządy miejskie*. Liczbę członków Zarządu pod przewodnictwem prezydenta określa Rada, lecz najmniej powinno ich być 2 do 4 w miastach z ludnością do 50,000; 6-u w miastach z ludnością do 100,000, a najwięcej 12-u. Na wyższą liczbę trzeba wyjednać decyzję ministra spraw wewn., lecz zawsze w granicy 110 radnych.

3) *Prezydenci, wiceprezydenci*, ewentualnie zwani *zastępcami*, w miastach o ludności mniejszej niż 25,000, wreszcie *burmistrz* w miastach powiatowych i miasteczkach.

4) *Komisje rewizyjne*, złożone co najmniej z 5 osób, wybranych z pośród radnych, nie pełniących żadnych innych obowiązków w samorządzie.

Nie wdając się w szczegóły tego ustroju, przechodzimy do praw wyborczych, jako najbardziej interesujących.

Otóż prawa wyborczego po miastach nie będą mieli wszyscy mieszkańcy, ale tylko te osoby, które zadość uczynią podwójnemu cenzusowi, określonemu przez projekt, opiewający, że *wyborca* powinien być poddanym rosyjskim płci męskiej, liczącym najmniej 25 lat wieku, oraz posiadać dawniej niż od roku w granicach miejskich nieruchomość, obciążoną podatkiem miejskim, w charakterze właściciela lub dożywotnika, lub zajmować mieszkanie, którego cena najmu w roku poprzedzającym rok wyborczy podana została do podatku mieszkaniowego od więcej niż 60 do więcej niż 360 rb., zależnie od kategorii, do jakiej miasto pod tym względem zaliczone zostało. Kategorij tych jest sześć. I tak: lokal musi mieć cenę najmu wyższą nad 360 rb. rocznie w miastach, gdzie statystyka oznacza liczbę mieszkańców więcej niż na 700,000; wyższą nad 180 rb. w miastach z ludnością ponad 250,000; wyższą nad 140 rb. w miastach z ludnością ponad 50,000; wyższą nad 95 rb. w miastach z ludnością ponad 20,000; wyższą nad 72 rb. w miastach z ludnością ponad 10,000, wreszcie w małych miasteczkach cenzus wyborczy posiadają wszyscy, opłacający komorne ponad 60 rb. rocznie.

Oprócz cenzusu majątkowego, pozbawiającego, jak widzimy, *ogromną większość ludności miejskiej praw wyborczych*, projekt ustawy wprowadza jeszcze pierwiastek narodowo-plemienny i tworzy trzy kurye wyborcze: *rosyjską, żydowską i ogólną, z resztą ludności*.

Należenie do kuryi rosyjskiej zależy *wyłącznie* od uznania generał-gubernatora, któremu spisy Rosyan winny być przedstawione w ciągu jednego miesiąca, najpóźniej 1 listopada.

Każda kurya *wybiera radnych oddzielnie* i z pośród *swego grona*, lecz uprawnienia kuryalne są różne, gdyż Żydzi mogą wybrać najwyżej $\frac{1}{5}$ ogólnej liczby radnych i tylko wówczas, gdy ludność żydowska przewyższa 50% ogółu mieszkańców. Gdzie zaś stosunek ten jest niższy od 50%, liczba radnych Żydów ma odpowiadać stosunkowi liczby odnośnych wyborców do cyfry z dwu innych kuryj, nie może jednak przenosić $\frac{1}{3}$ ogółu radnych. Resztę radnych wybierają kurye *rosyjska i ogólna*, proporcjonalnie do liczby wyborców w każdej z nich, z tem jednak, że zawsze 10 wyborców Rosyan ma prawo wybrać 1 radnego.

Do projektu samorządu miejskiego w Królestwie, doręczonego biorącym udział w naradzie petersburskiej, dołączone zostały dane statystyczne, dotyczące podziału ogółu ludności poszczególnych miast polskich w dn. 14 stycznia 1909 r. według trzech grup: osób pochodzenia rosyjskiego (kurya I), Żydów (kurya II) i *reszty ludności* (kurya III), tudzież takiego samego podziału wyborców, mających cenzus z tytułu posiadania nieruchomości i z tytułu ceny wynajmowanego lokalu.

Z danych tych, według zestawień *Głosu Warszawskiego*, wynika, że w dn. 14 stycznia r. b. na 116 miast w Królestwie Polskiem 73 miały większość żydowską (w r. 1908—71). Z 19 miast, liczących powyżej 20,000 mieszkańców, większość żydowską posiadają *Lublin Suwałki* i *Siedlce*. Z miast, liczących powyżej 10,000 mieszkańców — 15 ma większość żydowską, a z 75 miasteczek, liczących poniżej 10,000 mieszkańców—55 ma większość żydowską.

Jeszcze ciekawiej wyglądają dane, dotyczące osób „pochodzenia rosyjskiego.“ W Warszawie np. do grupy tej, oprócz osób prawosławnych, zaliczono mniej więcej połowę ludności wyznania ewangelickiego, w Łodzi natomiast, o ile wziąć pod uwagę dane za rok 1908, przypuszczać należy, że do grupy osób pochodzenia rosyjskiego włączono wszystkich Niemców, nawet będących poddanymi rzeszy niemieckiej. Tak samo postąpiono na ogół i w innych miastach prowincjonalnych. W ten sposób *ludność rosyjska* stanowi znaczny odsetek w miastach zachodnich Królestwa, jako to: Kalisz posiadać ma 20%, Łódź 28%, Pabianice 15%, Zduńska Wola 19%, Zgierz 29%, Ozorków 21%. Nie trudno dowieść, że do rachunku tego weszli w ogromnej większości Niemcy. „W Pabianicach np.—podaje *Głos Warszawski*—dane za rok 1908 wykazują prawosławnych 202, luteran 5,248, obliczenia zaś urzędowe za rok 1909 podają 5,450 Rosyan, czyli najwyraźniej sumę dwu liczb powyższych. W Łodzi dane za r. 1908 podają prawosławnych 9,241, protestantów 88,992, obliczenia zaś za r. 1909—„Rosyan“ 98,233.

Zwracają też uwagę dane co do miasta Chełna, który ma liczyć 38% Rosyan, tymczasem dane Bractwa Chełmskiego, ogłoszone przez prof. Francewa, podają 15% prawosławnych. Tutaj wliczono, dla powiększenia liczby prawosławnych, konsystujące w mieście wojsko, wbrew przyjętej w statystyce urzędowej zasadzie.

Cyfry te świadczą aż nadto wymownie o tendencjach, jakie ożywiały twórców projektu i członków komisji, obradującej nad

nim w Petetersburgu, co zresztą stwierdza już bez zastrzeżeń wniesiony do projektu w ostatniej chwili przez Rząd artykuł, na którego mocy Rady miejskie w Królestwie Polskiem będą miały obowiązek przyjmowania na swe posiedzenia delegata miejscowego konsystorza prawosławnego, gdy o delegatach konsystorzów katolickich mowy niema.

Nie możemy tu obszerniej omawiać drobniejszych, a następujących niejedną uwagę punktów projektu. Stanie się on materiałem do rzeczowej i wyczerpującej dyskusji dopiero wówczas, gdy wejdzie do Dumy i wyłoni się tam w ostatecznej swojej formie. Nie trudno jednak przewidywać, że forma ta zmianom zasadniczym już nie ulegnie i że „reszta ludności“ Królestwa, poza grupą osób pochodzenia rosyjskiego i kuryi żydowskiej, nie będzie miała powodu do uznania samorządu za taki, jakim go w mowie swojej określił J. E. p. prezydent ministrów, wyrażając nadzieję, że będzie to „samorząd polski, działający w zgodzie z zasadami państwowości rosyjskiej.“

*

*

*

Projekt założenia w Krakowie polskiej szkoły nauk politycznych nabiera cech konkretnych. Sprawa oparła się obecnie o sejm, a inicjatorowie w osobach profesorów Roztworowskiego, Czerkawskiego i Jaworskiego opracowali już ewentualny program przyszłej uczelni. Według tego programu nauka w szkole ma trwać dwa lata. Obejmie ona przede wszystkim prawo i administrację wszystkich trzech państw, pod których rządami żyje naród polski, więc Rosyi, Austrii i Prus. Obok prawa politycznego i ogólnego ustroju administracyjnego i samorządowego, traktowane będą oddzielnie niektóre ważniejsze działy administracji, jak szkolnictwo, komunikacje, skarbowość i t. d.

Dalej specjalny nacisk położony będzie na wykład polityki ekonomicznej w jaknajszerszem znaczeniu, poparty statystyką i historią ważniejszych reform. Wreszcie, osobny cykl wykładów stanowiłyby ustawy polityczne i administracyjne Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego.

Po przesłuchaniu czterech semestrów i złożeniu odpowiednich colloquiów i rozprawy, słuchacz otrzymałby dyplom.

Warunek przyjęcia stanowiłaby matura jakiegokolwiek ze szkół polskich. Ciało profesorskie składałoby się z najwybitniejszych specjalistów w danych gałęziach nauki.

Nie dotykamy tu szczegółów, o których mówić zawczasie, skoro samej szkoły jeszcze niema. Projekt jej założenia godzien jest wszakże bliższej uwagi już jako projekt, niezależnie od tego, kiedy i w jakich formach ostatecznych urzeczywistni się ku pożytkowi narodu.

Przedewszystkiem nietylko Galicya, ale i my tu, w Królestwie, bodaj jeszcze bardziej odczuwamy potrzebę pogłębienia w społeczeństwie wykształcenia politycznego. Długie lata odrętwienia i zastoju polskiej myśli politycznej, odsunęły całkowicie umysły od poważniejszego, naukowego traktowania zagadnień politycznych wogóle, a zagadnień polityki narodowej w szczególności. Wykształcenie polityczne Polaka współczesnego w naszej dzielnicy oparte jest w $\frac{9}{10}$ na szeregu broszur agitacyjnych, przeczytanych w okresie studyów uniwersyteckich, na jakim takim zaznajomieniu się z podstawami nauk prawno-państwowych — i to wyłącznie przez prawników — wreszcie, na dorywczo czerpanych z dzienników wiadomościach o wypadkach najświeższych. Nie można się wobec tego dziwić, że liczymy wśród siebie tak mało ludzi, posiadających własną orientację polityczną, wyrobionych w kierunku myślenia politycznego i zdolnych do podjęcia trudnej roli i odpowiedzialnych obowiązków, jakie spadają na reprezentację polską w Petersburgu.

Poważne braki w tym kierunku odczuwają ludzie skądinąd bardzo wykształceni i przygotowani zupełnie do działalności i pracy obywatelskiej. Cóż więc dopiero mówić o szerszych kołach społeczeństwa, o tych kołach, które przez całe czterdziestolecie popowstaniowe przyzwyczaiły się jedynie do reakcyi uczuciowej w dziedzinie polityki, do odruchowego zajmowania stanowisk odpornych, mających na celu samoobronę narodową.

I te koła jednak przekonywać się zaczynają powoli, że dawna taktyka wobec zmienionych warunków nie wystarcza, że chcą unikać błędów i wytrwale dążyć do zdobywania i rozszerzania praw narodowych, nawet w dobie takiego chaosu i zamętu, jaki wytworzyła w stosunkach konstytucyjnych państwa rosyjskiego doba rozwieleniającej się reakcyi, należy obok uczucia posiadać także rozum polityczny, który jedynie potrafi prowadzić do zwycięskich ataków zdrowe instynkty narodowe.

Rozum ten trzeba zdobyć, a zdobyć go można tylko przez naukę, przez rozszerzenie i pogłębienie swoich wiadomości, co

staje się rzeczą coraz konieczniejszą wobec faktu, że sprawa polska, jak tego nieustannie dowodzą stosunki dyplomatyczne między mocarstwami, nie utraciła bynajmniej charakteru międzynarodowego.

Wchodząc z mocy samego faktu rozbiorów w rdzeń polityki wewnętrznej Rosyi, Austrii i Prus, sprawa polska wywiera wpływ na stosunki międzymocarstwowe tych państw i nie będąc obojętną dla żadnego z nich, tem samem nie jest obojętną i dla żadnego z państw innych, mających z nimi niezłatwione rachunki.

Rozumiejąc to, polityk polski, musi doskonale poznać linie wytyczne polityki ogólnoeuropejskiej i znać nie tylko teraźniejszy układ stosunków pomiędzy państwami, ale i te wszystkie procesy historyczne, które do takiego, a nie innego stanu rzeczy doprowadziły. Na tem tle dopiero może powstawać i dojrzewać świadoma wszystkich, czyhających na nią zasadzek, i wszystkich, mogących podać jej rękę kombinacji, myśl polityczna polska. Tymczasem z łatwością możemy stwierdzić, że nie jest ona do tego obecnie zupełnie przygotowana.

Już sama znajomość historycznego rozwoju państw ościennych, zwłaszcza tych przemian głębokich, jakie w nich zachodziły w ciągu wieku XIX, nie jest wśród nas dostatecznie znana. Szkoły pomijały to głuchem milczeniem. Publicystyka, mając zakneblowane usta, mówiła o nich tylko tyle, ile można było powiedzieć o wolności ludów w sprawozdaniu teatralnem ze „Zbójców“ Schillera, a literatura polityczna nie istniała, bo ani powstać, ani rozwinać się nie mogła.

Nie znamy więc dokładnie ani historii politycznej Prus, ani historii politycznej Austrii. Oczywiście, jeszcze szczuplejsze, jeszcze bardziej przypadkowe i nie związane żadną syntezą w jakąś organiczną całość są wiadomości nasze z dziedziny historii Anglii, Niemiec, Włoch, Turcyi, Szwajcaryi i innych państw pomniejszych, których istnienie wchodzi jednak w grę polityczną całej Europy i tkwi w jej organizmie, jak zawsze jątrząca drzazga. Rolę taką spełniają np. państwa bałkańskie i nie wiadomo nigdy dnia ani godziny, w której staną się one powodem groźnego a powszechnego pożaru.

Piśmiennictwo nasze nie posiada zgoła monografij, poświęconych najważniejszym zagadnieniom historyczno-politycznym, nie mamy więc nawet skąd czerpać wiadomości, jeżeli czerpać je chcemy. Publicysta, który pragnie gruntowniej zaznajomić się z jakąś kwestją współczesną, musi uciekać się do źródeł obcych i pod kątem obcych poglądów i obcych interesów poznawać obchodzące go sprawy. Najczęściej jednak, jako jedyne źródło informacyjne,

narzuca mu się uparcie prasa niemiecka, z której codziennie czerpie swoje wiadomości, aby je podać następnie innym.

Taki stan rzeczy przemawia bardzo wymownie za potrzebą szkoły, która wychowałaby zastęp ludzi, przygotowanych odpowiednio i do podejmowania w społeczeństwie pracy politycznej i do należytego oświeclania tej pracy w publicystyce.

Dotychczas wszyscy nasi politycy i publicyści, z wyjątkiem tych niewielu, którym szczęśliwe warunki pozwoliły odbyć regularne studia w paryskiej szkole nauk politycznych, pod przewodnictwem niezapomnianego przyjaciela Polaków, Alberta Sorel'a—są samoukami.

Samouctwo jednak pochłania ogromną masę czasu w porównaniu z czasem, jaki zabierze ta sama praca, umiejętnie kierowana przez specjalistów. Samouk z konieczności błąka się, szuka i mozoli, gdy słuchacz szkoły otrzymuje wyczerpujące wskazówki od profesora i ma pod ręką odpowiednio zaopatrzoną bibliotekę szkolną, która od razu prowadzi go do celu. Takiej biblioteki i takich wskazówek nie może mieć na zawołanie żaden samouk w dziedzinie polityki.

Projektowana szkoła posiadałaby szczególny powab dla młodych prawników i początkujących publicystów i niewątpliwie znalazłaby od razu liczny zastęp uczniów, zwłaszcza z pośród młodzieży naszej dzielnicy, która ma utrudnione zdobycie nawet tych wiadomości, jakie z łatwością otrzymuje każdy student wydziału prawa i administracji w Krakowie i we Lwowie.

Społeczeństwo nasze, które zdaje sobie doskonale sprawę z tego, że potrzeba mu na przyszłość najbliższą liczniejszego, niż dotychczas, zastępu ludzi, wykształconych politycznie, bezwarunkowo szkołę projektowaną poprze materyalnie, o ile otrzyma rękojmię, że będzie ona przyhytkiem rzeczywistej nauki, że zaś rękojmię taką dają w zupełności wymienione powyżej trzy nazwiska profesorów uniwersytetu krakowskiego, nie można przeto wątpić, że z chwilą, gdy inicjatorowie odwołają się o pomoc w urzeczywistnieniu projektu, pomoc ta znajdzie się z łatwością.

Byt materyalny szkoły ma się podobno oprzeć na zgromadzonym jednorazowo funduszu żelaznym, wynoszącym 200,000 rb., od którego odsetki w połączeniu z wpływami z opłat szkolnych stanowić mają wystarczającą sumę roczną na pokrycie kosztów utrzymania szkoły.

Z niecierpliwością oczekiwać będziemy przychylniej decyzji w tej sprawie Sejmu galicyjskiego i chwili, kiedy projekt w ostatecznej swojej formie poddany zostanie dyskusji publicznej.

Wówczas omówimy też obszerniej program przyszłej szkoły. Narazie poprzestajemy na wiadomości, która sama przez się obudzić już powinna zainteresowanie w sferach, odczuwających potrzebę kształcenia politycznej myśli polskiej i pchnięcia jej na szerokie tory, z których zesła wskutek wyjątkowo niepomyślnych warunków, tamujących życie normalne narodu w każdej dziedzinie, a przede wszystkim w tej, która życiu temu nadawać powinna kierunek i chronić je przed katastrofami.

*

*

*

Kulminacyjnym punktem uroczystości galicyjskich ku czci Słowackiego był obchód jubileuszowy we Lwowie, połączony z wielkim zjazdem historyczno-literackim.

Nie do nas należy ocena tego zjazdu pod względem jego wyników naukowych. Nie możemy jednak powstrzymać się na tem miejscu od uwagi, że zjazdy tego rodzaju powinny być podejmowane zupełnie samoistnie, w całkowitej niezależności od obchodów, mających inne zgoła, nie naukowe, cele.

Poza tym jednym błędem, jaki tkwił w samej organizacji zjazdu, inicjatorom uroczystości lwowskich, a w szczególności niezmordowanemu w pracy prof. Wiktorowi Hahnowi, należą się słowa gorącego uznania za poniesione trudy, starania i wysiłki.

Jako jeden z wyników zjazdu, zanotować tu należy myśl prof. Kallenbacha zwołania podobnego zjazdu w r. 1912 ku czci Zygmunta Krasińskiego.

*

*

*

Jednocześnie niemal obradował we Lwowie pierwszy polski zjazd pedagogiczny, zakrojony na szeroką skalę.

Na zjeździe tym między innymi poruszona została w referacie d-ra Zygmunta Balickiego niezwyklej wagi sprawa, obchodząca w wysokim stopniu cały ogół polski, mianowicie sprawa *zasad wychowania narodowego*.

Ze względu na doniosłość poruszonych przez d-ra Balickiego zagadnień wychowawczych, pozwalamy sobie przytoczyć tu z jego referatu kilka ważniejszych ustępów, w przekonaniu, że dadzą one czytelnikom *Biblioteki* obfity materiał do dalszych na ten temat rozważań, narzucających się jako jeden z pierwszych obowiązków każdemu światłemu umysłowi polskiemu doby współczesnej.

„Wychowanie człowieka, wychowanie obywatela i wychowanie narodu—mówi dr. Balicki—oto trójjedyne zadanie, które staje przed każdym pokoleniem wychowawców, bez względu na to, na jakim polu działać mu przychodzi.“

Wychowanie człowieka, wychowanie obywatela, wychowanie narodu całego—to znaczy w porządku doniosłości zadań: wychowanie rodzimej duszy narodu w każdym wstępującem w życie pokoleniu, wychowanie jego instynktów społecznych, wreszcie wychowanie charakteru w jednostkach.

Określenia ogólne, jak wychowanie w duchu narodowym, wychowanie patryotyczne, wystarczać mogą tylko wtedy, gdy się przeciwstawiają pojęciom i stanom przeciwnym: wychowaniu wynaradawiającemu lub beznarodowemu. W działalności budującej— a taką w samem swem założeniu musi być każda zdrowa działalność wychowawcza — określenia te stają się ogólnikami, w które dopiero należyta treść wcielić należy.

Można wychować młode pokolenie w egzaltacji dla oderwanego pojęcia Polski, a nie dać mu podstaw patryotyzmu; można wszczepić mu jaknajobszerniejsze wiadomości z dziedziny języka, historii i literatury polskiej, a nie dać mu wychowania narodowego, w tych bowiem pojęciach mieści się cały świat duszy, leżący poza umiejętnością i wiedzą, świat równie niedostępny dla beznarodowo, choć po polsku, wychowanego młodzieńca, jak jest nim dla cudzoziemca, chociażby posiadał całą dla Polski sympatyę, znał dokładnie jej życie przeszłe i teraźniejsze i przejęty był współczuciem dla jej losów.

Wychowanie narodowe wymaga od jednostki innego stosunku do ojczyzny, niż jako do czegoś, co nazewnątrz duszy naszej istnieje, przy całym pragnieniu dobra tej ojczyzny i potępianiu wszystkiego, co w nią godzi. Dusza polska nie tylko nosi ojczyznę wewnątrz siebie, ale czuje się również wewnątrz niej, wszystkimi swymi splotami z nią zespoloną i zlewa całkowicie swą osobowość z jej jaźnią—a taki związek tylko wówczas utrwalić się może, gdy pokłady instynktu narodowego sięgają do głębin przeszłości ojczyznej.

„Od chwili — mówi A. Comte — gdy się poznaje, że się ma wspólnych przodków, gdy się wie o tych zmarłych, którzy nami rządzą, od tej chwili ma się ojczyznę.“ Dzieje narodu powinny też być wiekowem wykonywaniem testamentu, pozostawionego przez tych, którzy nadali narodowi swemu osobowość między innymi narodami w postaci państwa i nakreślili drogi jego przyszłości. Wola zmarłych przodków ożywia i zapładnia wolę żyjących i trzeba, żeby się ona spełniła, a wtedy spełnią się dziejowe zadania narodu. Żywe obcowanie ze zmarłymi pokoleniami—oto czem powinna być historia ojczysta dla młodzieży, jeżeli ma być rzeczywistą podstawą jej patriotyzmu, zadatkiem ścisłego zespolenia jej z tą ojczyzną, która była, jest i będzie.

„Historia narodu zapisana jest żywymi głoskami w duszach obywateli“—mówi jeden z myślicieli młodszego pokolenia, Ludwik Posadzy, w swej książce „O posłannictwie narodów europejskich“ Sięgnąwszy w głąb duszy, może każdy obudzić w sobie te uczucia, które wstrząsały dawnymi pokoleniami, albowiem każdy człowiek jest stworzony na obraz i podobieństwo społeczeństwa, w którym żyje i nosi w sobie jego rysopis. Kto unie genezę tego rysopisu w sobie wyczytać—posiada rzadki dar intuicji historycznej.

Rozwijając w młodem pokoleniu tę intuicję historyczną, kazać mu przeżywać wspólnie z narodem jego dzieje, na pamiątnikach odtwarzać ważniejsze ich momenty, obrazować z całą plastyką życie, obyczaje i wierzenia, zawody i nadzieje pokoleń minionych i na tem tle ryc w jego duszy wiekowy testament narodu, to nie tylko coś więcej, to zupełnie co innego, niż uczyć chronologii i wyliczać wypadki dziejowe.

Związek ze zmarłymi obejmował niegdyś związek z ziemią, w której prochy ich spoczęły. To właśnie zespolenie *krajoznawstwa z historią* łączy w umysłach młodzieży przyrodę rodzimą i ziemię ojczystą, groby przodków, ślady dawnej kultury i zabytki przeszłości, oraz ludzi żyjących z ich cechami dziedziczności plemiennej, ich zabiegi gospodarcze, dorobek cywilizacyjny, walki i troski dzisiejsze—w jeden wyrazisty obraz Polski. I znowu takie poznawanie kraju to zupełnie co innego, niż geografia formalna ziem polskich i suche wiadomości o stanie kultury na tych ziemiach.

Łącznikiem pokoleń i żywem ogniwem, wiążącym współczesnych w naród, jest mowa ojczysta. Młodzież powinna zatem czuć i wiedzieć, że język, którym mówi, służy nie tylko do wyrażania myśli w najłatwiejszej dla Polaka formie, ale do wyrażania duszy narodu, że w nim, jak w zwierciadle, odbijają się: jego dar spo-

strzegawczy, metody myśli, charakter uczuć i wogóle te szczególne cechy, które nadają swoistą postać duchowej jego indywidualności. W ścisłości języka i mowy leżą zadatki prawdy, tkwiące w zmysłowości narodu. Słusznie też powiedziano, że „język narodowy jest tem doskonalszy, im trudniej w nim kłamać.“ Na mowie ojczystej młodzież uczyć się powinna tej prostoty i prawości orzeczeń, która nie znosi ani dwuznaczności, ani rozciągłości pojęć, ani umysłowego szalbierstwa. Dosadność, trafność i jedrność wyrażen jest najlepszą ochroną przed wielomównością w słowach, tą cechą umysłów małych, która tak łatwo rodzi wielomówność w czynach — cechą charakterów małych. Jedną jest obu tych wad natura: nagromadzenie danych bez treści, nie dających materiału do wniosków. Dla tego zwięzłość mowy jest bezwiednem ćwiczeniem zdolności do czynu. Zaprawiajmyż młodzież na staropolszczyźnie do odzwierciedlania w języku cech zdrowego, potężniejszego narodu, a nadewszystko uczmy ją odczuwać ducha języka, a nie tylko znać zasady jego form poprawnych.

Jeżeli język jest środkiem do wyrażania duszy narodu, to literatura ojczysta jest bezpośrednim tej duszy wyrazem. I tu właśnie pole do wyrabiania w młodem pokoleniu tego czucia subtelnego, tej nawet intuicji bezpośredniej, która odrazu pozwala rozpoznać, co w piśmiennictwie polskiem jest odbiciem nieskazitelnego niczem duszy narodu, co jest naleciałością obcą i naśladownictwem, a co jej zboczeniem i zwyrodnieniem. Wszystkie wielkie dzieła literatury wszechświatowej odbijały w sobie ducha tych narodów, które je wydały i niema utworów pomnikowych, któreby tego piętna nie nosiły na sobie. Jak niema pięknego krajobrazu w malarstwie, któryby nie odtwarzał swoistej przyrody w pewnym czasie i miejscu, widzianej przez pryzmat duszy artysty, tak samo niema takiego piękna w literaturze, któreby nie było odbiciem swoistej narodowej duszy jego twórcy. Wielkie dzieła piśmiennictwa polskiego, w stopniu wyższym, niż jakiegokolwiek inne, są bezpośrednim wyrazem nie tylko ducha narodu, ale i myśli narodowej; w nich zawiera się wszechogarniająca synteza wierzeń polskich, znacząca blaskiem poezji wyżyny, do których wznosić się powinna myśl twórcza każdego z następujących po sobie pokoleń.

W piśmiennictwie, zarówno jak i we wszystkich dziełach ludzkich, umysł młodzieży szukać powinien nie tego, co nowe, lecz tego, co niepożyte i wieczne, i wynajdować nie to, co zasługuje na krytykę i budzi zwątpienie, lecz to, co jest godne wskrzeszenia i budzi zachwyty.

Zżycie się z dziejami, z ziemią i z ludźmi, z mową i literaturą ojczystą daje dopiero młodemu pokoleniu podstawy pozytywnego patriotyzmu. Miłość ojczyzny, jeżeli ma pozostać w wieku dojrzałym zdrową, czystą i wielką, nie może się żywić za młodu sokami, płynącymi z uczuć negatywnych, z nienawiści i przezebra w jakiegokolwiek postaci. A to dlatego, że z dwóch kierunków duchowych, składających się na indywidualność narodu, pozytywnego i negatywnego, twórczego i zaprzecznego, jednego, zwróconego na wewnątrz, drugiego na zewnątrz, uczuć łączących i uczuć dzielących, świadomej siebie woli i odruchowych popędów myśli organicznej i myśli opozycyjnej — pierwszy tylko jest kierunkiem budującym. Uczucia zaprzeczne mogą mieć o tyle tylko wartość społeczną, o ile są negacją negacyi, grożącej pozytywnym, świadomym siebie i celowym usiłowaniami narodu, to też burzyć cokolwiek ma prawo tylko ten, kto tworzy. Pokolenie, wychowane w atmosferze uczuć negatywnych, przestaje być zdolne do pracy twórczej, rodzi wiecznych opozycjonistów i umie żyć już tylko negacją. Samo nie wiedząc kiedy, przenosi ją na sprawy własnego kraju i na życie jego wewnętrzne i staje się zazwyczaj rozkładu duszy swego narodu.

Oparty na przesłankach wyłącznie dodatnich, wrośnięty korzeniami w rzeczywistą przeszłość i złączony mocnymi węzłami z rzeczywistą teraźniejszością, patriotyzm młodego pokolenia będzie patriotyzmem realnym. Nie przerodzi się on w jałowy pod względem czynu, oderwany kult Polski, lecz dążyć będzie przede wszystkim do osiągnięcia tego, „co jest wszędzie,“ jak mówi Wyspiański, a nie tworząc sobie przesadnego, więc błędnego pojęcia o wartości swojej ojczyzny, zapragnie przyczynić się do rzeczywistej jej wyższości pośród innych narodów. W takim patriotyzmie wychowany naród będzie dopiero mógł z czasem powiedzieć o sobie: „skromnym się czuję, gdy wglądam w siebie; dumnym, gdy się porównywan.“

Referat d-ra Balickiego zapewne ukaże się w druku w osobnej broszurze i w nadziei, że tak będzie, odsyłamy zainteresowanych bezpośrednio do autora, który w pracy swojej zawarł tyle niepowszednich spostrzeżeń i wskazań.

WSPOMNIENIE POZGONNE.

ś. p. Gabryel Godlewski.

Dn. 17 listopada r. b. zmarł w Krakowie ś. p. Gabryel Godlewski, ziemianin, publicysta i działacz społeczny, dobrze zasłużony na polu pracy z ludem dla ludu.

Urodzony w r. 1851 w Kępie, w gub. kieleckiej, po ukończeniu nauk osiadł na zagonie rodzinnym w Woli Bukowskiej i zasłynął wkrótce, jako wzorowy gospodarz. Światły jego umysł pracował jednocześnie nad gruntownem poznaniem stosunków włościańskich, które interesowały go przede wszystkim, jako obywatela kraju, szukającego odpowiedzi na dręczące go pytania. Z biegiem czasu Godlewski poznał też stosunki owe, jak mało kto. Zwłaszcza sprawy samorządu gminnego stały się umiłowanym przedmiotem jego studyów. Niejednokrotnie też brał pióro do ręki, aby spostrzeżenia swoje i wnioski ogłosić drukiem. W ten sposób powstał szereg artykułów, drukowanych niegdyś w *Ateneum*, za redakcyi ś. p. Piotra Chmielowskiego, a nie pozbawionych do dnia dzisiejszego wartości poważnych rozważań teoretycznych.

Właściwym jednak terenem pracy zmarłego nie była teoria. Inicyatywa, temperament i energia parły go nieustannie na pole działalności praktycznej. Na tem polu zaznaczył się Godlewski przede wszystkim jako współtwórca pierwszej w kraju spółki rolniczej włościańskiej „Jutrzenka.“ Imię jego nabrało wówczas rozgłosu i stało się popularnem nie tylko wśród okolicznego włościanstwa, ale i w całym kraju, gdzie powoli dojrzywała myśl pracy nad ekonomicznem podniesieniem warstw ludowych, jako najpierwszem zadaniem chwili, nie sprzyjającej zgola żadnym pracom innym.

Zdobyta w ten sposób popularność dała Godlewskiemu możliwość dalszej pracy owocnej, do której garnał się skwapliwie. Jednym z najważniejszych etapów tej pracy, godnym zanotowania w kronikach naszego życia społeczno-ekonomicznego doby ostatej, była pierwsza w kraju wystawa rolnicza włościańska w Miechowie. Duszą tej wystawy był Godlewski i jemu zawdzięcza ona swoje wyjątkowe powodzenie i posiew, jaki rzuciła w unyśły włościańskie.

Z chwilą zmiany warunków politycznych w r. 1905, Godlewski stanął natychmiast do wyczerpanej pracy na placówkach zdobytych i podniósł śmiały głos w obronie interesów ludu i jego instytucyj samorządnych, znajdujących się na drodze do zupełnego wypaczenia wskutek opieki władz administracyjnych. Jego artykuły w tych sprawach, nacechowane dokładną znajomością rzeczy i odwagą wypowiedziania swoich przekonań, zjednały mu wielu przyjaciół w kraju, wywołały jednak niezadowolenie władz, z których rozkazu Godlewski musiał opuścić granice kraju i przenieść się do, odległego zaledwie o kilka mil od jego majątku, Krakowa. Tam zaskoczyła go śmierć w pełni sił i w wieku, który pozwalał jeszcze spodziewać się całego szeregu lat pracy po tym wybitnym, światłym i dzielnym obywatelu.

„Biblioteka Warszawska“ traci w nim długoletniego przyjaciela i cenionego współpracownika.

Cześć jego pamięci!

Z. D.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— TOWARZYSTWO NAUKOWE WARSZAWSKIE. W dn. 26 października r. b. odbyło się posiedzenie *Komisji Historycznej* przy Wydziale II Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, na którym p. *I. T. Baranowski* mówił o archiwum akt dawnych, mieszczącym się ongi w gmachu po-Dominikańskim w Lublinie. W archiwum tem- znalazły się księgi ziemskie, grodzkie i podkomorskie lubelskie, a dalej parnawskie, chełmskie, szczebrzeszyńskie, urzędowskie, horodelskie, grabowieckie. Najstarsze wśród nich księgi grodzkie chełmskie rozpoczynały się od roku 1402, ziemskie chełmskie od r. 1428, ziemskie lubelskie od r. 1465. Do archiwum Dominikańskiego w r. 1878 przyłączono dawne archiwum magistrackie lubelskie, uporządkowane jeszcze w wieku XVIII staraniem Komisji Porządkowej, miastu pozostawiono tylko pergaminowe oryginały przywilejów i sunaryusz Brandysa; jeszcze przedtem przywieziono do Dominikanów dokumenty Chełma, Hrubieszowa, Zamościa i innych miast i miasteczek w gubernii lubelskiej. Utworzyło się w ten sposób bogate archiwum, liczące około 5,000 tomów, a nadto 76 pergaminowych dokumentów. Ś. p. prof. Pawiński miał nadzieję, że archiwum Dominikańskie zostanie przyłączone, podobnie jak inne archiwa prowincjonalne, do archiwum głównego w Warszawie. Tymczasem stało się inaczej, gdyż dzięki staraniom, podjętym przez znanego działacza Łonginowa, wyszło w r. 1886 Najwyższe rozporządzenie, nakazujące przewiezienie archiwum Lubelskiego do Wilna i przyłączenie do tamtejszego archiwum centralnego.

Na temże posiedzeniu Komisji historycznej p. *Leopold Meyer* mówił o archiwaliach, znajdujących się w Wąwolnicy. Przechowały się tam resztki dawnego archiwum Benedyktyńskiego, zawierającego dokumenty od r. 1342.

Po wysłuchaniu referatu p. *Meyera* zebrani członkowie Komisji wybrali podkomisję, złożoną z pp.: Chlebowskiego, Kraushara, Siemieńskiego, Wachowskiego i Wierzbowskiego, która ma zająć się opracowaniem programu wydawnictwa Varsavianów.

— W dn. 29 października r. b. odbyło się posiedzenie *Komisji antropologicznej* przy wydziale II Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, na którym, po załatwieniu spraw bieżących, p. *E. Majewski* zakomunikował wiadomość o 2-ch grodziskach przedhistorycznych w Będkowicach na Boleszynie w pow. olkuskim, otrzymaną od p. Stanisława Ciszewskiego, a uzupełnioną przez poszukiwania szczegółowsze lubo prowizoryczne p. Kozłowskiego, jedno na Sokolej skale, drugie na Dębniku. W roku następnym grodziska owe poddane zostaną dalszemu badaniu.

Następnie p. Majewski zakomunikował wiadomość, otrzymaną od p. Kaliszewskiego o cmentarzysku ciałopalnym w Krośniewicach w kutnowskim.

— W dn. 30 października r. b. odbyło się posiedzenie *Komisji meteorologicznej* przy Wydziale III Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, którego porządek dzienny zawierał w rubryce „Spraw bieżących,” między innymi, sprawę utworzenia pod Warszawą obserwatorium geofizycznego. Poza tem wygłoszone zostały referaty: P. S. *Landaua* „O spoprzeżeniach nad promieniotwórczością atmosferyczną w okolicy Ojcowa i Olsza“ (z demonstracją przyrządu); — p. W. *Gorczyńskiego* „O pomiarach bardziej łamliwej części widma“ i „O pewnym wzorze Bemporad'a.“ Nadto p. Gorczyński podał sprawozdanie o wystawie fotograficznej w Dreźnie i aeronautycznej we Frankfurcie n/M. z r. 1909.

— W dn. 3 listopada r. b. odbyło się posiedzenie *Wydziału I* (językoznawstwa i literatury) Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, na którym wygłosili referaty p. Michał Rowiński i Stanisław Krzemiński.

Referat p. *Rowińskiego* był dalszym ciągiem rozprawy „O budowie wiersza u Słowackiego.“ Referent zajął się ułożeniem systematycznego wykazu form wierszowych, któremi się posiłkował wielki poeta, w dalszym ciągu wskazał dzieła i miejsca, w których każdy rodzaj wiersza został użyty, i scharakteryzował twórczość poety, o ile się przejawiała w budowie wierszy pojedynczych.

P. *Krzemiński* odczytał pracę, opartą na rękopisach 232, 235 Ak. Um., Herbarzu Bonieckiego, metryce litewskiej i koronnej, aktach komisji kijowskiej i t. d., z których wynika, że sławny Hugo Kollątaj, którego nazwisko o brzmieniu tatarskim, pochodził z rodziny, która już w XIV w. była ruską, że jeszcze dziad jego w 6 stopniu zwał się Michajlem, że dopiero dzieci tego ostatniego stały się katolikami i Polakami. Sam Hugo Kollątaj urodził się prawdopodobnie w Dederkałach o 5 do 7 mil od Krzemińska.

— W dn. 4 listopada r. b. odbyło się posiedzenie *Wydziału III* Towarzystwa Naukowego Warszawskiego, na którym wygłoszone zostały następujące komunikaty:

P. *Śl. Miklaszewski*: „Gleby typowe w gub. Piotrkowskiej;“ — pp. *Z. Pietruszczyński* i *Zaleski*: „Mada pod Paławami“ (przedst. p. *Śl. Miklaszewski*); — p. *Z. Weyberg*: „O rozpuszczalności alumu glinopotasowego w wodnych roztworach chlorowodoru;“ — p. *Wł. Gorczyński*: „O wyznaczaniu stałej słonecznej sposobem pyrhelometrycznym bez ekranów absorbcyjnych;“ — p. *W. Sierpiński*: „O pewnem twierdzeniu z teorii przybliżeń wymiernych;“ — p. *L. Sawicki* (przedst.

p. J. Lewiński): a) „Projektowane badania jezior w Polsce i ich tegoroczne wyniki;“ b) „Niemen jako klucz do zrozumienia morfologii i hydrografii Niżu północno-europejskiego.“

N O W E K S I A Ź K I.

— ADAM KRECHOWIECKI. *O Cypryanie Norwidzie*. Próba charakterystyki, przyczynki do obrazu życia i prac poety na podstawie źródeł rękopiśmiennych. We Lwowie, księgarnia Gubrynowicza i Syna, 1909.

Po ujawnieniu przez redakcyę „Chimery“ całego szeregu utworów Norwida, a przede wszystkim pełnej natchnienia „Odyssey,“ przyszedł czas na studia syntetyczne nad zapoznanym poetą. P. Adam Krechowiecki w pomienionej tu książce czyni pierwsze usiłowania przedstawienia całkowitej postaci duchowej poety. Podaje życiorys jego z wieloma nieznanymi dotąd szczegółami i genezę jego utworów przeprowadza, na tle tego życiorysu wysuwa. Nieszczęśliwa miłość do hr. Maryi Nesselrode występuje w przedstawieniu autora jako powód złamanego życia i niewyzyskania skarbów wielkiego talentu.

— ARTUR ŚLIWIŃSKI. *Maurycy Mochnacki*. Żywoć i dzieła. Lwów, 1910.

W siedemdziesięciopiątą rocznicę zgonu Maurycego Mochnackiego Księgarnia Polska B. Połonieckiego we Lwowie wydała pierwszą większą pracę, poświęconą literackiej i politycznej działalności Mochnackiego. „Pokolenie wychowane w dobie pozytywizmu — zaznacza autor na wstępie — lekceważąco traktowało cały dorobek umysłowy, wydany między 1830 a 1863 rokiem. Z okresu tego ocalała tylko poezya, natomiast wszystko, co za poezją stanowiło istotę i rdzeń ówczesnego życia, przez lat czterdzieści przykrywała gęsta zasłona, utkana z niechęci i uprzedzeń.“ Autor ma na celu rozproszenie, chociaż w części, tej mgły przez narysowanie obrazu działalności jednego z najwybitniejszych ludzi tej epoki, jako estety, krytyka, agitatora politycznego, publicysty i historyka.

— STANISLAUS KUTRZEBA. *Catalogus Codicum Manuscriptorum Musei Principum Czartoryski Cracoviensis. Volumen II Fasciculus primus 913 — 1092*. Cracoviae, 1909.

Po długoletniej przerwie ukazał się dalszy ciąg katalogu rękopisów Muzeum ks. Czartoryskich, opracowany przez autora „Historji ustroju Polski.“ Jest to pierwszy zeszyt drugiego tomu. Zapowiada w nim autor wydanie indeksu do 1-go i 2-go tomu razem, co ułatwi trudne dotąd korzystanie z 1-go tomu. Spotykamy w tym nowym zeszycie zmiany niektóre, nadające katalogowi więcej przejrzystości, za co należy się wdzięczność autorowi i oczekiwać będziemy z upragnieniem dalszych zeszytów, bo dopiero ogłoszenie całości katalogu rękopisów Czartoryskich otworzy dla szerszego świata naukowego ten najbogatszy zbiór rękopisów do historii polskiej.

CZASOPISMA PERYODYCZNE.

— BULLETIN POLONAIS. Juillet, 1909. Sur le projet d'un nouveau démembrement du Royaume de Pologne, conference de V. Gasztowtt;—Le Songe d'argent de Salomé, roman dramatique en 5 actes, par Jules Slowacki, trad. par V. Gasztowtt (suite);—Vincent Migurski ou 28 ans d'exil, trad. par M-me Rivet, née Migurska (suite);—Variétés littéraires;—Petite chronique scientifique;—Variétés politiques;—Nouvelles diverses;—Nécrologie (Vitold Suzin).

— Août, 1909. Protestation du Conseil du Musée National Polonais de Rappersvil contre le démembrement du Royaume de Pologne;—Les chevaliers polonais et la garde impériale en 1809, par le capitaine de la B.;—Le Songe d'argent de Salomé, roman dramatique en 5 actes, par Jules Slowacki, trad. par V. Gasztowtt (suite);—Vincent Migurski ou 28 ans d'exil, trad. par M-me Rivet, née Migurska (suite);—Variétés littéraires;—Variétés politiques;—Nouvelles diverses;—Nécrologie;—Le Don de Grünwald (souscription).

— Septembre, 1909. Introduction au „Pan Tadeusz“ poésie d'Adam Mickiewicz, trad. par V. Gasztowtt;—La fête de Mickiewicz à Constantinople;—Le Songe d'argent de Salomé, roman dramatique en 5 actes, par Jules Slowacki, trad. par V. Gasztowtt (suite);—Vincent Migurski ou 28 ans d'exil, traduit par M-me Rivet, née Migurska (suite);—Variétés littéraires;—Variétés politiques;—Nouvelles diverses;—Nécrologie;—Le Don de Grünwald (souscription).

— ČESKÝ ČASOPIS HISTORICKÝ. Rocznik XV. Zeszyt 4. Praga, 1909. Novák Jan Bedrich: Středověká diktamina v souvislosti s antikou a renesancí (dok.);—Hanuš J.: Počátky kritického dějezpytu v Čechách (dok.);—Drobnější článki;—Literatura;—Výtahy z časopisů.

— CZYTELNIĄ LUDOWĄ. Sierpień. Słowackiemu;—Polskie Towarzystwo krajoznawcze z siedzibą w Warszawie (dok.);—Wiadomości i sprawozdania;—Towarzystwo odczytów ludowych w Środzie;—Organizacya niemieckich bibliotek ludowych na Górnym Ślązku;—Sprawozdania Tow. Szkoły Ludowej za rok 1908;—Zjazd walny T. S. L.;—Kolo T. S. L. profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego;—Dział sprawozdawczy T. C. L. w Poznaniu;—Dział Gł. Zarządu;—Komunikaty;—Sprawozdanie Komitetu T. C. L. na powiat mogileński za rok 1908;—Sprawozdanie kasowe.

— HOMILETYKA, pismo miesięczne, zawiera dział kaznodziejski, teologiczno-pasterski, ascetyczny i społeczny wraz z dodatkiem popularnym. Redaktor ks. Maryan Nassalski, magister Teologii. Rok XII. Zeszyt IX. Wrzesień, 1909. Włocławek. Rozprawy;—Głos naturalistów uczonych o Istocie najwyższej;—Piotr Loth: Przepowiednia św. Malachiasza;—Jan Gerson: Rozprawa o obowiązku prowadzenia dziatwy do Chrystusa Pana;—Dział kaznodziejski;—Kazania katechetyczne;—Kazania na niedziele;—Kazania na uroczystości;—Przemówienia przygodne;—Liturgika;—Ascetyka;—Bibliografia;—Dodatek popularny.

— KSIĄŻKA. Miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej pod kierunkiem literackim J. K. Kochanowskiego. Rok 9. № 10. Październik, 1909. Warszawa. Dziesięciolecie „Przeglądu Filozoficznego;”—Krytyka: Antoinette K.: Kurs ekonomii społecznej;—Balzac: Fizjologia małżeństwa, czyli rozmyślenia eklektycznego filozofa nad małżeńską dołą i niedołą (przełożył Boy);—Bogdalski Czesław O. Br. Mn.: Szkice z dziejów humanizmu w XV stuleciu;—Bogusławski Edward: Ślady po Wendach czyli Windach (Słowianach) w dzisiejszych Niemczech;—Dybowski Roman: O życiu akademickim na uniwersytetach angielskich;—France Anatol: Wyspa Pingwinów;—German Julius: W gospodzie pod trzema zbójcami;—Gomulicki Wiktor: Trzy królowe. Portrety historyczno-estetyczne: Jadwiga, Barbara, Marysieńka;—Gruźewski Bolesław: Z powodu nowego wydania „Historji ustroju Polski“ prof. Kutrzeby;—Heimann Teodor, D-r med.: Słuch, ucho i higiena ucha;—Hitze Fr., Ks. D-r: Kwestya robotnicza i dążność do jej rozwiązania;—Jeż Tomasz Teodor: Zarnica, powieść bułgarska;—Knappe W., D-r: Próchnica zębów u młodzieży szkolnej;—Korzonkiewicz Jan, Ks.: Je Hośn'a, studjum biblijne;—Kraushar Aleksander: Spisek koronacyjny w r. 1829 w świetle prawdy historycznej;—Kuczyńska A.: Jak się bronią i chronią rośliny;—Kwartalnik teologiczny;—Lemański Jan: Prawo własności;—Libby Wiliam Samuel: Czego historia nauczyc nas może?—Łuniński Ernest: Berek Joselowicz i jego syn;—Makuszyński Kornel: Rzeczy wesołe;—Marshall Wiliam: Broń zaczepna i odporna u zwierząt;—von Meysenburg Malwida: Pamiętnik idealistki;—Muszyński Jan Kazimierz: Jak należy zbierać rośliny i układać zielniki;—Podręczna encyklopedia kościelna;—Rabska Zuzanna: Zanim światła pogasną;—Rakowski Kazimierz: Dzieje rozwoju ekonomicznego dawnego Państwa Polskiego;—Reych Emil: Niemcy współczesne;—Staff Leopold: Gałąź kwitnąca;—Tatar Stefania: Za słońce;—Karol Alojzy X. T. J.: Co to jest misya i jakie z niej korzyści;—Wielowieyska E.: Savonarola;—Wirski Andrzej: Noc, powieść;—Zapolska Gabryela: Rajska ptak;—Pod prasą;—Kronika;—Czasopisma.

— KULTURA POLSKA. Październik, 1909. Szkoła jako instytucya społeczna;—Z polityki;—Pokłosie wystawy w Częstochowie;—Wiadomości statystyczne;—Placówka polska w Ameryce Północnej;—Literatura polska;—Wolne książki;—Z czasopism polskich;—W Tow. Kultury Polskiej;—Kronika;—Dary dla Tow. Kultury Polskiej;—Ogłoszenia.

— ŁAN MŁODZIEŻY. № 14. Biuro pośrednictwa pracy;—Otwarta rana—Słowo o bojkocie szkół rosyjskich;—Listy wychodźcy;—Nulla dies sine linea;—Tadeusz Malicki: Ton minorowy (wiersz);—Plutarch, wychowawca bohaterów myśli i woli;—G. T. Henner: Umilkła pieśń (wiersz);—Krótkowzroczność jako dolegliwość szkolna;—Jan Bystron: Reforma organizacyi;—Nowe książki;—Poczta „Łanu;”—Ks. Fr. Gołba: Prace wakacyjne uczniów;—Femina;—Kalendarz symboliczny.

— PORADNIK JĘZYKOWY. Kraków. Październik, 1909. Henryk Ułaszyn: Zakopański czy zakopiański?—Zapytania i odpowiedzi;—Br. Znatowicz i Redaktor: Roztrząsania;—W. Jarkowski, Inż.: Z dziedziny żeglarsstwa powietrznego;—I. Stapecki: Odpowiedź na zarzuty;—Korespondencya Redakcyi.

— PRĄD. Miesięcznik społeczny i literacko-naukowy. Warszawa. Wrzesień, 1909. W. Moycho: Przyszłość katolików i socjalistów we Francji;— M. Szuca: Z Kaszub;— Br. Żaluski: Ognisko rodzinne w środowiskach kształcącej się młodzieży;— Polemika w sprawie artykułu J. Zmitrowicza: „Do źródeł natchnienia i mocy;”—Korespondencye: Z Pragi Czeskiej;—Z Lyonu;—Sprawozdania i krytyki: G. Zapolska: O czem się nie mówi;—Fr. Stelè: Koledarcek slov. katol. narodnego dijasztva;—Ewangelie i dzieje apostołskie;—Książki nadesłane do redakcyi;—Przegląd czasopism;—Z miesiąca;—Wolna trybuna;—Porady, wskazówki i wyjaśnienia;— Informacye;— Kronika;— Notatki statystyczne.

— PRZEGLĄD FILOZOFICZNY, pismo, mające zapewnione współpracownictwo wszystkich wybitniejszych pracowników na polu filozofii. Rok XII, zeszyt III. Warszawa. H. Aschkenasy: Teorya rozwoju w teoryi poznania;— M. Borowski: O pojęciu konieczności;— Wł. Gosiewski: O analogii, indukcji i dedukcji z punktu widzenia teoryi prawdopodobieństwa;— Wł. Gosiewski: O uogólnieniu z punktu widzenia teoryi prawdopodobieństwa;—Autoreferaty;— Wł. Biegański: Wnioskowanie z analogii;—E. Mally: Teorya przedmiotu a matematyka;—E. Mally: Prawa podstawowe determinacyi;—Krytyka i sprawozdania;— Emile Meyerson: Identité et réalité, przez J. Kodisowà;— H. Bad: Czy Schopenhauer był filozofem? przez Wł. Witwickiego;—Frédéric Enriques: Les problèmes de la science et la logique, przez W. M. Kozłowskiego;— Z czasopism;—Wiadomości bieżące.

— PRZEGLĄD NARODOWY. Miesięcznik, poświęcony zagadnieniom życia narodowego w zakresie politycznym, naukowym, społecznym, literackim i artystycznym pod kierownictwem Zygmunta Balickiego. Rok II, № 9. Wrzesień. 1909. Warszawa — Lwów. Zygmunt Balicki: Zachowanie typu w stroniactwach politycznych;—Cezar Biernacki: Hołdy pruskie podług źródeł dziejowych (dok.);—Jerzy Gościński: Reforma samorządu wiejskiego w Rosyi a gmina w Królestwie Polskiem (dok.);—Aleksander Szczepański: Nasza polityka kulturalna;—Piotr Bańkowski: Adam Mickiewicz i romantycy warszawscy;— A. Sądzewicz: Przegląd spraw polskich;— B. Wasiutyński: Przegląd polityki zagranicznej;— Z prasy;— Gimnastyka jako czynnik życia kulturalnego;— Objawy zwyrodnienia w społeczeństwie rosyjskiem;— List robotnika polskiego;— Bibliografia.

— Październik 1909. Treść: Zygmunt Balicki: Zasady wychowania narodowego;—Jan Purwin: Potęga Niemiec i istota ekspansyi niemieckiej;—Bertold Merwin: Przewroty w syonizmie;— B. O.: Z teoryi polityki narodowej;— Jan Bełcikowski: „Młoda Polska;”— A. Sądzewicz: Przegląd spraw polskich;— E. Wasiutyński: Przegląd polityki zagranicznej;—Z prasy;—Bibliografia.

— PRZEGLĄD SĄDOWY I ADMINISTRACYJNY. Lwów. Rok 34. Zeszyt 11. Listopad 1909. Treść: Alojzy Winiarz: Galicya za Józefa II;— Dr. M. Allertand: Nieważność wyroku z powodu nienależytego obsadzenia sądu (dok.);— Tadeusz Franciszek Grodyński: Pokojowe załatwienie sporów międzynarodowych na obu konferencyach hagskich (c. d.);—Dr. Maryan Rosenberg: O reformie prawa naftowego (dok.);—Zapiski literackie.

— PRZEWODNIK NAUKOWY I LITERACKI. Dodatek do „Gazety Lwowskiej.“ Rok XXXVI. Zeszyt X. Październik 1909. Treść: Ks. Jan Sygański: Z życia domowego szlachty sandeckiej w epoce Wazów;—T. J.: Materiały do Historii Polskiej XIX wieku;—Fr. Rawita Gawroński: Działalność emigracyi z roku 1831 na terenie Turcji do pokoju paryskiego;—F. Höesick: Fryderyka Chopina pierwsze lata w Paryżu (1831—1838, studjum biograficzne;—Antoni Karbowski: Szkoły i wychowanie polskie na emigracyi ekonomicznej;—Edward Webersfeld: Jaworów, monografia historyczna, etnograficzna i statystyczna;—Dr. Władysław Pilat: Z dziedziny socjologii;—A. K.: Ze wspomnień 1809 roku.

RUCH. Dwutygodnik, poświęcony sprawom wychowania fizycznego i wogóle normalnego rozwoju ciała. Warszawa. Październik 1909. Treść: W odżywianiu — głodzenie. Według pogadarek d-ra A. Tarnawskiego w lecznicy Rosowskiej, zestawil Koz.;—Ze stowarzyszeń: Dzień sportowy w sekeyi gier ruchowych Warszawskiego Koła Sportowego. Polski związek sportowy we Lwowie;—Zewsząd: Sport a polityka;—Wystawa miast Królestwa Polskiego;—Książnica „Ruchu;“—Ogłoszenia.

— RZECZPOSPOLITA. Dwutygodnik polityczny. Lwów. Październik 1909. Treść: Sesa sejnowa;—Reakcja rosyjska;—Polityka narodowa;—Prusey szpiegowie;—Zeznania;—Wiadomości polityczne;—Polemika, — Żądania ruskie;—Maryawici a Moskwa — Parcelacya w Galicyi;—Robotnicy niemieccy;—Sojaliści Prus Zachodnich;—Gospodarka polska;—Książki, broszury, wydawnictwa;—Odpowiedź Szulginowi;—Cerkiew a kościół;—Papiery z r. 1830—31;—Czesi w Polsce.

— Listopad 1909. Treść: Gawroński: Testament polityczny;—Żydzi;—Zeznania;—Z dokumentów pruskich;—Polska filozofia;—Wiadomości polityczne;—Kamień pamiątkowy;—Namiestnik a Niemcy;—Zeznania szpiega;—Książki, broszury, wydawnictwa;—Grunwald;—Idea słowiańska na Kaszubach.

— SFINKS. Miesięcznik literacko-artystyczny i naukowy pod redakcją Wł. Bukowińskiego. Warszawa. Wrzesień 1909. Treść: Wł. Bukowiński: W setną rocznicę (1809 4/IX 1909);—Wiktor Gomulicki: Słowacki „anielski;“—Juliusz Słowacki: Z pieśni XII „Beniowskiego;“—Juliusz Słowacki: Urywek z „Króla-Ducha;“—Ignacy Matuszewski: „Król-Duch“ czy „Królowie-Duchy?;“—Leopold Méyet: Słowacki i Wiszniewski;—Józef Weyssenhoff: Z poczty niemieckiej;—Jan Kleczyński: Marzanna (c. d.);—Roman Kreczmar: Zagasło światło;—Tadeusz Konczyński: Pielgrzymi (c. d.);—Władysław Bukowiński: Na fali (felieton);—Dr. A. Chybiński: Zygmunt Noskowski (wspomnienie pozgonne);—Konkurs poetycki „Sfinks;“—Książki nadesłane;—Ogłoszenia;—Dodatki artystyczne: Juliusz Słowacki, szkic portretowy Eligiusza Niewiadomskiego;—Juliusz Słowacki, rzeźba Wacława Szymanowskiego;—Portret Juliusza Słowackiego;—Portret Michała Wiszniewskiego według drzeworytu A. Regulskiego;—Portret Juliusza Słowackiego według fotografii Teofila Januszewskiego w Rzymie 1836 r.;—Dodany osobny portret dziewczynki, rysunek J. Rembowski;—Rysunki i winiety.

BIBLIOGRAFIA.

RÓZNE KSIĄŻKI.

ANTOSZKA: Działalność kobiet czeskich i ich udział w odrodzeniu Czech. (Książki dla wszystkich). Warszawa, 1909. Wydawnictwo M. Arcta.

— Czechy i naród czeski (część I). Opis Czech. (Książki dla wszystkich). Warszawa, 1909. Wydawnictwo M. Arcta.

— Podręcznik języka czeskiego oraz rozmówki polsko-czeskie. (Książki dla wszystkich). Warszawa, 1909. Wydawnictwo M. Arcta. Kraków, S. A. Krzyżanowski.

BAYTEL FRANCISZEK: Hygiena i zdrowie. O własnościach leczniczych promieni słonecznych. Warszawa. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 124.

BOGUSŁAWSKI EDWARD: W kwestyi pochodzenia Rumunów. (Z powodu dzieła Owidyusza Deususianu „Histoire de la langue roumaine,“ Paris, 1909, i innych w tym przedmiocie z ostatniego dziesięciolecia). Odbitka ze sprawozdań z posiedzeń Towarzystwa Naukowego Warszawskiego. Wydział nauk antropologicznych, społecznych, historyi i filozofii. Posiedzenie z dnia 5 kwietnia 1909 r., rok II, zesz. 4. Warszawa. Druk Rubiszewskiego i Wrotnowski. Str. 91.

CAMPANELLAS I.: Metaphysik Dissertation zur Erlangung der Doktorwürde in der Philosophischen Fakultät zu Freiburg in der Schweiz vorgelegt von Adolf Gordek. Posen. St. Adalbert Druckerei und Buchhandlung. Str. 117.

CHARLOTTE PERKINS GILMAN: Kobieta a stan ekonomiczny. Studya nad ekonomicznym stosunkiem mężczyzny do kobiety, jako ważnym czynnikiem ewolucyi społecznej. Przełożyła z oryginału angielskiego Marya Podlewska. 2 tomy. Warszawa, 1909. Wydawnictwo Biblioteki dzieł wyborowych.

CHRZĄSZCZEWSKA i W. HABERKANTÓWNA: Opowiadania przyrodnicze. II Łąka z 46 rysunkami. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa. 1909. 8-o, str. 142.

CYNALEWSKI ST., Ks.: Żal mi tego ludu. Broszura. Echa słabego, lecz szczerzego bratniego głosu, zwróconego do polskiego duchowieństwa, polskiej prasy, polskich towarzystw, organizacyj i do polskiego ludu na wychodźstwie w ogólności. Nakładem polskiej spółki finansowej Baltimore. M. D. Str. 84.

CZĘSTOCHOWA, opracował Włodzimierz Trąmpczyński. Warszawa, 1909. Wydawnictwo Biblioteki dzieł wyborowych.

ESTIENNE i GALLIE: Co należy wiedzieć o awiatyce (żegludze powietrznej), z francuskiego przełożył Eug. Zdrojewski z rysunkami. Warszawa, wydawnictwo M. Arcta.

FAGUET EMIL (członek Akademii francuskiej): Liberalizm. Z upoważnienia autora przełożył Stefan Natanson. Lwów. Nakład księgarni H. Altenberga. Warszawa, E. Wende i S-ka. Str. 392.

FAGAZZARO ANTONIO: Tajemnica poety z 26 wydania włoskiego przełożyła Natalia Nagórna. Warszawa, 1909. Wydawnictwo Biblioteki dzieł wyborowych.

GEDROYĆ FR., D-R: Wodociągi i kanały miejskie. Z dziejów higieny w dawnej Polsce. Rzecz drukowana w „Przeglądzie Historycznym.” Str. 113.

GLOGER ZYGMUNT: Budownictwo drzewne i wyroby drzewne w dawnej Polsce, tom II, serya I. Warszawa, 1909. 8-o, str. 96.

IHNATOWICZ ZYGMUNT: Przyczynek do sprawy organizacyi hodowli bydła rogatego w Królestwie Polskiem. Warszawa, 1909. Dodatek bezpłatny do „Gazety Rolniczej.”

JABŁONOWSKI ALEKSANDER: Polska XVI wieku pod względem geograficzno-statystycznym, tom XI, część II. Podlasie (województwo). Warszawa, 1909. 8-o, str. 252 + XXXV.

JANIK MICHAŁ, D-R: (C. K. II Szkoła realna we Lwowie). Juliusz Słowacki. Próba syntezy. Lwów, 1909. Drukarnia udziałowa. Str. 95.

KALLENBACH JÓZEF: O nieznanym utworach Adama Mickiewicza 1817—1820. We Lwowie, nakładem Towarzystwa Literackiego imienia Adama Mickiewicza, 1909. 8-o, str. 56.

KURNATOWSKI JERZY: Doktryna Ekonomiczna. Warszawa, 1909. Ludwik Biernacki i S-ka. Str. 160.

LAISANT C. A., doktor nauk matematyczno-fizycznych: Nauczanie początków Matematyki. Książka napisana niezależnie od programów szkolnych i poświęcona przyjaciółom dziatwy. Z upoważnienia autora przetłómaczył z francuskiego Z. Czubalski z przedmową Dicksteina. Wydawnictwo imienia Staszycza. Str. 15.

LAM STANISŁAW: Stanisław Wyspiański. Odbito w drukarni L. Wiśniewskiego. Nakładem Augusta Meinharta, Jarosław, 1909. Str. 55.

LIMANKOSKI: Krwawy kwiat. Z fińskiego przełożyła Józefa Klemensiewiczowa. 2 tomy. Warszawa, 1909. Wydawnictwo Biblioteki dzieł wyborowych.

LUTOSŁAWSKI JAN: Jak nauczyć sztuki rolnictwa? Rzecz odczytana w skróceniu na III zebraniu ogólnem Centralnego Towarzystwa Rolniczego w Warszawie, dn. 19 czerwca 1909 r.

MAR JAN STANISŁAW: Historia dwojga ludzi i jednego filistra, z portretem autora. Nowości literackie, tom XXII i XXIII. Warszawa, 1909. Lwów, księgarnia St. Sadowskiego.

MAY KAROL: Przez kraj Skipetarów, powieść podróżnicza z ilustracjami, wydawnictwo ilustrowanego tygodnika „Przez lądy i morza:“ Lwów, 1909. 8-o, str. 467.

MONTY JACOBS: Maeterlinek. Studium krytyczne, przekład Maryi Kreczowskiej. Biblioteka dzieł wyborowych. 8-o, str. 112.

NIEMCEWICZA J. U. Pamiętniki z 1830—1831 roku, wydał Maryan Antoni Kurpiel. Kraków, nakładem Akademii Umiejętności. Skład główny w księgarni G. Gebenthnera i Spółki, 1909. 8-o, str. 161.

NOWOROCZNIK LITERACKI autorów polskich i ukraińskich, pod redakcją Edwarda Ligockiego i Tadeusza Michalskiego. Kijów, 1909.

PERZYŃSKI WŁODZIMIERZ: Idealiści. Trzy jednoaktowe fragmenty sceniczne: Dług wdzięczności—Sezon—Recenzyjka. Lwów, 1909. Nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka. Str. 59.

POLAK J., D-R: Prezes polskiego Stowarzyszenia przyjaciół pokoju: Polityka blizkiej przyszłości. Warszawa, 1909. Drukarnia Synów St. Niemiry. Str. 57.

POZNAŃSKI CZESŁAW: Rzeźba francuska XIX i XX wieku, ze 130 rycinami. Lwów, 1909. Nakładem księgarni H. Altenberga. Warszawa, E. Wende i S-ka (T. Hiż i A. Turkuł).

PROGRAM C. K. Szkoły politechnicznej we Lwowie na rok naukowy 1909/1910. XXXVIII. Lwów, nakładem Szkoły politechnicznej. Str. 92.

PRZEWODNIK po uzdrowiskach krajowych. „Goniec Wileński.“ Wilno, 1909.

ROMANOWSKI HENRYK: Solidaryzm. Nowa teoria etyczna i społeczno-ekonomiczna. Szkic krytyczny. Wilno, 1909. Warszawa, księgarnia „Kroniki Rodzinnej.“ Str. 32.

ROZWÓJ GOSPODARSTWA SPOŁECZNEGO. Z niemieckiego przełożył D-r Jan Bleszyński. Wydawnictwo księgarni „Kroniki Rodzinnej.“ Str. 79.

SCHNEIDER STANISŁAW: Kilka objaśnień do dzieł Słowackiego, Lwów. Nakładem autora. Str. 15.

SPRAWOZDANIE z zarządu Muzeum narodowego polskiego w Rapperswilu za rok 1908. Rok XXXIX. Paryż, 1909. Drukarnia A. Reiffa. Hegmanin.

STAFF LEOPOLD: Sny o potędze. Wydanie trzecie. Poezye poświęcone Mieczysławowi Wierzchleyskiemu. Lwów, nakładem Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka. 8-o, str. 150.

STASIEWICZOWA K.: Hodowla ptactwa domowego, z licznymi rycinami. Biblioteka Macierzy Polskiej. Lwów, 1909. 8-o, str. 229.

SZUKIEWICZ WOJCIECH: Spółdziałanie. Nowości literackie, tom XXIV, z portretem autora. Warszawa, 1909. Lwów. Księgarnia St. Sadowskiego. Str. 110.

WIZE KAZIMIR FILIP: Abreiss einer Wissenschaftslehre der Ästhetik. Berlin, 1909. Str. 177.

ZAPOLSKA GABRYELA: Skiz. Komedya w 3-ch aktach. Nakładem księgarni H. Altenberga we Lwowie. Str. 121.

ZDZIECHOWSKI KAZIMIERZ: Łuna. Powieść współczesna, 2 tomy, wydrukowana w 1907/8 w „Bibliotece Warszawskiej.“ Warszawa, E. Wende i S-ka. Kraków, G. Gebethner i S-ka. 8-o, tom I str. 432, tom II str. 495.

ZIELEWICZÓWNA MARYA: Z rozmyślań Emersona. Z portretem Emersona. Warszawa. Skład główny w księgarni Wende i S-ka. 8-o, str. 187.

HISTORIA.—BIOGRAFIA.—HERALDYKA.—NUMIZMATYKA.

ASKENAZY SZYMON: Książę Józef Poniatowski, 1763—1813. Z 22 rycinami i heliograwiurą, według portretu Grassiego. Wyd. II. Warszawa, 1910. Gebethner i Wolff. Kraków, G. Gebethner i S-ka. 8-o, str. 337.

BARWIŃSKI EUGENIUSZ, D-R: Repertoryum znajdujących się w bibliotece uniwersyteckiej we Lwowie aktów zajęcia i sprzedaży dóbr królewskich i kościelnych. Lwów, 1909. Fol., str. 52.

CZARNOWSKI S. J.: Polska przedhistoryczna. Badania, poszukiwania, opisy zabytków przeddziejowych, bibliografia, sprawozdania, przeglądy. Literatura przeddziejów Polski i ziem sąsiednich słowiańskich. Kraków—Warszawa. Wydawnictwo S. J. Czarnowskiego i Sp. 8-o, format duży, str. 148.

DYARYUSZ SEJMU z r. 1830—1831. Wydał Michał Rostworowski. Tom II. Od 19 kwietnia do 25 maja 1831 r. Kraków, 1909. Nakł. Akademii Umiejętności i Tow. popierania wydawnictw Ak. Um. G. Gebethner i Sp. Źródła do dziejów Polski porozbiorowych, I. 8-o, str. XXIII + 717.

GRABIEC J.: Dzieje narodu polskiego. Kraków, 1909. Spółka nakładowa „Książka.“ Warszawa, G. Centnerszwer i Sp. Lwów, H. Altenberg. New-York, The polish book importing Co. 8-o, format duży, str. 382.

PASEK JAN CHR.: Pamiętniki. Lwów—Złoczów, 1909. Nakład W. Zunkerandla. 16-o, str. 472.

PULASKI FR.: Spory o bibliotekę i zapis Konstantego Świdzińskiego. (Fragment z dziejów Biblioteki Ordynacji hr. Krasińskich). Warszawa, 1909. Autor. 8-o, str. 28.

SOKOŁOWSKI AUGUST: Prusy i Polska. Powstanie i charakter państwa pruskiego. Brandenburgia. Zakon krzyżacki. Księstwo pruskie. Polityka pruska w w. XVIII i XIX. Kraków, 1909. Nakł. Polskiego Związku Narodowego. 8-o, format mały, str. 64.



SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE CZWARTYM

z roku 1909.

STUDYA FILOZOFICZNE.

	Str.
CIESZKOWSKIEGO PROLEGOMENA DO HISTORIOZOFII, — przez <i>Michała Sobieskiego</i>	337

HISTORIA.

OD KOLEBKI PRZEZ ŻYCIE,—przez <i>Z. Miłkowskiego</i>	1 i 201
IGNACY POTOCKI A KOMISYA EDUKACYJNA, — przez <i>d-ra Kazimie- rza Maryana Morawskiego</i>	27
WIELICZKA, — przez <i>Zdzisława Kamińskiego</i>	516
KASATA ZAKONU O. O. JEZUITÓW,—przez <i>Macieja Loreta</i>	145

STUDYA ETNOGRAFICZNE.

POLSZCZYŻNA NA GÓRNYCH WĘGRZECH,—przez <i>G. Smólskiego</i>	81
---	----

STUDYA LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

KRYTYKA LITERACKA W CZASACH ROMANTYZMU, — przez <i>d-ra Tadeusza Grabowskiego</i>	38 i 227
NARODZINY OPERETKI WE FRANCYI,—przez <i>Wł. Günthera</i>	102
SELMA LAGERLÖF,—przez <i>Jana Kaczkowskiego</i>	281
RUCH LITERACKI W ANGLII,—przez <i>M. Rakowską</i>	311
O BENIOWSKIM,—przez <i>Maryę Konopnicką</i>	409
SZKICE WIELKOPOLSKIE,—przez <i>Ottonównę</i>	474

II

	Str.
RUCH LITERACKI WE FRANCYI,—przez <i>Orcida</i>	542
METAFIZYKA W POEZYI SŁOWACKIEGO,—przez <i>W. Lutostawskiego</i>	431
KRYZYS INTELIGENCYI ROSYJSKIEJ,—przez <i>Wł. Jabłonowskiego</i>	253
JEDNA Z DRAMATYCZNYCH KRONIK SŁOWACKIEGO,—przez <i>Anto- niego Mazanowskiego</i>	458

ROZMAITOŚCI

„Nieznana odezwa Adama Mickiewicza w sprawie Szkoły Polskiej na Ba- leignolles,—przez <i>Leopolda Meyeta</i>	156
„Dyskusya“	163

K R Y T Y K A.

DR. WŁODZIMIERZ BUGIEL: „Nasz najznakomitszy lekarz Odrodzenia, Józef Struś.“ Jego żywot i pisma. — „Józef Struś.“ Wykład wygłoszony 17 kwietnia na posiedzeniu Tow. Przyj. Nauk w Poznaniu,—przez <i>H. M.</i>	167
FELIKS KOPERA: „Notatki do historii sztuki i kultury w Polsce,“ — przez <i>H. M.</i>	169
LEOPOLD STAFF: „Igrzysko,“—przez <i>Henryka Gallego</i>	171
KĘTRZYŃSKI STANISŁAW: „O Królestwie Wielkopolskiem,“—przez <i>I. B.</i>	173
DR. SEMKOWICZ WŁADYSŁAW: „Władcy polscy na tle porównawczem słowiańskim,“—przez <i>I. B.</i>	175
FELIKS KOPERA I JULIAN PAGACZEWSKI: „Polskie Muzeum,“—przez <i>H. M.</i>	372
JADWIGA WARNKÓWNA: „Wśród skogów Szwecyi i fiordów Norwegii,— przez <i>Henryka Gallego</i>	378
ZOFIA MROZOWICKA: „Głos krwi,“—przez <i>H. G.</i>	379
EDWARD LESZCZYŃSKI: „Atlantyda,“—przez <i>H. G.</i>	381
PUŁASKI FR.: „Spory o bibliotekę i zapis Konstantego Świdzińskiego,“— przez <i>I. B.</i>	382
IGNACY RADLIŃSKI: „Spinoza,“—przez <i>Z. D.</i>	384
A. V. DICEY: „Wstęp do nauki o prawie konstytucyjnem,“ — przez <i>Wa- cława Dunina</i>	387
K. OSTASZEWSKI-BARAŃSKI: „Panslawista polski—Adam hr. Gurowski,“— przez <i>H. M.</i>	559
ADAM SZELAŃGOWSKI: „Z dziejów współzawodnictwa Anglii i Niemiec, Rosyi i Polski,“—przez <i>Wł. Studnickiego</i>	562
Ż. PAUL DUBOIS: „Irlandya współczesna i kwestya irlandzka,“—przez <i>Wa- cława Dunina</i>	566
STANISŁAW KOZICKI: „Syndykaty rolnicze we Francyi,“—przez <i>W. D.</i>	570
DR J. POLAK: „Polityka blizkiej przyszłości,“—przez <i>W. D.</i>	572

	<i>Str.</i>
ALEKSANDER KRAUSHAR: „Wolność druku i dziennikarstwo warszawskie w czasach listopadowych (1830—1831).“—przez <i>J. I.</i> . . .	573
KANTAK JULIUSZ KAMIL, KS.: „Geschichte des Bernardiner Klosters zu Bromberg.“—przez <i>I. B.</i>	576
GIEDROYĆ FR., D-R: „Wodociągi i kanały miejskie.“—przez <i>I. B.</i>	578

KRONIKA MIESIĘCZNA.

PAŹDZIERNIK:

Po Wystawie Częstochowskiej.—Początek roku szkolnego i wyjazd młodzieży zagranicę.—Projekt uzupełnienia Muzeum narodowego działami przyrodniczym, archeologicznym i etnograficznym	177
--	-----

LISTOPAD:

Z chwili obecnej.—Pierwszy Zjazd naukowy w Warszawie.—Zatwierdzenie fundacji stypendyalnej im. Julii Wiemanowej.—Testament von Olszewskiego.—Obchody krakowskie	389
---	-----

GRUDZIEŃ:

Ostatni akord smutnego roku.—Szkoła nauk politycznych i uzasadnienie jej potrzeby.—Uroczystości i zjazdy lwowskie.—Myśli d-ra Balickiego o wychowaniu narodowym	579
---	-----

WSPOMNIENIA POZGONNE.

Ś. p. Gabryel Godlewski,—przez <i>Z. D.</i>	592
---	-----

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

PAŹDZIERNIK	190
LISTOPAD	402
GRUDZIEŃ	594

DODATEK „PRACA.“

PRZY ZESZYCIE PAŹDZIERNIKOWYM (№ 8): „Fundusz użyteczności publicznej Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Królestwie Polskiem.“—przez <i>Władysława Grabskiego.</i>	
PRZY ZESZYCIE LISTOPADOWYM (№ 9): „Ze statystyki narodowej Rosji Europejskiej.“—przez <i>Edwarda Grabowskiego.</i>	
PRZY ZESZYCIE GRUDNIOWYM (№ 10): „Likwidacya burzliwych dni.“—przez <i>d-ra Kazimierza Niedzielskiego.</i>	